

*Julia Quinn*

*Kusząca propozycja*

Z angielskiego przełożyła  
Anna Reszka

*Cheyenne na pamiątkę lata we Frappucino.*

*I Paulowi, choć lubi oglądać w telewizji operację na  
otwartym sercu, podczas gdy my jemy spaghetti.*

## Prolog

Wszyscy wiedzieli, że Sophie Beckett jest bękartem.

Służący również, ale mimo to kochali ją, odkąd przybyła do Penwood Park w wieku trzech lat, kruszynka w za dużym płaszczu, pewnej deszczowej lipcowej nocy zostawiona pod drzwiami. A ponieważ ją kochali, udawali, że jest, jak powiedział szósty hrabia Penwood, osieroconą córką starego przyjaciela. Nieważne, że dziewczynka miała jego zielone oczy i ciemnoblond włosy, kształt twarzy po niezującej matce hrabiego, a uśmiech po jego siostrze. Nikt nie chciał zranić uczuć małej - ryzykować wyrzucenia z pracy - zwracając uwagę na te drobiazgi.

Richard Gunningworth nigdy nie rozmawiał o Sophie i jej pochodzeniu. Nie zdradził, co było w liście, który ochmistrzyni znalazła tamtej nocy w kieszeni dziewczynki. Zaraz po przeczytaniu wrzucił go do kominka i patrzył, jak kurczy się w ogniu, a następnie kazał przygotować dla małej pokój. Od tamtej pory widywali się kilka razy do roku, kiedy hrabia przyjeżdżał z Londynu. Zawsze mówił do niej „Sophia”, a ona do niego „milordzie”.

Co najważniejsze, ona sama wiedziała, że jest bękartem. Zachowała niewiele wspomnień z poprzedniego życia, ale pamiętała długą podróż przez całą

Anglię i słowa babci, kaszłcej i bardzo chudej, która mówiła jej, że teraz będzie mieszkać z tatusiem. A najbardziej wryły się w jej pamięć chwile, kiedy stała w deszczu na schodach, a babcia z ukrycia obserwowwała, czy wnuczka zostanie wpuszczona do domu.

Gdy hrabia wziął ją za bródkę i uniósł jej twarz do światła, oboje w jednej chwili domyślili się prawdy.

Wszyscy znali sekret, ale o nim nie rozmawiali i byli zadowoleni z takiej sytuacji.

Póki Richard Gunningworth nie zdecydował się ożenić.

Sophie bardzo się ucieszyła, kiedy usłyszała nowinę. Ochmistrzyni powiedziała jej, że wie od kamerdynera, a ten z kolei od sekretarza hrabiego, że właściciel zamierza teraz spędzać więcej czasu w Penwood Park. I choć Sophie nie odczuwała jego braku - nawet kiedy był obecny, nie poświęcał jej wiele uwagi - pewnie by za nim tęskniła, gdyby poznali się lepiej, a wtedy może nie wyjeżdżałby tak często. W dodatku jedna z pokojówek szepnęła jej, że ochmistrzyni dowiedziała się od kamerdynera sąsiadów, że przysłała hrabina ma dwie córki, obie mniej więcej w wieku Sophie.

Dziewczynka nie posiadała się z radości. Nie znała żadnych dzieci z okolicy, bo nie zapraszano jej na przyjęcia i zabawy. Nikt wprawdzie nie nazywał jej bękartem, gdyż równałoby się to nazwaniu kłamcą hrabiego, który raz oświadczył, że Sophie jest jego podopieczną i nigdy więcej nie poruszał tego tematu, ale z drugiej strony nie postarał się, żeby ją zaakceptowano. Tak więc przez siedem lat jej jedynymi przyjaciółmi byli lokaje i służące, a rodzicami ochmistrzyni i kamerdyner.

A teraz zyskała dwie siostry.

O, zdawała sobie sprawę, że nie staną się nimi naprawdę. Wiedziała, że zostanie przedstawiona jako Sophie Maria Beckett, wychowanka hrabiego, ale dla niej będą jak siostry.

Tak więc pewnego letniego popołudnia czekała w holu razem ze służbą, wyglądając przez okno karocy z nową hrabiną i jej dwoma córkami. I oczywiście z hrabią.

- Myśli pani, że mnie polubi? - zapytała szeptem ochmistrzyni. - To znaczy, żona hrabiego.

- Oczywiście, że cię polubi, kochanie - odszepnęła pani Gibbons, ale wyraz jej oczu przeczył tonowi głosu.

- Będę się uczyła z jej córkami?

- Nie byłoby sensu, żebyś miała lekcje osobno.

Dziewczynka w zamyśleniu pokiwała głową.

Chwilę później skoczyła z radości.

-Są!

Pani Gibbons wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać ją po głowie, ale Sophie rzuciła się do okna i przycisnęła twarz do szyby.

Richard Gunningworth pierwszy wysiadł z karocy, a zaraz za nim dwie dziewczynki w czarnych płaszczkach. Jedna miała różową wstążkę we włosach, druga żółtą.

Sophie wstrzymała oddech, czekając na pojawienie się hrabiny. Skrzyżowała palce i wyszeptała:

- Proszę.

Niech mnie pokocha.

Może wtedy hrabia też zacząłby traktować ją jak córkę i razem stworzyliby prawdziwą rodzinę.

W końcu z powozu wysiadła lady Penwood. Jej ru-

chy były tak wdzięczne, że Sophie od razu pomyślała o skowronku, który czasami kąpał się w ogrodzie w korytku dla ptaków. Nawet jej kapelusz zdobiło długie turkusowe piórko, które lśniło w zimowym słońcu.

- Jest piękna - powiedziała cicho Sophie.

Rzuciła spojrzenie na panią Gibbons, żeby zobaczyć jej reakcję, ale ochmistrzyni patrzyła prosto przed siebie z poważną twarzą.

Dziewczynka nie była pewna, gdzie się ustawić. Wszyscy mieli wyznaczone miejsca. Personel stał w szeregu według rangi, od kamerdynera po najskromniejszą pomywaczkę. Nawet psy siedziały karnie w kątach, trzymane na smyczy przez opiekuna.

Gdyby Sophie naprawdę była podopieczną hrabiego, czekałaby na hrabinę w towarzystwie swojej guwernantki. Służący oczywiście nie uwierzyli w chorobę nauczycielki, która zaledwie dzień wcześniej czuła się doskonale, ale też nie winili jej za ten wybieg. Nikt nie chciał narazić się nowej pani, przedstawiając jej nieślubną córkę męża.

A hrabina musiałaby być ślepa, głupia albo jedno i drugie, żeby od razu nie domyślić się prawdy.

Nagle onieśmielona Sophie uciekła w kąt, gdy dwaj lokaje zamasyżycie otworzyli frontowe drzwi. Dziewczynki weszły pierwsze i usunęły się na bok, a lord Penwood wprowadził żonę i przedstawił ją oraz pasierbice kamerdynerowi. Ten ukłonił się z szacunkiem i zaczął prezentować hrabinie lokajów, szefa kuchni, ochmistrzyni, stajennych.

Sophie czekała.

Potem wymienił nazwiska kuchennych, pokojówek i sprzątaczek.

Sophie czekała.

Gdy Rumsey przedstawił pomywaczkę Dulcie, która została zatrudniona dopiero przed tygodniem, Sophie odchrząknęła i wystąpiła do przodu z niepewnym uśmiechem na twarzy. Nie spędzała z hrabią dużo czasu, ale zawsze do niego wybiegała, kiedy przyjeżdżał do Penwood, a on poświęcał jej kilka minut, pytał o lekcje i odsyłał ją do pokoju dziecięcego.

Choć teraz był żonaty, z pewnością chciałby się dowiedzieć, jak idzie jej nauka i czy udało się jej opanować mnożenie ułamków. W dodatku panna Timmons ostatnio stwierdziła, że jej francuski akcent jest doskonały.

Lecz hrabia akurat mówił coś do pasierbic i jej nie usłyszał. Sophie odchrząknęła jeszcze raz, tym razem głośniej, i powiedziała:

- Milordzie? - Jej głos zabrzmiał trochę piskliwie. Lord Penwood się obejrzał.

- O, Sophia. Nie zauważyłem, że jesteś w holu.

Dziewczynka się rozpromieniła. Więc jednak jej nie ignorował.

- A któż to jest? - zapytała hrabina.

- Moja podopieczna - odparł mąż. - Panna Sophia Beckett.

Lady Penwood przeszła ją wzrokiem i zmrużyła oczy.

- Rozumiem - stwierdziła krótko i skinęła na córki: - Rosamundo, Posy, chodźcie.

Gdy córki do niej podeszły, Sophie zaryzykowała uśmiech. Mniejsza go odwzajemniła, natomiast starsza o włosach koloru złota wzięła przykład z matki, zadarła nos i odwróciła głowę.

Sophie przełknęła ślinę i ponownie uśmiechnęła się

do młodszej, ale tym razem dziewczynka przygryzła wargę w geście niezdecydowania i spuściła oczy.

Hrabina odwróciła się plecami do Sophie i powiedziała do męża:

- Zapewne kazałeś przygotować pokoje dla Rosamundy i Posy.

- Tak. Obok Sophie.

Przez dłuższą chwilę panowała niezręczna cisza, ale hrabina najwyraźniej doszła do wniosku, że pewnych bitew nie należy toczyć w obecności służących, bo oświadczyła:

- Chciałabym pójść na górę.

Sophie patrzyła, jak jej nowa rodzina wchodzi po schodach, a następnie zwróciła się do pani Gibbons.

- Może powinnam im pomóc? Pokazałabym dziewczynkom pokój do nauki.

Ochmistrzyni potrząsnęła głową.

- Wyglądają na zmęczone. Na pewno zechcą się zdrzemnąć.

Sophie zmarszczyła czoło. Rosamunda miała jedenaście lat, Posy dziesięć. Z pewnością były za duże na drzemki.

Pani Gibbons pogłaskała ją po ramieniu.

- Może pójdziesz ze mną? Przyda mi się towarzystwo. Kucharka właśnie upiekła ciasteczka. Chyba jeszcze są ciepłe.

Sophie kiwnęła głową. Zdaży poznać dziewczynki. Wieczorem pokaże im pokój dziecięcy, zaprzyjaźnią się szybko i wkrótce zostaną siostrami.

Uśmiechnęła się do siebie. Cudownie będzie mieć siostry.



Tak się złożyło, że tego dnia już nie zobaczyła Rosamundy i Posy. Hrabiostwa również. Gdy poszła na kolację, przekonała się, że stół jest nakryty na dwie, a nie na cztery osoby. Panna Timmons, która, o dziwo, zdążyła wyzdrowieć, poinformowała ją, że Rosamunda i Posy są zmęczone po podróży.

Dopiero następnego ranka przyszły z matką na lekcje. Sophie oderwała się od arytmetyki, nad którą siedziała już od godziny, i spojrzała na nie z wielką ciekawością, ale tym razem się nie uśmiechnęła. Uznała, że tak będzie lepiej.

- Panno Timmons.

Guwernantka dygnęła.

- Milady.

- Podobno będzie pani uczyć moje córki.

- Tak, milady.

Lady Penwood wskazała na starszą córkę, tą o złotych włosach i chabrowych oczach. Sophie doszła do wniosku, że dziewczynka wygląda tak samo jak ładna porcelanowa laleczka, którą hrabia przysłał jej z Londynu na siódme urodziny.

- To Rosamunda. Ma jedenaście lat. - Przeniosła wzrok na drugą córkę, która nie odrywała oczu od swoich butów. - A Posy dziesięć.

W przeciwieństwie do matki i siostry Posy miała ciemne włosy i oczy, a twarz trochę puciołowatą.

- Sophie też skończyła dziesięć - powiedziała panna Timmons.

Hrabina lekko skrzywiła usta.

- Chciałabym, żeby pani pokazała moim córkom dom i ogród.

Nauczycielka skinęła głową.

- Dobrze. Sophie, później wrócimy do arytmetyki...

- Proszę *zabrać* tylko moje dziewczynki - przerwała jej lady Penwood chłodnym tonem. - My tymczasem porozmawiamy sobie na osobności.

Kiedy panna Timmons wyprowadziła Rosamundę i Posy z pokoju, Sophie wstała z krzesła i stanęła wyczekująco przed nową żoną swojego ojca. Nie śmiała jednak podnieść na nią wzroku.

- Wiem, kim jesteś - oświadczyła hrabina, gdy zostały same.

- M... milady?

- Jesteś bękartem i nie próbuj zaprzeczać.

Sophie nic nie powiedziała. Oczywiście to była prawda, ale do tej pory nikt nie mówił jej na głos. W każdym razie przy niej.

Lady Penwood chwyciła ją za podbródek i zmusiła do spojrzenia jej w oczy.

- Posłuchaj mnie uważnie - zaczęła groźnym tonem. - Możesz mieszkać w Penwood Park i uczyć się z moimi córkami, ale na zawsze pozostaniesz bękartem. Nie waż się nawet myśleć, że jesteś nam równa.

Sophie jęknęła cichutko. Paznokcie hrabiny wpijały się w jej skórę.

- Mój mąż uważa, że ma wobec ciebie pewne zobowiązania. Dobrze, że uznaje swoje błędy, karmi cię, ubiera i kształci jak prawdziwą córkę, ale twoja obecność w moim domu to dla mnie obraza.

Przecież ona naprawdę była jego córką, a Penwood Park jej domem.

- Nie chcę cię widzieć - syknęła lady Penwood, puszczając jej brodę. - Nigdy się do mnie nie odzywaj ani nie zbliżaj. Ponadto nie wolno ci rozmawiać z Rosamundą i Posy poza lekcjami. Teraz one są cór-

kami hrabiego i nie powinny zadawać się z takimi jak ty.  
Masz jakieś pytania? Sophie potrząsnęła głową.

- To dobrze.

Hrabina wymaszerowała z pokoju, zostawiając ją rozdygotaną i bliską łez.

Z czasem Sophie lepiej poznała swoją nową sytuację.  
Służący zawsze wszystko wiedzieli.

Araminta, bo tak miała na imię hrabina, już pierwszego dnia zażądała od męża, żeby pozbył się bękarta. Lord Penwood odparł chłodno, że może nie kochać ani nawet lubić Sophie, ale musi się pogodzić z jej obecnością. On od siedmiu lat jest za nią odpowiedzialny i nie zamierza tego zmieniać.

Córki naśladowały matkę, traktując ją z wrogością i pogardą. W okrucieństwie celowała Rosamunda, która bardzo lubiła szczypać ją po rękach, kiedy panna Timmons nie patrzyła. Sophie nigdy się nie skarżyła. Wątpiła, czy guwernantce wystarczyłoby odwagi, żeby skarcić uczennicę (która na pewno pobiegłaby do hrabiny z kłamliwą opowieścią), a jeśli ktoś nawet zauważył siniaki, też wołał milczeć.

Posy tylko wzdychała i mówiła:

- Mamusia zabrania mi być dla ciebie miłą.

Hrabia nigdy nie interweniował.

Zycie Sophie toczyło się w ten sposób przez cztery lata, aż do dnia, kiedy przy herbacie w ogrodzie różanym lord Penwood chwycił się za pierś i runął twarzą na kamienne płyty.

Już nie odzyskał przytomności.

Wszyscy byli wstrząśnięci. Hrabia miał zaledwie czterdzieści lat. Kto by pomyślał, że w tak młodym

wieku serce odmówi mu posłuszeństwa? Śmierć męża najbardziej zaskoczyła Aramintę, która od nocy poślubnej rozpaczliwie pragnęła począć dziedzica.

- A jeśli jestem przy nadziei? - powiedziała jego do radcom. - Nie możecie przekazać tytułu jakiemuś da lekiemu kuzynowi.

Niestety, kiedy miesiąc później odczytano testament (doradcy chcieli się upewnić, że lady Penwood nie nosi w łonie potomka), nowym hrabią został młody rozpustnik, który przez "większość czasu był pijany.

Zmarły uczynił legaty na korzyść wiernych sług oraz ustanowił fundusze powiernicze dla Rosamundy, Posy i Sophie, zapewniając wszystkim trzem spore posagi.

*Mojej żonie Aramincie Gunningworth, hrabinie Penwood, zostawiam roczny dochód w wysokości dwóch tysięcy funtów...*

- I to wszystko? - krzyknęła -wdowa.

*...chyba że zaopiekuje się moją podopieczną, panną Sophią Marią Beckett, do chwili ukończenia przez nią dwudziestu lat. Wtedy jej roczna pensja wyniesie sześć tysięcy funtów.*

- Nie chcę tej dziewczyny - szepnęła Araminta.

- Nie musi pani brać jej pod opiekę - wtrącił prawnik. - Może pani...

- Żyć z nędznych dwóch tysięcy? - warknęła hrabina. - Nie sądzę.

Doradca, który utrzymywał się za dużo mniejszą sumę, nic więcej nie powiedział.

Nowy lord Penwood, który przez całe spotkanie pociągał z butelki, tylko wzruszył ramionami. Araminta wstała.

- Jaka jest pani decyzja? - zapytał prawnik.

- Wezmę ją.

- Mam ją o tym poinformować?

Wdowa potrząsnęła głową.

- Sama to zrobię.

Ale kiedy odszukała Sophie i przekazała jej wolę zmarłego, pominęła kilka istotnych szczegółów...

## Część pierwsza

# 1

*Przedmiotem największego pożądanego w tym roku jest zaproszenie na bal maskowy Bridgertonów, który ma się odbyć w najbliższy poniedziałek. Nie można wręcz zrobić dwóch kroków, żeby nie być zmuszonym do wysłuchiwania spekulacji matek, kto przyjdzie i w czym.*

*Lecz dużo ciekawszy od wyżej wspomnianych jest temat dwóch nieżonatych braci Bridgertonów: Benedicta i Colina. (Zanim ktoś przypomni o trzecim, pisząca te słowa zapewnia, że dobrze wie o istnieniu George'a Bridgertona, który jednakowoż ma dopiero czternaście lat i dlatego nie pasuje do naszej rubryki, poświęconej najważniejszemu ze sportów: polowaniu na męża.)*

*Panowie Bridgerton, choć bez tytułów, są uważani za główne zdobycze sezonu. Powszechnie wiadomo, że obaj posiadają znaczne majątki, a nie trzeba bystrego wzroku, by zauważyć, że jak cała ósemka Bridgertonów doskonale się prezentują.*

*Czy jakiejś szczęśliwej młodej damie uda się jednego z nich złapać w sidła?*

*Pisząca te słowa nawet nie próbuje snuć domysłów.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 31 maja 1815*

- Sophie! Sophieeeeeee!

Wrzask mógł roztrzaskać szkło. Albo przynajmniej uszkodzić bębny w uszach.

- Już idę, Rosamundo! Idę!

Sophie uniosła brzeg spódnicy ze zgrzebnej wełny i pobiegła na piętro. Na czwartym stopniu się pośliznęła i tylko cud uchronił ją przed runięciem w dół. Powinna była pamiętać, że schody są śliskie. Rano sama pomagała sprzątacze je pastować.

Stanęła w drzwiach pokoju, łapiąc oddech.

- Słucham.

- Herbata jest zimna.

Sophie miała ochotę krzyknąć: „Była ciepła, kiedy przyniosłam ją godzinę temu, ty leniwa diabolic”.

- Pójdę po świeżą - powiedziała.

Rosamunda prychnęła.

- Jasne.

Sophie rozciągnęła usta w grymasie, który tylko osoba półślepa wzięłaby za uśmiech, i sięgnęła po tacę z serwisem.

- Zostawić herbatniki? Dziewczyna potrząsnęła ładną główką.

- Chcę świeżych.

Sophie wyszła z pokoju, uginając się pod ciężarem przeładowanej tacy. Z trudem powstrzymywała się od mamrotania pod nosem. Z powodu kaprysów Rosamundy, która zamawiała herbatę, a potem jej nie piła, musiała całe popołudnie biegać w tę i z powrotem po schodach. Czasami wydawało się jej, że przez całe życie nic innego nie robi.

Tylko w górę i w dół, w górę i w dół.

Oczywiście oprócz szycia, prasowania, układania włosów, czyszczenia butów, cerowania, ścielenia łóżek...



- Sophie! Myślisz, że w tym kolorze jest mi do twarzy?

Odwróciła się i zobaczyła Posy w kostiumie syrenki. Król nie był dla niej najlepszy, bo jeszcze nie straciła dziecięcego tłuszczu, ale kolor rzeczywiście podkreślał jej cerę.

- Ładny odcień zieleni - odparła szczerze. - I sprawia, że twoje policzki są wręcz różane.

- To dobrze, że ci się podoba. Zawsze umiesz mi doradzić. - Dziewczyna uśmiechnęła się i porwała z tacy herbatnik. - Mama od tygodnia mówi tylko o balu maskowym. Dopiero bym się nasłuchiwała, gdybym wyglądała źle. - Skrzywiła się. - Uparła się, że jedna z nas musi złapać któregoś z braci Bridgertonów.

- Wiem.

- Co gorsza, ta Whistledown znowu o nich pisała, co jeszcze podsyciło apetyt mamy.

- Dzisiejszy numer jest ciekawy?

- Och, to co zwykle. Same nudne rzeczy.

Sophie bezskutecznie próbowała pohamować uśmiech. Chętnie zamieniłaby się z Posy choćby na jeden dzień. No, może nie życzyłaby sobie takiej matki jak Araminta, ale nie miałyby nic przeciwko przyjęciom, rautom, wieczorom muzycznym.

- Była relacja z ostatniego balu u lady Worth, trochę o wicehrabim Guelphie, który chyba jest zakochany w pewnej dziewczynie ze Szkocji, a potem przydługi fragment o zbliżającej się maskaradzie u Bridgertonów.

Sophie westchnęła. Od tygodni o niej czytała i choć była tylko pokojówką (a czasami i zwykłą służącą, jeśli Araminta doszła do wniosku, że jej niewol-

nica nie dość ciężko pracuje), bardzo chciała pójść na ten bal.

- Najlepiej, ż żeby wicehrabia Guelph się zaręczy! - stwierdziła Posysy, sięgając po następny herbatnik. - Zawsze to jeden kawaler mniej. Nie żebym liczyła na zwrócenie jego uwagi. - Ugryzła ciastko. - Mam nadzieję, że lady Whisistledown nie myli się co do jego uczuć.

- Pewnie nie...

Przypuszczenia autorki „Kroniki towarzyskiej lady Whistledowum” prawie zawsze się sprawdzały.

Sophie oczywiście nie brała udziału w życiu towarzyskim londyńskiej śmietanki, ale dzięki tym ploteczkom niemal czuła, że do niej należy.

Poza tym przeczytała już wszystkie powieści z domowej biblioteki, a nie mogła liczyć na jej uzupełnienie, ponieważ Araminta, Rosamunda i Posy nie lubiły książek. Tak więc „Kronika” była ostatnio jej jedyną lekturą.

Nikt nie znał prawdziwej tożsamości autorki. Gdy przed dwoma laty wyszedł pierwszy numer jednostronicowego pisemka, gubiono się w domysłach. Nawet teraz, kiedy ukazywała się w nim szczególnie pikantna plotka, od nowa zgadywano, kim, u licha, jest ta wszystkowiedząca osoba.

Jeśli chodzi o Sophie, „Kronika” pokazywała jej świat, w którym by się obracała, gdyby rodzice wzięli ślub. Byłaby córką hrabiego, a nie bękartem. Nazywałaby się Gunningworth, a nie Beckett.

Marzyła o tym, żeby choć raz wsiąść do karocy i pojechać na bal.

Zamiast tego pomagała innym stroić się do wyjścia: sznurowała gorset Posy, czesała włosy Rosamundy albo czyściła buty Araminty.

Z drugiej strony nie powinna się skarżyć. Przynajmniej miała dom, czyli więcej niż na ogół dziewczęta w jej sytuacji.

Kiedy umarł ojciec, nie zostawił jej nic oprócz dachu nad głową do dwudziestego roku życia. Araminta za nic nie zrezygnowałaby z czterech tysięcy funtów, żeby się jej pozbyć.

Z tych pieniędzy nie zobaczyła ani pensa. Piękne stroje, które kiedyś nosiła, zmieniła na zgrzebne wełny. I razem z pozostałymi służącymi dojadła resztki po swoich paniach.

Od jej dwudziestych urodzin minął prawie rok, a ona nadal mieszkała w Penwood House i usługiwała Aramincie. Z niejasnego powodu hrabina pozwoliła jej zostać. Zapewne nie chciała płacić nowej pokojówce.

I z obawy przed obcym światem Sophie wybrała znane zło.

- Taca nie jest za ciężka?

Posy właśnie zjadła ostatni herbatnik. Do diaska! A Sophie miała nadzieję, że przynajmniej ten jeden zostanie dla niej.

- Trochę. Muszę iść do kuchni.

- W takim razie nie zatrzymuję cię dłużej, ale później wyprasujesz mi różową suknię, dobrze? Włożę ją na dzisiejszy wieczór. Aha, i chyba trzeba wyczyścić pantofle. Ostatnio trochę je pobrudziłam, a wiesz, jak mama zwraca uwagę na buty, choć nie widać ich spod sukni. Zawsze dostrzeże najmniejszą plamkę, gdy wchodzę na stopień.

Sophie tylko kiwnęła głową.

- W takim razie zobaczymy się później!

Posy odwróciła się na pięcie i weszła do swojej sypialni, a Sophie poczłapała do kuchni.

Kilka dni później klęczała na podłodze, trzymając w ustach szpilki, i w ostatniej chwili dokonywała poprawek kostiumu lady Penwood. Suknię w stylu królowej Elżbiety uszyto według miary, lecz Araminta oświadczyła, że jest za luźna w talii.

- Teraz dobrze? - wymamrotała Sophie niewyraźnie.

- Za ciasna.

Pokojówka przesunęła parę szpilek.

- A teraz?

- Za luźna.

Sophie wyjęła jedną szpiłkę i wpięła ją w dokładnie to samo miejsce.

- I jak?

Araminta obróciła się w jedną, potem w drugą stronę, aż w końcu stwierdziła:

- Może być.

Sophie uśmiechnęła się do siebie, wstała z klęzek i pomogła hrabinie zdjąć strój.

- Tylko żeby była gotowa za godzinę - uprzedziła lady Penwood. - Nie możemy się spóźnić.

- Oczywiście.

Przekonała się, że w rozmowach z panią domu najlepiej jest wciąż powtarzać to jedno słowo.

- Ten bal jest bardzo ważny - ciągnęła Araminta. - Rosamunda musi w tym roku znaleźć dobrą partię. Nowy hrabia... - Wzdrygnęła się z odrazą; nadal uważała go za uzurpatora, choć był najbliższym żyjącym krewnym jej męża. - Zapowiedział mi, że to ostatni rok, kiedy możemy korzystać z Penwood House. Okropny człowiek. Jestem wdową po lordzie Penwood, a Rosamunda i Posy są jego córkami.

Pasierbicami, sprostowała w myślach Sophie.

- W sezonie mamy prawo korzystać z londyńskiej rezydencji. Nie wiem, co on zamierza z nią zrobić.

- Może chce poszukać sobie żony i dochować się dziedzica.

Araminta sposepniała.

- Nie wiem, gdzie się podziejemy, jeśli Rosamunda nie wyjdzie za bogacza. Tak trudno w dzisiejszych czasach znaleźć odpowiedni dom do wynajęcia. Nie wspominając o cenach.

Sophie powstrzymała się od uwagi, że przynajmniej nie musi płacić pokojówce. A jeszcze do zeszłego roku dostawała cztery tysiące funtów za trzymanie ją pod swym dachem.

Hrabina strzeliła palcami.

- Nie zapomnij, że trzeba upudrować Rosamundzie włosy. - Jej starsza córka miała wystąpić przebrana za Marię Antoninę. - A Posy... - Araminta skrzywiła się lekko. - Też będzie cię potrzebować.

- Zawsze chętnie jej pomagam.

Lady Penwood zmrużyła oczy, niepewna, czy uznać tę odpowiedź za bezczelną. W końcu wzruszyła ramionami i poszła do łazienki. W tym momencie drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadła Rosamunda.

- A, tu jesteś! Musisz natychmiast mi pomóc.

- Obawiam się, że...

- Powiedziałam „natychmiast”!

Sophie rozprostowała ramiona i zmierzyła dziewczynę stalowym wzrokiem.

- Twoja matka kazała mi poprawić suknię.

- Wyjmij szpilki i powiedz, że już ją zwięziłaś. Nawet nie dostrzeże różnicy.

Sophie też tak uważała, ale gdyby posłuchała rady, Ro-

samunda już następnego dnia doniosłaby matce o oszustwie i Araminta wyżywałaby się na niej przez tydzień.

- O co chodzi?

- Nie wiem, jak to się stało, ale mam oberwany rąbek kostiumu.

- Może w czasie przymiarki...

- Nie bądź impertynencka!

Sophie zacisnęła usta. O wiele gorzej znosiła rozkazy Rosamundy niż Araminty, pewnie dlatego, że kiedyś były sobie równe, miały tę samą guwernantkę, razem się uczyły.

- Trzeba go przyszyć - stwierdziła dziewczyna w niośle.

Sophie westchnęła.

- Przynieś kostium, ale uprzedzam, że najpierw zajmę się suknią twojej matki.

- Nie mogę spóźnić się na bal. W przeciwnym razie dostanę twoją głowę na tacy.

- Bez obawy.

Rosamunda wybiegła na korytarz... i zderzyła się z siostrą.

- Auu! Uważaj, jak chodzisz! - warknęła.

- Ty również.

- Uważałam, ale trudno cię ominąć, ty krowo. Posy oblała się rumieńcem i usunęła się na bok.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytała Sophie.

Dziewczyna skinęła głową.

- Znajdziesz trochę czasu, żeby ułożyć mi włosy? Znalazłam zielone wstążki, które mogą udawać wo dorosty.

Sophie westchnęła przeciągle. Zielone wstążki niezbyt pasowały do ciemnych włosów, ale nie miała serca jej tego powiedzieć.

- Postaram się, ale najpierw muszę poprawić suknie Rosamundy i twojej matki.

-Aha.

Sophie zrobiło się przykro, gdyż Posy była w Penwood House jedyną osobą, nie licząc służących, która traktowała ją przyzwoicie.

- Nie martw się. Uczeszę cię niezależnie od tego, ile czasu nam zostanie.

- Och, dziękuję! Ja...

- Suknia gotowa? - zagrzmiała Araminta, wychodząc z łazienki.

- Jeszcze nie. Rosamunda podarła kostium, a...

- Bierz się do roboty!

- Dobrze. - Sophie usiadła na kanapie i sięgnęła po przybory do szycia. - Natychmiast - mruknęła pod nosem. - Jak błyskawica. Szybciej niż...

- Co tam mamrociesz? - zapytała hrabina z irytacją.

-Nic. . - Więc się zamknij. Twój głos drażni mi uszy.

- Mamo, Sophie ułoży mi dzisiaj włosy...

- Oczywiście. Przestań paplać i zrób sobie kompres na oczy, żeby nie były takie podpuchnięte.

- Są podpuchnięte?

Sophie lekko pokręciła głową na wypadek, gdyby Posy na nią spojrzała.

- Jak zwykle - odparła matka. - Prawda, Rosamundo?

- Owszem - powiedziała starsza córka, która właśnie przyniosła strój Marii Antoniny.

- Wyglądasz oszalamiająco, a jeszcze nie zaczęłaś się szykować - stwierdziła Araminta. - Złoto sukni doskonale pasuje do twoich włosów.

Sophie posłała współczujące spojrzenie biednej Posy, która nigdy nie słyszała takich komplementów od matki.

- Na pewno złapiesz któregoś z braci Bridgertonów.

Rosamunda skromnie opuściła wzrok. Tę minkę wyćwiczyła do perfekcji i nawet Sophie musiała przyznać, że dziewczyna sprawia wrażenie uroczego niewiniątka. Zresztą naprawdę była śliczna. Powszechnie zachwycano się jej złotymi włosami i niebieskimi oczami oraz wrócono, że dzięki hojnemu posagowi zostawionemu jej przez nieżyjącego ojczyrna znajdzie w tym sezonie świetną partię.

Sophie zerknęła na jej zasmuconą siostrę.

- Ty też ładnie wyglądasz - powiedziała pod wpływem impulsu.

Posy się rozpromieniła.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. A twój strój jest bardzo oryginalny. Nie sądzę, żeby ktoś jeszcze przebrał się za syrenkę.

- Skąd wiesz? - zaśmiała się Rosamunda. - Raczej nie bywasz w towarzystwie.

- Na pewno będziesz się dobrze bawić - dodała Sophie, ignorując złośliwość. - Bardzo ci zazdroszczę. Też chciałabym pójść na bal.

Araminta i Rosamunda parsknęły głośnym śmiechem. Posy tylko cicho zachichotała.

- To dobre! - wykrztusiła w końcu hrabina. - Mała Sophie na balu u Bridgertonów. Nie wpuszcza się bękartów na salony.

- Stwierdziłam tylko, że chciałabym pójść.

- Lepiej nie marz o rzeczach, które nigdy się nie spełnią, bo przeżyjesz rozczarowanie - doradziła Rosamunda.



Sophie nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tym momencie zobaczyła stojącą w drzwiach ochmistrzynię. I wtedy wydarzyła się bardzo dziwna rzecz. Kiedy ich oczy się spotkały, pani Gibbons do niej mrugnęła.

- Słuchasz mnie, Sophie? - zaskrzeczała Araminta.

- Przepraszam - bąknęła. - Co pani mówiła?

- Mówiłam, żebyś natychmiast zabrała się do pracy. Jeśli spóźnimy się na bal, jutro tego pożałujesz.

- Tak, oczywiście - powiedziała szybko Sophie.

Zaczęła szyc, ale jej myśli krążyły wokół pani Gibbons. Dlaczego, u licha, gospodyni miałaaby dawać jej znaki?

Trzy godziny później Sophie stała na frontowych schodach Penwood House i patrzyła, jak hrabina i jej córki wsiadają do powozu. Pomachała Posy i odczekała, aż karoca zniknie za rogiem. Do Bridgerton House było zaledwie sześć przecznic, ale Araminta nie poszłaby na piechotę nawet do sąsiedniego domu.

Lubiła robić wrażenie.

Sophie z westchnieniem ruszyła do drzwi. Na szczęście miała przed sobą wolny wieczór, bo w zamieszaniu lady Penwood nie zostawiła listy zadań do wykonania w czasie jej nieobecności. Może jeszcze raz przeczyta jakąś powieść. Albo odszuka dzisiejsze wydanie „Whistledown”. Rosamunda chyba zaniosiła je do swojego pokoju.

Lecz kiedy weszła do holu, u jej boku raptem wyrosła pani Gibbons i chwyciła ją za ramię.

- Nie ma czasu do stracenia! - powiedziała. Sophie wytrzeszczyła oczy.

- Słucham?

Ochmistrzyni pociągnęła ją za rękę.

- Chodź ze mną.

Pani Gibbons zachowywała się bardzo dziwnie, ale Sophie pozwoliła się zaprowadzić do swojego pokoju, malutkiej klitki na strychu. Gospodyni zawsze traktowała ją jak własne dziecko, mimo że pracodawczyni tego nie pochwałała.

- Rozbierz się - poleciła ochmistrzyni. -Co?

- Szybko.

- Pani Gibbons...

Umilkła raptownie na widok parującej balii, wokół której krzątały się trzy służące. Jedna dolewała zimnej wody do kąpieli, druga mocowała się z zamkiem starego kufra, trzecia rozpościerała duży ręcznik.

- Co tu się dzieje? - wykrztusiła Sophie.

Gospodyni uśmiechnęła się szeroko.

- Panna Sophia Maria Beckett idzie na bal maskowy!

W kufrze znajdowały się rzeczy należące kiedyś do matki nieżyjącego hrabiego. Wszystkie wyszły z mody przed pięćdziesięciu laty, ale na balu maskowym nikt nie oczekiwał strojów na czasie.

Na samym dnie leżała przepiękna suknia z opalizującego srebrnego jedwabiu, z dopasowanym gorsetem wysadzonym perełkami i rozkloszowaną spódnicą. Trochę zalatywała pleśnią, ale pokojówki szybko ją wywietrzyły i skropiły wodą różaną. Sophie poczuła się jak księżniczka, gdy tylko jej dotknęła.

Teraz stała na środku pokoju wykąpana, wyperfumowana i uczesana. Jedna z pokojówek nawet musnęła jej usta różem.

- Tylko nie mów pannie Rosamundzie, że wzięłam jej szminkę - szepnęła.

- Och, patrzcie! - zawołała pani Gibbons. - Znalazłam pasujące rękawiczki.

Sophie wzięła od niej jedną i obejrzała ją uważnie.

- Spójrzcie. Herb Penwood i monogram.

Ochmistrzyni obróciła drugą w dłoniach.

- SLG. Sarah Louisa Gunningworth. Twoja babka.

Sophie zerknęła na nią zaskoczona. Pani Gibbons nigdy nie mówiła na głos o jej pochodzeniu ani więzach krwi łączących ją z rodziną Gunningworthów.

- Tak, to twoja babka - powtórzyła gospodyni. - Za długo milczeliśmy. To zgroza, że Rosamunda i Popsy są traktowane jak córki hrabiego, a ty, jego rodzone dziecko, musisz im usługiwać.

Trzy służące pokiwały głowami.

- Choć raz, tej jednej nocy, będziesz królową balu - oświadczyła pani Gibbons i z uśmiechem obróciła ją do lustra. Sophie zapało dech.

- To ja?

Oczy gospodyni błyszczały podejrzeniem.

- Wyglądasz ślicznie, kochanie.

Sophie uniosła rękę.

- Nie popsuj fryzury! - krzyknęła jedna ze służących. Jej ciemnoblonde włosy zostały zebrane na czubku głowy w luźny węzeł, puszczone z tyłu aż do karku. Posypane jedwabistym pudrem lśniły jak u księżniczki z bajki. Zielone oczy iskrzyły się niczym szmaragdy. Zapewne od niewylanych łez. Pani Gibbons wręczyła jej maskę.

- A teraz jeszcze buty.

Sophie popatrzyła z zalem na swoje wysłużone, brzydkie buciory, stojące w kącie.

- Obawiam się, że nie mam nic stosownego do tej sukni.

Służąca, która pomalowała jej usta, triumfalnie uniosła w górę parę białych satynowych pantofli.

- Z garderoby Rosamundy.

Sophie przymierzyła jeden i szybko go zdjęła.

- Za duże - stwierdziła.

Pani Gibbons zwróciła się do pokojówki:

- Przynieś jakieś z garderoby Posy.

- Są jeszcze większe - powiedziała Sophie. - Wiem, bo nieraz je czyściłam.

Ochmistrzyni westchnęła.

- Więc musimy przejrzeć kolekcję Araminty.

Sophie zadrżała, ale szybko sobie uświadomiła, że nie ma innego wyjścia, jeśli chce iść na bal.

Kilka minut później służąca zjawiała się z dwiema białymi satynowymi pantoflami, ozdobionymi srebrną nicią i rozetkami z fałszywych brylantów. Sophie z wahaniem wsunęła w nie stopy. Pasowały idealnie.

- Jak robione specjalnie do tej sukni - stwierdziła jedna z pokojówek, wskazując na srebrne szwy.

- Nie czas na podziwianie butów - przerwała jej pani Gibbons. - Posłuchaj mnie uważnie, kochanie. Stangret właśnie wrócił i teraz zawiezie cię do Bridgertonów, ale ma być gotowy na wezwanie hrabiny, więc musisz wyjść przed północą i ani sekundy później. Rozumiesz?

Sophie pokiwała głową i spojrzała na ścienny zegar. Było trochę po dziewiątej, więc mogła spędzić na balu ponad dwie godziny.

- Dziękuję - wyszeptała. - Jestem pani taka wdzięczna.

Gospodyni wytarła oczy chusteczką.

- Baw się dobrze, skarbie. Nie trzeba mi innych podziękowań.

Sophie jeszcze raz zerknęła na zegar. Dwie godziny, które miały jej wystarczyć do końca życia.

## 2

*Bridgertonowie to naprawdę niezwykła rodzina. Z pewnością nie ma w Londynie osoby, która nie wie, że wszyscy są do siebie podobni jak krople wody i że dostali imiona według alfabetu: Anthony, Benedict, Colin, Daphne, Eloise, Francesca, Gregory i Hyacinth.*

*Ciekawe, jak wicehrabiostwo nazwałoby swoje dziewiąte dziecko. Imogen? Inigo?*

*Może dobrze, że poprzestali na ośmiu.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 2 czerwca 1815*

Benedict Bridgerton był drugim z ośmiorga dzieci, ale czasami czuł się jak setne.

Bał, który uparła się wydać jego matka, był maskaradą, więc Benedict posłusznie założył czarną półmaskę, ale i tak wszyscy go rozpoznawali. Albo prawie wszyscy.

- Bridgerton! - wołali, klaszcząc w dłonie.
- Ty pewnie jesteś Bridgerton!
- Bridgerton! Widzę ich co krok.

Nie chciałby należeć do żadnej innej rodziny, lecz czasami wolałby, żeby dostrzegano w nim nie kolejnego członka znanego rodu, tylko jego samego.

- Bridgerton! - zaszcebiotała kobieta w nieokreślonym wieku, przebrana za pasterkę. - Wszędzie po znałabym te kasztanowate włosy. Który to z was? Nie, proszę nie mówić. Niech zgadnę. Nie jest pan wicehrabią, bo właśnie go mijałam. W takim razie Numer Dwa albo Trzy. Więc który?

Benedict zmierzył ją chłodnym wzrokiem.

- Dwa - burknął.

Kobieta klasnęła w dłonie.

- Tak myślałam! Och, muszę znaleźć Portię. Twierdziła, że Numer Dwa jest młodszy, ale ja...

Benedict doszedł do wniosku, że jeśli natychmiast nie odejdzie, udusi tę natrętną kretynkę, a przy tylu świadkach nie wywinie się od kary.

- Proszę mi wybaczyć, ale właśnie dostrzegłem kogoś, z kim muszę porozmawiać - powiedział gładko.

Uklonił się podstarzałej pasterce i ruszył ku bocznym drzwiom sali balowej. Liczył na to, że w gabinecie brata znajdzie błogi spokój i może szklaneczkę wyśmienitej brandy.

- Benedict!

Do diaska! Niewiele brakowało, a ucieczka by się powiodła. W jego stronę spieszyła matka w elżbietańskim kostiumie. Pewnie była jedną z szekspirowskich postaci, ale za diabła nie miał pojęcia, którą.

- Czego sobie życzysz, mamó? - zapytał. - Tylko nie mów, że bym zatańczył z Hermione Smythe-Smith. Ostatnim razem omal nie straciłem trzech palców u nóg.

- Nie obawiaj się. Chciałabym, żebyś poprosił do tańca Prudence Featherington.

- Zlituj się, mamó! Ona jest jeszcze gorsza.

- Nie proszę, żebyś się z nią ożenił, tylko zatańczył.

Benedict stłumił jęk. Prudence Featherington, choć całkiem miła, miała kurzy rozumek i tak piskliwy śmiech, że ludzie uciekali od niej, zatykając uszy rękami.

- Wiesz, co? Zatańczę z Penelope Featherington, jeśli będziesz trzymać Prudence z daleka ode mnie.

- Dobrze - zgodziła się matka bez wahania.

Benedict zrozumiał, że wpadł w pułapkę.

- Jest przy stole z lemoniadą, przebrana za skrzyta, biedactwo - dodała Violet. - Trudno byłoby dla niej znaleźć mniej odpowiedni strój. Następnym razem ktoś powinien służyć paniom Featherington do brą radą.

- Chyba nie widziałaś syreny - stwierdził Benedict.

Matka klepnęła go po ramieniu.

- Nie żartuj sobie z gości.

- Sami się o to proszą.

Wicehrabina posłała synowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Idę poszukać twojej siostry.

- Której?

- Jednej z niezamężnych. Wicehrabia Guelph może i jest zainteresowany tą Szkotką, ale jeszcze nie są zaręczeni.

Benedict w duchu życzył Guelphowi szczęścia. Wiedział, że biedak będzie go potrzebował.

- I dziękuję za Penelope - dorzuciła Violet znaczącym tonem.

Syn uśmiechnął się półgębkiem, po czym wziął głęboki oddech i ruszył przez salę. Choć bardzo kochał matkę, uważał, że czasami jest nieznośna z tym swoim mieszanym się w życie dorosłych dzieci. A jeśli coś martwiło ją bardziej niż kawalerski stan synów,



to smutna twarz młodej dziewczyny, której nikt nie prosił do tańca. W rezultacie Benedict spędzał większość przyjęć na parkiecie, zarówno z kandydatkami na żonę, jak i z brzydunami podpierającymi ściany. Z dwojga złego wolał te ostatnie. Ślicznotki zwykle okazywały się płytkie i nudne.

Matka zawsze miała słabość do Penelope Featherington, która właśnie zaczynała... Benedict zmarszczył brwi... Trzeci sezon? Tak, chyba trzeci. Do tej pory nikt się o nią nie starał. No, cóż. Równie dobrze mógł wypełnić obowiązek. Penelope była całkiem sympatyczna, obdarzona dowcipem i charakterem. Kiedyś znajdzie sobie męża. Oczywiście nie zostanie nim on ani, jak podejrzewał, żaden z jego znajomych, lecz z pewnością ktoś się trafi.

Westchnął z zalem. Już czuł w ustach smak brandy, ale wyglądało na to, że przyjdzie mu zadowolić się szklanką lemoniady.

- Panno Featherington! - zawołał i natychmiast się poprawił: - To znaczy, Penelope.

Gdy dziewczyna uśmiechnęła się do niego promiennie, przypomniał sobie, że właściwie ją lubi. Po prawdzie, wcale nie omijano by jej z daleka, gdyby zawsze nie towarzyszyły jej siostry, na widok których każdy mężczyzna najchętniej wsiadłby na statek odpływający do Australii.

Już się do niej zbliżał, kiedy raptem usłyszał, że przez salę balową przetacza się szmer. Wiedział, że powinien iść dalej i dotrzymać obietnicy złożonej matce, ale, niech Bóg mu wybaczy, zwyciężyła w nim ciekawość.

Odwrócił się i ujrzał najbardziej oszałamiającą kobietę, jaką w życiu spotkał. Nie potrafił nawet stwier-

dzie, czy jest piękna. Włosy miała zwyczajne, ciemnoblonde, a pół jej twarzy zasłaniała maska.

Lecz było w niej coś, co go zahipnotyzowało. Uśmiech, kształt oczu, postawa, sposób, w jaki rozglądała się po sali. Zupełnie jakby nigdy w życiu nie widziała głupców z wyższych sfer, poprzebieranych w idiotyczne kostiumy.

Jej uroda pochodziła z wnętrza.

Nieznajoma wręcz jaśniała. I Benedict nagle zrozumiał, że po prostu wygląda na szczęśliwą.

On sam ledwo pamiętał to uczucie, choć niczego mu nie brakowało, miał siedmioro cudownego rodzeństwa, kochającą matkę i mnóstwo przyjaciół. Ale ta kobieta... umiała się cieszyć.

Zaprzagnął ją poznać.

Zapomniał o Penelope i ruszył w stronę tajemniczej kobiety, przepychając się przez tłum. Tymczasem w wyścigu pokonali go trzej dżentelmeni i teraz zasypywali ją komplementami. Ona natomiast reagowała całkiem inaczej niż znajome Benedicta.

Nie udawała onieśmiałonej ani przesadnie skromnej. Nie dawała do zrozumienia, że hołdy się jej należą. Nie szczebiotała, nie kokietowała, nie była wyniosła ani ironiczna, nie robiła żadnej z rzeczy, których można oczekiwać po kobiecie w takiej sytuacji.

Tylko się uśmiechała. A właściwie promieniała. Pochwały zwykle wprawiały ludzi w dobry humor, ale Benedict nigdy nie widział, żeby ktoś okazywał tak szczerą radość.

Ruszył dalej. Sam chciał zaznać takiej radości.

- Wybaczcie, panowie, ale ta dama obiecała mi taniec - skłamał.

Zobaczył, że jej oczy rozszerzają się, a potem mru-

-żę z rozbawienia. Wyciągnął do niej rękę, w duchu zachęcając ją, żeby go zdemaskowała. Lecz ona posłała mu szeroki uśmiech, od którego przeszło go mrowie. Gdy podała mu dłoń, dopiero wtedy uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech.

- Mogę zatańczyć z panią walca? - spytał, gdy weszli na parkiet.

Potrząsnęła głową.

- Ja nie tańczę.

- Pani żartuje.

- Niestety nie. Prawda jest taka, że... - Nachyliła się do niego i szepnęła: - Nie umiem.

Benedict spojrział na nią zaskoczony. Poruszała się z wrodzoną gracją, a poza tym każda dobrze urodzona dama brała lekcje tańca.

- Więc pozostaje tylko jedno wyjście - stwierdził. - Muszę panią nauczyć.

Nieznajoma wybuchnęła śmiechem.

- Powiedziałem coś zabawnego?

- Nawet ja wiem, że nie udziela się lekcji tańca na balu.

- Ciekawe, co miało znaczyć: „nawet ja”?

Kobieta nic nie odpowiedziała.

- W takim razie ja za panią zadecyduję - oświadczył.

- Za mnie? - Uśmiechała się, więc nie była obrażona.

- Jako dżentelmen nie mogę tolerować tego smutnego stanu rzeczy.

- Smutnego?

- Piękna dama, która nie potrafi tańczyć. To wbrew naturze.

- Jeśli pozwolę, żeby mnie pan nauczył...

- Kiedy mi pani pozwoli.

- Jeśli panu pozwolę, gdzie odbędzie się lekcja? Benedict rozejrzał się po sali z wyżyn swojego wzrostu.

- Będziemy musieli udać się na taras - stwierdził w końcu.

- Na taras? Nie będzie tłoku? Noc jest taka ciepła.

Nachylił się ku niej.

- Na prywatny taras.

- Prywatny? - powtórzyła z rozbawieniem w głosie. - A skąd, jeśli mogę spytać, pan wie, gdzie tutaj jest prywatny taras?

Benedict popatrzył na nią zaskoczony. Czyżby nie wiedziała, kim on jest? Nie żeby miał o sobie aż tak wysokie mniemanie i oczekiwał, że będzie go znał cały Londyn. Lecz jeśli ktoś spotkał choć jednego członka klanu, zwykle potrafił rozpoznać innego, a nie było w Londynie osoby, która nie zetknęłaby się z jakimś Bridgertonem. Jego też na ogół wszędzie witano jak dobrego znajomego. Nawet jeśli brano go za Numer Dwa.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie - przypomniała tajemnicza dama.

- Na temat prywatnego tarasu? - Benedict uniósł jej dłoń do ust i pocałował. - Powiedzmy, że mam swoje sposoby.

Wyglądała na niezdecydowaną, więc przyciągnął ją do siebie.

- Zatańczmy.

Kobieta nie cofnęła się, a on zrozumiał, że jego życie zmieniło się na zawsze.

Sophie nie dostrzegła go od razu po wejściu do sali balowej, ale wyczuła w powietrzu magię, więc kiedy pojawił się przed nią niczym księż z bajki, zrozumiała, że to dla niego zakradła się na bal.

Był wysoki i, o ile mogła dostrzec pod maską, przystojny, o ustach przywykłych do lekko ironicznych uśmiechów, z cieniem zarostu na brodzie. Włosy miał ciemnobrązowe, a migotliwy blask świec przydawał im rudawego połysku.

Obecni najwyraźniej go znali. Kiedy szedł przez salę, z szacunkiem usuwali mu się z drogi. A kiedy skłamał bezczelnie, że obiecała mu taniec, pozostali mężczyźni wycofali się bez protestu.

Był przystojny i silny, i przez tę jedną noc należał do niej.

Wiedziała, że kiedy zegar wybije dwunastą, wróci do ciężkiej pracy i spełniania wszystkich zachcianek Araminty. Czy to źle, że bardzo pragnęła paru chwil magii i miłości?

Gdy poprosił ją do tańca, poczuła się jak księżniczka, lekkomyślna księżniczka. A kiedy ich palce się zetknęły, zapomniała, że jest bękartem, jej suknia pożyczona, a buty ukradzione.

Przynajmniej przez dwie godziny mogła udawać, że od tej pory jej życie zmieni się na zawsze. To było tylko marzenie, a już od tak dawna na żadne sobie nie pozwalała.

Z cichym śmiechem ruszyła za nim przez salę, a jej dzentelmen zręcznie torował drogę, lawirując przez tłum.

- Dlaczego pani wciąż się ze mnie śmieje? - zapytał, gdy znaleźli się w holu.

- Po prostu jestem szczęśliwa - odparła, wzruszając ramionami.

- Z jakiego powodu? Bal to pewnie zwykła rzecz dla takiej kobiety jak pani?

Sophie się rozpromieniła. Widać dobrze grała swoją rolę, skoro uznał ją za bywalczynię salonów.

- Znowu się pani uśmiecha - zauważył, dotykając kącika jej ust.

- Bo lubię.

Objął ją w talii i przyciągnął ją do siebie. Odległość między nimi pozostała przyzwoita, ale bliskość pozbawiła ją tchu.

- A ja lubię patrzeć na pani uśmiech - powiedział.

Głos miał głęboki i uwodzicielski, ale dziwnie zachrypnięty. Sophie niemal była gotowa uwierzyć, że nie jest jedynie podbojem na jeden wieczór.

Lecz zanim zdążyła coś odpowiedzieć, z głębi holu dobiegi oskarżycielski okrzyk:

- Tu jesteś!

Sophie żołądek podszedł do gardła. Zaraz wyrzucą ją na ulicę jako oszustkę, a jutro prawdopodobnie trafi do więzienia za kradzież butów Araminty i...

- Matka wszędzie cię szuka. Wymigałeś się od tańca z Penelope i musiałem cię zastąpić.

- Tak mi przykro - bąknął jej dżentelmen.

Widać jego przeprosiny nie zabrzmiały szczerze, bo nowo przybyły łypnął na niego spode łba i oświadczył:

- Jeśli teraz uciekniesz i zostawisz mnie samego ze zgrają debiutantek, ostrzegam, że będę się mścił do śmierci.

- Jestem gotów zaryzykować.

- Już raz cię wybawiłem z kłopotu. Masz szczęście, że akurat stałem obok. Złamałeś biedaczce serce, kiedy po prostu odwróciłeś się na pięcie i sobie poszedłeś.

Jej towarzyszowi zostało dość przyzwoitości, żeby się zaczerwienić.

- Pewne rzeczy są nieuniknione.

Sophie spoglądała to na jednego, to na drugiego. Mimo półmasek bez trudu dostrzegła ich uderzające podobieństwo. I nagle sobie uświadomiła, że to muszą być bracia Bridgertonowie, dom należy do nich i...

Dobry Boże, czyżby zrobiła z siebie kompletną idiotkę, pytając go, skąd wie o prywatnym tarasie?

Ale którym z braci był jej dżentelmen? Benedictem. Tak, bez wątplenia. Podziękowała w duchu lady Whistledown, że kiedyś cały artykuł poświęciła sposobom odróżnienia rodzeństwa. Teraz sobie przypomniwała, że Benedict jest najwyższy.

Mężczyzna, który omal nie przyprawił jej o atak serca, był o dobry cal niższy od brata...

...i mierzył ją baczny wzrokiem. (Gregory miał dopiero czternaście lat, a żonaty Anthony nie robiłby Benedictowi wyrzutów, że zostawił go na pastwę debiutantek, więc to na pewno Colin.)

- Już rozumiem, dlaczego tak nagle odszedłeś - stwierdził z chytrą miną. - Może nas sobie przedstawisz?

- Niestety sam jeszcze nie znam imienia tej damy.

- Nie pytał pan - wtrąciła Sophie.

- A powiedziała mi pani, gdybym zapytał?

- Coś bym odpowiedziała.

- Ale nie prawdę.

- To nie jest noc prawdy.

- Moja ulubiona - oznajmił Colin.

- Nie powinieneś być gdzieś indziej? - zainteresował się starszy brat.

- Matka wolałaby, żebym warował w sali balowej, ale to chyba nie jest obowiązek.

- Owszem.

Sophie z wolna ogarniała wesołość.

- No, dobrze - westchnął Colin. - W takim razie sobie idę.

- Świetnie.

- Sam przeciwko stadu drapieżnych wilków...

- Wilków? - zdziwiła się Sophie.

- Młodych dam szukających męża - wyjaśnił Colin. - To sfora głodnych drapieżników, oczywiście wyłączając obecnych. Moja matka...

Benedict jęknął.

- ...bardzo chętnie widziałaby mojego starszego brata żonatego. - Umilkł i dumął przez chwilę. - No, może byłaby równie zadowolona, gdybym ja też się ożenił.

- Choćby po to, żeby pozbyć się ciebie z domu - dodał Benedict sucho.

Tym razem Sophie zachichotała.

- Z drugiej strony on jest dużo starszy - ciągnął Colin. - Więc może najpierw jego powinniśmy wysłać na szubienicę... to znaczy, do ołtarza.

- Masz coś jeszcze do powiedzenia? - warknął Benedict.

- Nic, ale to normalne.

- Święta prawda - skomentował brat, zwracając się do Sophie.

- Czy zlituje się pani nad moją biedną, cierpiącą matką i zaciągnie mojego brata do kościoła? - zapytał Colin.

- Jeszcze nie poprosił mnie o rękę.

- Ile wypijeś? - wtrącił Benedict.



- Ani kropli, lecz poważnie się zastanawiam nad naprawieniem tego błędu. Szczerze mówiąc, chyba tylko brandy pomoże mi przetrwać noc.

- Zdaje się, że mnie również, bo widzę, że w inny sposób się siebie nie pozbędę - stwierdził starszy Bridgerton.

Colin uśmiechnął się szeroko, zasalutował i ruszył w stronę sali balowej.

- Miło, jak rodzeństwo się kocha - rzuciła Sophie. Benedict wrócił do niej spojrzeniem.

- Nazywa to pani miłością?

Sophie pomyślała o Rosamundzie i Posy, które wciąż na siebie warczały, i to bynajmniej nie w żartach.

- Tak. To oczywiste, że oddałby pan za niego życie. I na odwrót.

- Z bólem przyznaję pani rację - powiedział Benedict z westchnieniem, ale zaraz popsuł efekt uśmiechem. Oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona. Wyglądał bardzo światowo.

- A pani ma rodzeństwo?

Sophie wahała się przez chwilę, po czym odparła zdecydowanie: -Nie. Bridgerton uniósł brew i lekko przechylił głowę.

- Ciekawe, dlaczego tak długo pani myślała nad odowiedzią. Pytanie było proste.

Sophie odwróciła wzrok. Nie chciała, żeby dostrzegł ból w jej oczach. Zawsze marzyła o rodzinie. Prawdę mówiąc, niczego w życiu nie pragnęła bardziej. Ojciec nigdy jej nie uznał, nawet prywatnie, matka umarła przy porodzie. Araminta traktowała ją jak dopust Boży, a jej córki nigdy nie stały się dla niej siostrami. Posy czasami bywała przyjaciółką, ale i tak prosiła ją o wyprasowanie sukni, uczesanie wło-

sów, wypastowanie butów. I choć nie rozkazywała jej, tak jak matka i Rosamunda, Sophie nie mogła odmówić.

- Jestem jedynym dzieckiem - oświadczyła w końcu.

- I to wszystko, co pani zamierza powiedzieć na ten temat - stwierdził Benedict.

- Tak.

- W porządku. - Uśmiechnął się z lekka. - Więc o co mogę panią pytać?

- O nic.

- O nic zupełnie?

- Może byłabym skłonna zdradzić, że moim ulubionym kolorem jest zielony, ale poza tym nie dam panu żadnych wskazówek co do mojej tożsamości.

- Po co tyle sekretów?

- Gdybym odpowiedziała, przestałyby nimi być, nieprawdaż? - Coraz bardziej zapalała się do roli tajemniczej nieznajomej.

Bridgerton pochylił się do przodu.

- Zawsze można stworzyć nowe.

Sophie cofnęła się o krok. Jego wzrok płonął, a ona dość się nasłuchiwała opowieści służących, by wiedzieć, co to oznacza. Nie była aż taka śmiała, jaką udawała.

- Cała ta noc to sekret - stwierdziła.

- Więc proszę mnie zadać pytanie. Ja nie mam tajemnic.

- Naprawdę? Chyba wszyscy je mają?

- Ja nie. Moje życie jest beznadziejnie banalne.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Ale tak wygląda - powiedział Bridgerton, wznosząc ramionami. - Nigdy nie uwiodłem niewinnej dziewczyny ani nawet mężatki. Nie porobiłem długów karcianych, a moi rodzice byli sobie całkowicie wierni.

To znaczy, że nie jest bękartem. Na tę myśl ścisnęło się jej gardło. Wiedziała, że gdyby poznał prawdę, straciłby zainteresowanie jej osobą, a przynajmniej szacunek.

- Nie zadała mi pani pytania - przypomniał.

Sophie zamrugła. Nie sądziła, że mówił poważnie.

- No, dobrze. Jaki jest pański ulubiony kolor?

Uśmiechnął się szeroko.

- Chce pani zmarnować szansę, żeby się akurat tego dowiedzieć?

- A mam tylko jedną?

- Pani nie pozwoliła mi na żadne. - Nachylił się jeszcze bardziej. Oczy mu błyszczały. - A odpowiedź brzmi: niebieski.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego niebieski? Ze względu na ocean? Czy niebo? A może lubi go pan bez powodu?

Benedict zmierzył ją wzrokiem. Wszyscy uznaliby jego odpowiedź za wystarczającą, lecz ta kobieta, której imienia nawet nie znał - drążyła głębiej.

- Jest pani malarką?

Potrząsnęła głową.

- Pytam z ciekawości.

-A dlaczego pani ulubionym kolorem jest zielony?

Westchnęła, a w jej oczach pojawił się smutek.

- Kojarzy mi się z trawą i liśćmi. Ale przede wszystkim z trawą. Z jej aksamitną gładkością, kiedy latem, się biega po niej boso. Z zapachem, gdy ogrodnicy ją koszą.

- Co dotyk albo zapach mają wspólnego z kolorem?

- Pewnie nic. A może wszystko. Mieszkałam na

wsi... - Ugryzła się w język. Nie zamierzała mówić aż tyle.

- I tam była pani szczęśliwsza? - zapytał cicho.

Skinęła głową, a po jej plecach przebiegł dreszcz.

Lady Whistledown niewątpliwie prowadziła z Benedictem Bridgertonem tylko powierzchowne rozmowy, bo nie napisała, że jest najbardziej spostrzegawczym człowiekiem w Londynie. Kiedy spojrzął jej w oczy, odniosła dziwne wrażenie, że zagląda w jej duszę.

- W takim razie zapewne pani lubi spacerować po parku - stwierdził.

- Tak - skłamała.

Araminta nigdy nie dawała jej wolnego dnia, który przysługiwał innym służącym.

- Moglibyśmy wybrać się razem.

Sophie szybko zmieniła temat.

- Nie wyjaśnił mi pan, dlaczego najbardziej lubi niebieski.

Lekko przechylił głowę na bok i zmrużył oczy. Zauważył jej unik.

- Nie wiem. Może też przypomina mi o czymś, za czym tęsknię. W Aubrey Hall, w Kencie, gdzie dorastałem, jest pewne jezioro, ale raczej szare niż niebieskie.

- Prawdopodobnie odbija się w nim niebo.

- Które najczęściej jest szare - zaśmiał się Benedict. - Może właśnie tego mi brakuje: błękitnego nieba i słońca.

- Gdyby nie padało, to nie byłaby Anglia - powiedziała Sophie z uśmiechem.

- Kiedyś wybrałem się do Włoch. Słońce świeciło przez cały czas.

- Jak w raju.

- Można by tak sądzić, ale zatęskniłem za deszczem.  
- Nie wierzę. Mnie się wydaje, że bez przerwy wyglądam przez okno i złość się na pluchę.

- Też zaczęłyby pani o niej marzyć.

Sophie się zamyśliła. Czy byłoby jej czegoś żal? Na pewno nie tęskniłaby za Aramintą ani za Rosamundą. Chyba brakowałoby jej Posy, ale najbardziej blasku słonecznego, wpadającego rano do klitki na poddaszu. A także żartów i śmiechów ze służącymi, którzy czasami dopuszczali ją do swoich rozmów, choć wiedzieli, że jest nieślubną córką hrabiego.

Miała jednak świadomość, że się o tym wszystkim nie przekona, bo nigdzie nie wyjedzie. Po tym wieczorze - zdumiewającym, cudownym i magicznym - wróci do swojego monotonnego życia.

Gdyby była silniejsza i odważniejsza, już dawno opuściłaby Penwood House. Lecz czy to by coś zmieniło? Mogłaby zostać guwernantką, ale bez referencji nie dostałaby żadnej posady.

- Umilkła pani - zauważył Benedict.

- Rozmyślałam.

- O czym?

- Za czym bym tęskniła, gdyby moje życie nagle się zmieniło.

W jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

- Spodziewa się pani nagłej zmiany?

Potrząsnęła głową, odpędzając smutek. -Nie.

- A chciałaby jej pani? - spytał niemal szeptem.

- Tak - odparła z westchnieniem, zanim zdążyła się pohamować. - O, tak.

Bridgerton ujął jej dłonie i podniósł je do ust.

- Więc zacznijmy od razu, a jutro poczuje się pani odmieniona.

- Dzisiaj jestem odmieniona - wyszeptała. - Jutro zniknę.

Benedict przyciągnął ją do siebie i musnął jej czoło najdelikatniejszym z pocałunków.

- W takim razie musimy zmieścić całe życie w tej jednej nocy.

*Pisząca te słowa z zapartym tchem czekam na bal maskowy u Bridgertonów. Podobno Eloise Bridgerton zamierza przebrać się za Joannę d'Arc, a Penelope Featherington, która właśnie wróciła od irlandzkich kuzynów na swój trzeci sezon, włoży strój krasnoludka. Panna Polly Reiling, pasierbica nieżyjącego hrabiego Penwood, szykuje kostium syrenki, co pisząca te słowa osobiście uważa za chybiony pomysł, natomiast jej starsza siostra, panna Rosamunda Reiling, trzyma swoje plany w tajemnicy.*

*Jeśli chodzi o mężczyzn, to sądząc po poprzednich maskaradach, większość postawnych przebierze się za Henryka VIII, szczuplejsi za Aleksandra Wielkiego albo za diabła, a znudzeni (do których zaliczają się bracia Bridgertonowie) za siebie, czyli wybiorą czarny strój wieczorowy i półmaskę jako ukłon w stronę tradycji.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 5 czerwca 1815*

- Proszę ze mną zatańczyć - powiedziała Sophie pod wpływem impulsu.

Bridgerton uśmiechnął się lekko.

- Sądziłem, że pani nie umie tańczyć.

- Obiecał pan mnie nauczyć.

Przez dłuższą chwilę przewiercał ją wzrokiem, po czym wziął ją za rękę i bez słowa ruszył ku schodom. Gdy znaleźli się na piętrze, pociągnął ją ku dużym drzwiom balkonowym. Chwytał za klamki z kutego żelaza i otworzył je szeroko. Oczom Sophie ukazał się mały taras z roślinami w donicach i dwoma szezlongami.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Nad salą balową. - Przymknął za nimi drzwi. - Słyszysz pani muzykę?

Z początku docierał do niej tylko gwar licznych głosów, ale kiedy zacisnęła powieki i wyjężyła słuch, zaczęła rozróżniać poszczególne instrumenty.

- Haendel - stwierdziła z uśmiechem. - Moja guwernantka miała pozytywkę z tą melodią.

- Bardzo pani kochała swoją nauczycielkę. Po tych słowach zaskoczona otworzyła oczy.

- Skąd pan wie?

- Domyśliłem się, tak jak wcześniej tego, że na wsi była pani szczęśliwsza.

Dłonią w rękawiczce musnął jej policzek i linię podbródka.

- Czytam z pani twarzy.

Sophie milczała przez chwilę.

- Spędzałam z nią więcej czasu niż z innymi domownikami.

- Samotne dzieciństwo - zauważył Bridgerton.

- Czasami tak, ale nie zawsze.

Zbliżyła się do balustrady, położyła na niej ręce i spojrzała w atramentowe niebo. Gdy nagle odwróciła się do niego z pogodnym uśmiechem, Benedict zrozumiał, że już nic więcej nie powie o swojej przeszłości.

- Pańskie z pewnością nie było samotne przy tylu braciach i siostrach.



- Wie pani, kim jestem. Skinęła głową.

- Z początku nie wiedziałam.

Podszedł do poręczy, oparł się o nią biodrem i skrzyżował ramiona na piersi.

- Co mnie zdradziło?

- Pański brat. Jesteście tacy podobni...

- Nawet w maskach?

- Nawet w maskach. Lady Whistledown często o was pisze i nigdy nie pomija okazji, by skomentować wasze podobieństwo.

- A wie pani, z którym Bridgertonem rozmawia?

- Z Benedictem. Jeśli lady Whistledown ma rację, twierdząc, że jest pan najwyższy z całej czwórki.

- Niezły z pani detektyw.

Zrobiła zakłopotaną minę.

- Ja tylko czytam plotkarskie pisemko. Jak zresztą wszyscy obecni na balu.

Benedict obserwował ją przez chwilę, zastanawiając się, czy zdaje sobie sprawę, że dała mu wskazówkę co do swojej tożsamości. Jeśli znała go tylko z „Kroniki”, w towarzystwie obracała się od niedawna albo wcale. Tak czy inaczej nie była jedną z młodych dam, którym przedstawiała go matka.

- Czego jeszcze dowiedziała się pani o mnie z tego pisemka?

- Domaga się pan komplementów? - zapytała z lekkim uśmiechem. - Bo lady Whistledown zwykle oszczędza Bridgertonom złośliwości. O waszej rodzinie prawie zawsze pisze dobrze.

- Co prowokuje spekulacje na temat jej tożsamości. Niektórzy uważają, że sama jest jedną z Bridgertonów.

- A jest?  
Benedict wzruszył ramionami.  
- Nie mam pojęcia. Ale nie odpowiedziała pani na moje pytanie.  
- Które?  
- Co pani o mnie wie z „Kroniki”?  
- Naprawdę to pana interesuje? - zdziwiła się Sophie.  
- Skoro nic nie mogę dowiedzieć się o pani, przynajmniej się zorientuję, co pani wie o mnie.  
Palcem wskazującym dotknęła dolnej wargi w czarującym geście zamyślenia.  
- W zeszłym miesiącu wygrał pan jakieś głupie wyścigi konne w Hyde Parku.  
- Wcale nie były głupie - zaprotestował Benedict. - A poza tym wzbogaciłem się o sto funtów.  
Sophie posłała mu wyniosłe spojrzenie.  
- Wyścigi koni zawsze są głupie.  
- Mówi pani jak kobieta.  
- Cóż...  
- Niech pani się powstrzyma od oczywistej uwagi. Co jeszcze?  
- Hm. Kiedyś uciął pan głowę lalce swojej siostry.  
- I nadal próbuję dociec, skąd ta kobieta o tym wiedziała - mruknął Benedict.  
- Może jednak to ktoś z Bridgertonów.  
- Niemożliwe. Nie żebyśmy byli za mało bystry, żeby się tego domyślić. Raczej jesteśmy na tyle sprytni, żeby nie próbować odkryć tajemnicy.  
Sophie wybuchnęła śmiechem, a Benedict zmierzył ją wzrokiem, zastanawiając się, czy wie, że po raz kolejny się zdradziła. O niefortunnym wypadku z gilotyną lady Whistledown doniosła przed dwoma laty, w jednym

z pierwszych numerów. Z czasem wiele osób kazało sobie przysłać gazetkę do wiejskich rezydencji, ale na początku „Kronika” trafiała tylko do Londyńczyków.

Co oznaczało, że tajemnicza dama mieszka w stolicy co najmniej od dwóch lat. Mimo to nie wiedziała, kim on jest, póki nie zobaczyła Colina. Zatem nie chodziła na przyjęcia. Może na razie w towarzystwie bywały jej starsze siostry, a ona, jako najmłodsza, czekała na swoją kolej.

- Co jeszcze pani wie? - spytał, licząc na więcej tropów.

Roześmiała się wesoło. Najwyraźniej dobrze się bawiła.

- Pańskiego nazwiska na razie nie łączono z żadną młodą damą, więc pańska matka rozpacza, bo wątpi, czy kiedykolwiek się pan ożeni.

- Nacisk zelżał, odkąd mój brat znalazł sobie żonę.

- Wicehrabia? Benedict skinął głową.

- Lady Whistledown o tym również pisała.

- Ze szczegółami. Chociaż... - Nachylił się do niej i ściszył głos. - Nie poznała wszystkich faktów.

- Naprawdę? - zaciekała się Sophie. - Co umknęło jej uwadze?

Bridgerton cmoknął i pokręcił głową.

- Nie zdradzę sekretów mojego brata, jeśli nie ujawni mi pani swojego imienia.

Sophie prychnęła.

- „Sekrety” to chyba za mocne słowo. Lady Whistledown napisała...

- Lady Whistledown nie wie o wszystkim, co się dzieje w Londynie - przerwał jej z półśmiechem.

- Ale prawie o wszystkim.

- Nie sędzę. Na przykład podejrzewam, że nawet gdyby była na tym tarasie, nie wiedziałaby, kim pani jest.

Jej oczy się rozszerzyły, co Benedictowi sprawiło pewną satysfakcję. Skrzyżował ramiona na piersi.

- Mam rację?

- W tym przebraniu nikt by mnie nie rozpoznał.

Bridgerton uniósł brew.

- A gdyby zdjęła pani maskę?

Sophie odsunęła się od poręczy i ruszyła przez taras.

- Nie odpowiem na to pytanie.

Benedict poszedł za nią.

- Wcale tego nie oczekiwałem, ale musiałem spróbować.

Odwróciła się i zaskoczona ujrzała, że stoi tuż za nią. Chciała coś powiedzieć, ale stwierdziła, że ma pustkę w głowie. Zaparło jej dech, nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko patrzyła w ciemne oczy, które przeszywały ją na wylot.

- Jeszcze pani ze mną nie zatańczyła - przypomniał.

Nie poruszyła się, kiedy położył dłoń na jej plecach. Przeszło ją mrowie, a powietrze raptem zrobiło się gęste i gorące. I nagle sobie uświadomiła, że to pożądanie, o którym szeptały pokojówki. Dobrze urodzona dama nie powinna nawet o nim wiedzieć. Ale ona nie była szlachetnie urodzoną damą, tylko bękartem. Nie należała do wyższych sfer. Czy naprawdę musiała przestrzegać ich reguł?

Przysięgła sobie, że nie zostanie niczyją kochanką i nigdy nie urodzi nieślubnego dziecka, które powtórzyłyby jej los. Lecz przecież nie planowała żadnych zdróżnych rzeczy, tylko jeden taniec, może pocałunek. Co prawda, to też by wystarczyło, żeby zniszczyć jej reputację, ale z drugiej strony i tak była wy-

rzutkiem społeczeństwa. I pragnęła jednej bajkowej nocy.

Podniosła oczy.

- Więc pani nie ucieknie - stwierdził Benedict z płonącym wzrokiem.

Powinna ją zaniepokoić łatwość, z jaką czytał w jej myślach, ale tej ciepłej nocy, wypełnionej dźwiękami muzyki, przeszył ją dreszcz podniecenia.

- Co mam robić? - zapytała.

- Proszę położyć dłoń na moim ramieniu. Nie, trochę niżej. O, tak.

- Pewnie się pan dziwi, że nie umiem tańczyć - Stwierdziła.

- Moim zdaniem jest pani bardzo odważna, że się do tego przyznaje. - Wziął jej drugą rękę. - Większość moich znajomych udawałaby ból głowy albo brak zainteresowania.

Sophie spojrzała mu w oczy, choć wiedziała, że to niebezpieczne.

- Nie mam talentów aktorskich.

Bridgerton przygarnął ją do siebie.

- Proszę słuchać muzyki - powiedział dziwnie ochrypłym głosem. - Czuje pani, jak się unosi i opada?

Potrząsnęła głową.

- Niech pani się wsłucha - szepnął, przysuwając wargi do jej ucha. - Raz, dwa trzy. Raz, dwa, trzy.

Zamknęła oczy i z gwaru rozmów wyłowiła ciche tony. Po chwili stwierdziła, że kotysze się do rytmu melodii i wylizanki Benedicta.

- Raz, dwa, trzy. Raz, dwa trzy.

- Czuję - wyszeptwała.

Powieki nadal miała zaciśnięte, ale była pewna, że się uśmiechnął.

- To dobrze, a teraz niech pani pozwoli się prowa-  
dzić i uważa na moje nogi.

Sophie otworzyła oczy i spojrzała w dół.

- Raz, dwa, trzy. Raz, dwa trzy.

Z wahaniem zrobiła pierwszy krok i... nadepnęła go na  
stopę.

- Och, przepraszam!

- Moje siostry radziły sobie dużo gorzej - pocieszył ją  
Benedict. - Proszę się nie załamywać.

Spróbowała ponownie i ku swojemu zdumieniu  
zorientowała się, że wie, co robić.

- Och! To cudowne! - zawołała.

- Niech pani uniesie głowę.

- Ale wtedy się potknę.

- Bez obawy. Proszę patrzeć mi w oczy.

Gdy spełniła polecenie, Benedict zaczął wirować z nią po  
tarasie, najpierw wolno, potem coraz szybciej, aż zabrakło  
jej tchu. Lecz ani na chwilę nie oderwała od niego wzroku.

- Jak się pani czuje? - zapytał.

- Wspaniale! - odparła ze śmiechem.

- Co pani słyszy?

- Muzykę.

Przytulił ją mocniej, zmniejszając odległość między nimi  
o kilka cali.

- Co pani widzi?

Potknęła się, ale nie spojrzała pod nogi.

- Swoją duszę - wyszeptwała.

Zatrzymał się nagle.

- Co pani powiedziała?

Sophie milczała. Bała się zepsuć tę czarodziejską chwilę.

Nieprawda. Lękała się powrotu do szarej rzeczywi-

litości. Jak po tym wszystkim będzie mogła czyścić buty Araminty?

- Słyszałem, ale...

- Proszę nic nie mówić - przerwała mu Sophie.

Nie chciała do końca życia usychać z tęsknoty do tego mężczyzny. Benedict patrzył na nią przez długą chwilę, a potem szepnął: - Nie powiem ani słowa.

I dotknął wargami jej ust i wolno przesunął po nich w tę i z powrotem, aż przeszły ją ciarki. Poczuła je nawet w palcach stóp. Doznanie było dziwne i zaraem cudowne.

Ręką, którą w czasie walca trzymał na jej plecach, mocniej przygarnął ją do siebie. Sophie zrobiło się gorąco. W jego silnych objęciach czuła się krucha i bezbronna, a jednocześnie najpiękniejsza w świecie.

Jego usta stały się bardziej natarczywe, język połąskotał kącik ust. Druga dłoń zsunęła się po jej ramieniu na kark i zaczęła bawić kosmykami, które wymknęły się z wężła.

- Pani włosy są jak jedwab - wyszeptał Benedict. Sophie zachichotała. Odsunął się zaskoczony.

- Z czego się pani śmieje?

- Jest pan w rękawiczkach.

Bridgerton wykrzywił usta w chłopięcym uśmiechu, od którego stopniało jej serce.

- I tak wiem swoje, ale mogę się upewnić - powie dzia! i wyciągnął do niej dłoń.

Sophie dopiero po chwili się zorientowała, o co mu chodzi.

Wzięła głęboki oddech i ściągnęła mu ręką-

wiczkę. Gdy spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich dziwny wyraz.

Benedict opuszkami musnął jej policzek, a następnie sięgnął do włosów. Gdy owijał wokół palca długi splot, nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Myliłem się - stwierdził. - Są delikatniejsze niż jedwab.

Sophie raptem ogarnęło silne pragnienie, żeby też go dotknąć.

- Teraz moja kolej - powiedziała cicho.

Bridgertonowi rozbłysły oczy. Chwycił jej rękawiczkę, ale zamiast ściągnąć ją do końca, pochylił się i dotknął ustami wewnętrznej strony jej ramienia, wysoko nad łokciem.

- Skóra też delikatniejsza niż jedwab - mruknął.

Sophie aż się zachwiała.

Benedict bardzo wolno zdjął rękawiczkę, jednocześnie sunąc wargami po jej przedramieniu.

- Pozwoli pani, że na chwilę się tu zatrzymam. Nie

podnosząc wzroku, musnął językiem zgięcie łokcia. - Och!

- Wiedziałem, że się to pani spodoba.

Dotarł do nadgarstka, tam zrobił krótki przystanek, po czym powędrował ustami na środek dłoni.

- Kim pani jest? - zapytał, nie puszczając jej ręki. Bez słowa potrząsnęła głową.

- Muszę znać chociaż pani imię.

- Nie mogę powiedzieć. - Dostrzegłszy wyraz jego twarzy, dodała pośpiesznie: - Na razie.

Wziął jej palec i przesunął nim delikatnie po swoich wargach.

- Chciałbym jutro się z panią spotkać, złożyć wi zyte, zobaczyć, gdzie pani mieszka.



Milczała, walcząc ze łzami.

- Pragnę poznać pani rodziców i nieznośnego pieska - ciągnął trochę niepewnym tonem. - Rozumie pani, co mam na myśli?

Choć z dołu niosła się muzyka i rozmowy, na tarasie wyraźnie było słychać ich zdyszane oddechy.

- Pragnę... - Benedict ściszył głos do szeptu, a w jego oczach odmalowało się zaskoczenie własnymi słowami. - Muszę dowiedzieć się o pani wszystkiego. - Niech pan nic więcej nie mówi. Proszę. Ani słowa.

- Więc proszę mi powiedzieć, jak ma pani na imię i gdzie panią jutro mogę odwiedzić. - Ja... - Nagle usłyszała donośny, egzotyczny dźwięk - Co to jest?

- Gong. Sygnał do zdjęcia masek.

Ogarnął ją strach. - Co takiego?

- Pewnie już północ. - Północ? - wykrztusiła. - Pora się ujawnić.

Sophie gwałtownie przycisnęła maskę do twarzy. - Dobrze się pani czuje?

- Muszę iść. - Uniosła spódnice i popędziła do drzwi tarasu. - Proszę zaczekać!

Bridgerton rzucił się za nią i próbował chwycić ją za suknię, ale paniczny lęk dodał Sophie sił. Zbiegła po schodach, jakby ścigały ją diabły. Wpadła do sali balowej, wiedząc, że w tłumie najłatwiej się zgubi. Uczestnicy zabawy kolejno zdejmowali maski i wybuchali głośnym śmiechem.

Obejrzała się przez ramię. Benedict stał w progu rozglądał się bacznie. Jeszcze jej nie zauważył, ale

była to tylko kwestia czasu, jako że srebrna suknia rzucała się w oczy.

Sophie ruszyła do bocznego wyjścia, bezceremonialnie rozpychając się łokciami. Większość gości, zamroczonea trunkami, nie zwracała na nią uwagi.

- Przepraszam - bąknęła do Juliusza Cezara. - Przepraszam! - Omal nie krzyknęła, kiedy Kleopatra na depnęła ją na palec. - Przepraszam, ja...

Zaniemówiła, stanąwszy twarzą w twarz z lady Penwood. Całe szczęście, że nie zdjęła maski. Gdyby Araminta ją rozpoznała...

- Patrz, jak chodzisz - syknęła hrabina, zakręciła spódnicami i oddaliła się z szelestem jedwabiu.

Gdyby Sophie nie myślała tylko o wydostaniu się z Bridgerton House, zaśmiałaaby się z radości.

Znowu obejrzała się płochliwie. Benedict już ją dostrzegł i teraz skuteczniej niż ona roztrącał gości, zmierzając w jej stronę. Ze zdwojoną energią ruszyła przed siebie, omal nie zwałając z nóg dwóch greckich bogiń.

W drzwiach po raz ostatni zerknęła przez ramię i stwierdziła, że jej prześladowcę zatrzymała jakaś starsza dama z laską. Wypadła z rezydencji jak burza i pobięła przed front budynku, gdzie czekał na nią powóz.

- Jedź, jedź! - krzyknęła do stangreta.

Karoca potoczyła się ulicą.

*Uczestniczka niejednego balu maskowego doniosła piszącej te słowa, że Benedict Bridgerton był widziany w towarzystwie tajemniczej damy w srebrnej sukni. Mimo starań nie udało się jednak ustalić jej tożsamości. A skoro pisząca te słowa nie zdołała odkryć prawdy, z pewnością sekret jest dobrze strzeżony.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 7 czerwca*

Odjechała.

Benedict stał przed domem i rozglądał się po ulicy. Na całej Grosvenor Square panował ożywiony ruch. Nieznajoma mogła być w którymkolwiek z powozów czekających na wydostanie się ze ścisku albo w jednym z trzech, które właśnie skręciły za róg. Tak czy inaczej zniknęła.

Najchętniej udusiłby lady Danbury, która wbiła łaskę w jego stopę i uparła się podzielić z nim opinią na temat kostiumów. Nim zdołał się wyrwać, nieznana uciekła bocznymi drzwiami sali balowej. I wiedział, że nie zamierza więcej się z nim zobaczyć. Zaklął pod nosem. Żadna z dam, które przedstawiała mu matka - a było ich wiele - nie zrobiła na

nim takiego wrażenia jak kobieta w srebrnej sukni. Od chwili gdy ją ujrzał, powietrze aż się iskrzyło z napięcia, a on znowu czuł się jak młody chłopiec. Życie raptem stało się pasjonujące, pełne napiętności i marzeń.

A jednak...

Zaklął znowu, tym razem z żalem.

Nawet nie dowiedział się, jaki kolor mają jej oczy.

Na pewno nie były brązowe, ale w przyćmionym blasku świec nie potrafił stwierdzić, czy są niebieskie czy zielone. A może orzechowe lub szare. Z jakiegoś powodu ten drobiazg nie dawał mu spokoju.

Podobno źrenice są oknem duszy. Jeśli naprawdę znalazł kobietę swoich marzeń, jedyną, z którą wyobrażał sobie przyszłość, to, na Boga, powinien chyba znać kolor jej oczu.

Wiedział, że niełatwo będzie ją znaleźć. Miał niewiele wskazówek co do jej tożsamości. Kilka uwag na temat kroniki towarzyskiej lady Whistledown i...

Spojrzał na rękawiczkę, którą nadal ścisnął w dłoni. Zupełnie o niej zapomniał, pędząc przez salę balową. Uniósł ją teraz i powąchał, ale ku jego zaskoczeniu nie pachniała "wodą różaną i mydłem jak tajemnicza dama, tylko pleśnią, jakby wiele lat przeleżała w kufrze.

Dziwne. Dlaczego nosiła stare rękawiczki?

Obrócił ją w dłoniach i zauważył monogram.

SLG. Czyjeś inicjały.

Jej?

I rodowy herb, którego nie znał.

Na szczęście jego matka zawsze wiedziała takie rzeczy.

Mogła również się domyślić, do kogo należą inicjały SLG.

W Benedicta wstąpiła nadzieja. Odnajdzie ją i zdobędzie. To takie proste.

Wystarczyło pół godziny, żeby Sophie zmieniła się z księżniczki w zwykłą służącą. Jedwabna suknia wróciła do kufra, pantofle wysadzone brylancikami do szafy Araminty, a róż, którym pokojówka umalowała jej usta, na toaletkę Rosamundy. Krótki masaż usunął z twarzy ślady po masce, włosy zostały splecione w prosty warkocz.

Ale najsmutniejsze, że zniknął również książę z bajki.

Benedict Bridgerton okazał się taki, jakim go sobie wyobrażała na podstawie opisów lady Whistledown: przystojny, silny i szarmancki mężczyzna z dziewczęcych marzeń. Niestety nie z jej marzeń, pomyślała ze smutkiem.

Lecz przez jedną noc należał do niej i to wspomnienie powinno jej wystarczyć.

Sięgnęła po pluszowego psa, którego zachowała na pamiątkę po szczęśliwych czasach dzieciństwa. Wśliznęła się do łóżka i skuliła pod kołdrą, tuląc do siebie maskotkę.

Zacisnęła powieki i przygryzła wargę, hamując szloch. Łzy zmoczyły poduszkę.

To była długa, długa noc.

- Poznajesz to? - zapytał Benedict, wchodząc do bardzo kobiecego różowo-kremowego buduaru.

Matka wzięła od niego jedwabną rękawiczkę i uważnie przyjrzała się herbowi.

- Penwood - stwierdziła bez wahania.

- Hrabia?

Violet Bridgerton skinęła głową.

- G to Gunningworth. O ile sobie przypominam, tytuł przeszedł ostatnio na inną gałąź rodu. Odziedził go jakiś daleki kuzyn. Hrabia zmarł bezpotomnie... jakieś sześć albo siedem lat temu. A ty wczoraj nie zatańczyłaś z Penelope Featherington. Masz szczęście, że twój brat cię zastąpił.

Benedict stłumił jęk.

- Więc kim jest SLG?

Matka zmrużyła oczy.

- Dlaczego cię to interesuje?

- Nie możesz po prostu odpowiedzieć na pytanie?

Wicehrabina prychnęła.

- Przecież mnie znasz. Do kogo należy ta rękawiczka? - Widząc minę syna, dodała: - Równie dobrze możesz wszystko mi wyznać. I tak wcześniej czy później dowiem się prawdy, a lepiej, żebym nie musiała zadać ci pytań.

Benedict westchnął. Nie lubił budzić w matce nadziei, że w końcu się ożeni, ale jeśli chciał odnaleźć nieznaną, rzeczywiście nie miał innego wyjścia.

- Poznałem kogoś na wczorajszym balu - powie dziać niechętnie.

Violet klasnęła w dłonie.

- Naprawdę?

- To dlatego zapomniałem poprosić Penelope do tańca.

- Kto to? Jedna z córek Penwooda? - Lady Bridgerton zmarszczyła czoło. - Nie, to niemożliwe. Ale zaraz, hrabia miał przecież dwie pasierbice. - Na jej twarzy odmalowała się konsternacja. - Choć poznałszy te dziewczęta...

-Co?

- Cóż, nigdy bym nie przypuszczała, że zainteresujesz się którąś z nich. Ale skoro tak, oczywiście zaproszę hrabinę wdowę na herbatę. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić. Benedict już miał coś powiedzieć, ale matka ściągnęła brwi. - O co tym razem chodzi?

- Och, o nic. Ja tylko... cóż...

- Wyduś to wreszcie, mamó.

Violet uśmiechnęła się blado.

Nie przepadam za lady Penwood. Zawsze uważałam ją za zimną i nazbyt ambitną.

Ciebie również można nazwać ambitną - zauważył syn.

Wicehrabina się skrzywiła.

- Owszem, zależy mi na tym, by moje dzieci szczęśliwie się pożeniły i powychodziły za mąż, ale nigdy nie wydałabym córki za siedemdziesięcioletniego starca tylko dlatego, że jest księciem!

- A hrabina tak zrobiła? - Benedict nie mógł sobie przypomnieć, żeby ostatnio jakiś siedemdziesięcioletnik i diuk udał się do ołtarza.

Nie - przyznała Violet. - Ale byłaby do tego zdolna natomiast ja... - Wskazała na siebie teatralnym gestem. - Pozwoliłabym swoim dzieciom poślubić biedaków, gdyby to miało dać im szczęście. Benedict uniósł brew.

Oczywiście to musieliby być biedacy pracowici i z zasadami - wyjaśniła matka. - Żadnych hazardzistów. Syn dyskretnie zakaszłał w chusteczkę.

- Ale nie powinieneś się mną przejmować - dodała wicehrabina, zerkając na niego z ukosa.

- Muszę.

Violet uśmiechnęła się promiennie.

- W takim razie odłożę na bok swoją niechęć do hrabiny wdowy. - "W jej oczach pojawiła się nadzieja. - Zależy ci na jednej z jej córek?

- Naprawdę nie wiem. Nie zdradziła mi swojego imienia. Mam tylko jej rękawiczkę.

Matka rzuciła mu surowe spojrzenie.

- Nie spytam, jak ją zdobyłeś.

- Zapewniam cię, że w całkiem niewinny sposób. Na twarzy lady Bridgerton odmalowało się powątpiewanie.

- Wychowałam tylu synów, że trudno mi w to uwierzyć.

- Co z inicjałami? - przypomniał Benedict. Violet jeszcze raz przyjrzała się rękawiczce.

- Jest dość stara - powiedziała.

- Również doszedłem do tego wniosku. Pachnie stęchlizną, jakby sporo czasu przeleżała w kufrze.

- A na szwach jest wytarta. Nie wiem, co oznacza L, ale S to pewnie Sara. Matka hrabiego. To miałoby sens, zważywszy na wiek rękawiczki.

- Do kogo może należeć? Jestem pewien, że wczoraj nie rozmawiałem z duchem?

- Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że do kogoś z rodziny Gunningworthów.

- Gdzie mieszkają?

- W Penwood House. Nowy hrabia jeszcze nie przejął rezydencji. Może się boi, że wdowa i jej córki zechcą z nim zamieszkać. Chyba nie przyjechał na sezon. Nie znam go osobiście.

- A przypadkiem wiesz...

- Gdzie jest Penwood House? Niedaleko, zaledwie kilka przecznic stąd...



Benedict zerwał się z krzesła i ruszył do drzwi, zanim matka skończyła udzielać mu wskazówek.

- Benedykcie! - zawołała Violet.

Obejrzał się przez ramię.

- Tak, mamó?

-Jeśli cię to interesuje, córki hrabiny mają na imię Rosamunda i Posy.

Hm. Żadne nie pasowało do kobiety w srebrnej sukni, ale mógł się mylić. Sięgnął do klamki...

- Benedykcie!

- Tak, mamó? - Tym razem w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

- Będziesz mi opowiadał na bieżąco, *co* się dzieje, prawda?

- Oczywiście.

- Kłamiesz, ale ci wybaczam - powiedziała matka z uśmiechem. - To miło widzieć cię zakochanym.

- Nie jestem...

- Tak, tak. - Odprawiła go machnięciem ręki.

Benedict uznał, że nie ma sensu zaprzeczać, więc tylko przewrócił oczami i wybiegł z pokoju.

- Sophieeee!

Araminta sprawiała wrażenie rozgniewanej bardziej niż zwykle, co wydawało się prawie niemożliwe, ponieważ zawsze była na nią zła.

- Do diaska, gdzie jest ta niezdolna dziewczyna?

- Tutaj - mruknęła Sophie pod nosem, odkładając srebrną łyżkę, którą właśnie polerowała.

Czyszczenie srebra nie należało do obowiązków pokojówki, ale lady Penwood z upodobaniem zmuszała ją do harówki.

- Już idę! - odkrzyknęła, wychodząc do holu. Bóg

tylko wiedział, o co tym razem chodziło hrabinie. -Milady?

Araminta jak burza wypadła zza rogu.

- Co to ma znaczyć? - wrzasnęła.

Sophie zamarła na widok pantofli, które sobie pożyczyła poprzedniego wieczoru.

- N... nie wiem - wymamrotała.

- To nowe buty! Zupełnie nowe!

- Nie rozumiem.

- Sama zobacz! - huknęła lady Penwood, pokazując obcasy. - Są zabrudzone! Jak to się mogło stać?

- Nie wiem, milady. Może...

- Nie ma żadnych może. Ktoś chodził w moich butach!

- Zapewniam, że nikt nie chodził w pani pantoflach - powiedziała Sophie, zdziwiona, że głos jej nie drży. - Wszyscy wiemy, jak pani się o nie trzęsie.

Hrabina zmrużyła oczy.

- Czy to sarkazm?

- Nie! Oczywiście, że nie. Ja tylko miałam na myśli to, że bardzo pani dba o swoje buty. Dzięki temu na dłużej wystarczają. - Araminta nic nie odpowiedziała, więc Sophie dodała: - Co oznacza, że nie musi pani kupować tylu par.

Lady Penwood miała więcej obuwia, niż inni ludzie przez całe życie.

- To twoja wina - burknęła Araminta.

Jak zwykle, pomyślała Sophie, ale zatrzymała tę uwagę dla siebie.

- Czego pani ode mnie oczekuje, milady?

- Chcę wiedzieć, kto nosił moje pantofle.

- Może przypadkiem nadepnęła je pani w garderobie.

- Nigdy niczego nie robię przypadkiem - warknęła hrabina.

Sophie zgodziła się z nią w duchu.

- Wypytam pokojówki. Może któraś z nich coś wie.

- To idiotki - stwierdziła Araminta. - O niczym nie mają pojęcia.

- Spróbuję wyczyścić te obcasy.

- Bardzo wątpię, czy ci się uda. Są obciążone sa tyną.

- Na pewno coś da się zrobić.

-Więc zrób, a przy okazji...

Do licha! Wszystkie niemiłe rzeczy zaczynały się od tych słów.

- Wyczyścisz pozostałe buty.

Sophie przełknęła ślinę. Kolekcja Araminty liczyła co najmniej osiemdziesiąt par.

- Wszystkie?

- Wszystkie. A przy okazji...

Znowu!

- Lady Penwood?

Hrabina się odwróciła.

-Jakiś dżentelmen pragnie się z panią widzieć, milady - oznajmił kamerdyner, podając jej białą wizytówkę.

Gdy Araminta przeczytała nazwisko, jej oczy rozbłysły.

- Och! - szepnęła, po czym wyrzuciła z siebie jednym tchem: - Herbata! Ciastka! Najlepsze srebro! Natychmiast!

Sługa oddalił się pospiesznie, a Sophie spojrzała na hrabinę z nieukrywaną ciekawością.

- Mogę jakoś pomóc? - zapytała.

Lady Penwood dopiero teraz przypomniała sobie o jej obecności.

- Nie. Jestem zbyt zajęta, żeby zawracać sobie to bą głowę. Idź natychmiast na górę. A w ogóle co tu taj robisz?

Sophie wskazała na jadalnię.

- Kazała mi pani polerować...

- Kazałam ci zająć się moimi butami! - wrzasnęła Araminta.

- D... dobrze. Już idę. - Hrabina zachowywała się bardzo dziwnie, nawet jak na nią. - Tylko schowam...

- Natychmiast!

Sophie popędziła do schodów.

- Zaczekaj!

- Słucham?

- Ułóż włosy Rosamundzie i Posy.

- Oczywiście.

- A później powiedz Rosamundzie, żeby cię zamknęła w mojej garderobie.

Sophie wytrzeszczyła oczy.

- Jasne? - Araminta podeszła do niej z groźną mi ną i syknęła: - Nie odpowiedziałś. Rozumiesz?

Niewolnica ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

- Dlaczego mnie pani tu trzyma? - spytała bez za- stanowienia.

- Bo jesteś użyteczna.

Sophie odprowadziła ją wzrokiem, po czym wbiegła po schodach. Fryzury Rosamundy i Posy wyglądały znośnie, więc westchnęła i powiedziała do Posy:

- Zamknij mnie w garderobie.

Posy zamrugnęła zaskoczona.

- Słucham?

\_ Kazano mi poprosić o to Rosamundę, ale nie mogłam się do tego zmusić.

Posy z ciekawością zajrzała do garderoby.

- Mogę zapytać, dlaczego?

- Mam wyczyścić buty twojej matki. Posy przełknęła ślinę.

- Przykro mi.

- Mnie też - powiedziała Sophie z westchnieniem. -

Mnie też.

## 5

*A oto inne refleksje na temat słynnego balu maskowego. Wybór kostiumu syrenki przez Posy Reiling był dość niefortunny, ale nie tak bardzo, jak, zdaniem piszącej te słowa, stroje pani Featherington i jej dwóch najstarszych córek, które przebrały się za owoce: Philippa za pomarańczę, Prudence za jabłko, natomiast ich matka za kiść winogron.*

*Smutne, że żadna z nich nie wyglądała apetycznie.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 7 czerwca 1815*

Co się ze mną dzieje, dumiał Benedict. Odkąd usiadł na kanapie w salonie lady Penwood, kilkanaście razy dotykał kieszeni surduta, upewniając się, że rękawiczka nadal tam jest. Zdenerwowany jak nigdy, nie był pewien, co powie hrabinie, choć zwykle nie miał kłopotów z podtrzymaniem rozmowy.

Spojrzał na zegar stojący na kominku. Wizytówkę wręczył kamerdynerowi jakieś piętnaście minut temu, co oznaczało, że pani domu zjawi się lada moment. Niepisana zasada głosiła, że dama z towarzystwa powinna kazać: czekać swoim gościom co najmniej kwadrans albo dwadzieścia minut.

Idiotyczna reguła, pomyślał Benedict z irytacją. Dlaczego ludzie nie cenią punktualności...

-Pan Bridgerton!

Do pokoju wpłynęła dość atrakcyjna, jasnowłosa kobieta po czterdziestce. Wyglądała znajomo, ale tego mógł się spodziewać. Nie zostali sobie przedstawieni ale z pewnością bywali na tych samych przyjęciach.

Wstał z kanapy i uklonił się uprzejmie.

- Lady Penwood, jak mniemam - powiedział.

- Istotnie. Jestem zachwycona, że raczył pan zaszczyścić nas wizytą. Już poinformowałam córki o pańskim przybyciu. Zaraz zejść.

Benedict się uśmiechnął. Właśnie na to liczył. Byłby zdziwiony, gdyby hrabina postąpiła inaczej. Żadna matka córek na wydaniu nie zlekceważyłaby Bridgertona.

- Nie mogę się doczekać, żeby je poznać. Lady Penwood lekko zmarszczyła brwi.

- Więc jeszcze ich pan nie zna?

Do diaska! Teraz będzie się zastanawiać, po co przyszedł.

- Słyszałem o nich miłe rzeczy - odparł pośpiesznie.

Gdyby lady Whistledown coś zwęszyła - co było bardzo prawdopodobne - zaraz rozniosłoby się po mieście, że Benedict Bridgerton szuka żony i że wpadły mu w oko córki hrabiny. Po co innego składałby wizytę dwóm młodym kobietom, którym nawet nie został przedstawiony?

Gospodyni się rozpromieniła.

- Moja Rosamunda jest uważana za jedną z najładniejszych dziewcząt w tym sezonie.

- A Posy?

Lady Penwood lekko zmarszczyła brwi.

- Posy jest... urocza.

- Nie mogę się doczekać, żeby ją poznać.

Hrabina pokryła zaskoczenie nieco wymuszonym uśmiechem.

- Na pewno będzie zachwycona.

W tym momencie do salonu weszła pokojówka z ozdobnym srebrnym serwisem do herbaty i postawiła go na stoliku.

- Gdzie łyżki od kompletu? - spytała ostrym tonem pani domu.

Pokojówka dygnęła, wyraźnie przestraszona.

- Sophie czyściła je w jadalni, ale musiała iść na górę, kiedy...

- Milcz! I znikaj. Natychmiast! - Gdy służąca wybiegła z salonu, hrabina wyjaśniła: - Na naszym rodzowym srebrze jest wygrawerowany herb Penwoodów.

- Naprawdę? - spytał Benedict ze szczerym zainteresowaniem. - Chętnie bym je zobaczył.

- Tak? - Oczy lady Penwood się rozjarzyły. - Wiedziałam, że ma pan wyrafinowany gust.

Bridgerton tylko się uśmiechnął.

- Muszę posłać kogoś do jadalni, żeby przyniósł parę. Oczywiście, jeśli ta nieznośna dziewczyna wykonała swoją robotę.

Hrabina tak brzydsko skrzywiła usta, że wyraźnie zarysowały się jej zmarszczki.

- Jakież kłopoty?

Gospodyni niedbale machnęła ręką.

- Trudno dziś znaleźć dobrą pomoc domową. Pańska matka na pewno powtarza to samo.

Jego matka nigdy nie mówiła takich rzeczy, prawdopodobnie dlatego, że wszyscy służący Bridgertonów byli bardzo oddani rodzinie. Mimo to kiwnął głową.

- Kiedyś ją wyrzucę - oświadczyła hrabina. - Żadnego polecenia nie umie wykonać jak należy.



Benedictowi zrobiło się żal biednej Sophie, ale nie miał ochoty wdawać się w dyskusję o służbie, więc zmienił temat, wskazując na dzbanek z herbatą.

- Chyba już przestygła.

- Oczywiście, oczywiście. Jaką pan lubi?

- Z mlekiem, bez cukru.

Gdy napełniała filiżankę, Benedict usłyszał kroki na schodach i jego serce zabiło mocniej. Jedna z córek hrabiny powinna być tajemniczą kobietą w srebrnej sukni. Wprawdzie nie widział dobrze jej twarzy, ale pamiętał wzrost, wagę i długie brązowe włosy.

Jak mógłby jej nie rozpoznać?

Ale kiedy do pokoju weszły dwie dziewczyny, od razu się zorientował, że żadna nie jest damą, która od poprzedniego wieczoru całkowicie zaprzętała jego myśli. Jedna miała jasne loki, a poza tym zdawała się zbyt wymuskana, sztywna i bez poczucia humoru. Druga, choć miła, była zbyt pulchna.

Benedict z trudem ukrył rozczarowanie. Z galanterią całował ich dłonie i rzucił kilka zdawkowych komplementów. Szczególną uwagę okazał młodszej siostrze, choćby dlatego, że matka najwyraźniej wołała drugą.

- Ma pani inne dzieci, milady? - zapytał, gdy prezentacja dobiegła końca.

- Oczywiście, że nie - odparła lady Penwood ze zdziwieniem. - Inaczej też bym je panu przedstawiła.

- Pomyślałem, że są teraz na lekcjach.

Gospodyni potrząsnęła głową.

- Lord Penwood i ja nie doczekaliśmy się dziedzica. Szkoda, że tytuł nie został w rodzinie. Benedict zauważył, że hrabina jest raczej zirytowana niż zasmucona brakiem potomstwa.

- Czy pani mąż miał braci albo siostry?

Hrabina łypnęła na niego podejrzliwie, i nic dziwnego. W czasie popołudniowych wizyt raczej nie zadawano tego rodzaju pytań.

- Nie, skoro tytuł nie został w rodzinie - odparła.

Ta kobieta tak drażniła Benedicta, że nie zdołał się powstrzymać:

- Mogli umrzeć przed nim.

- Nie miał braci.

Rosamunda i Posy śledziły tę rozmowę z wielkim zainteresowaniem, obracając głowy to w jedną, to w drugą stronę.

- A siostry? - wypytywał dalej Bridgerton. - Sam pochodzę z dużej rodziny i nie wyobrażam sobie braku rodzeństwa. Pomyślałem, że pani córki mają chociaż kuzynostwo.

- Jedyna siostra mojego nieżyjącego męża umarła jako stara panna - rzekła hrabina z lekką pogardą. - Jako kobieta wielkiej wiary poświęciła życie dobroczynności.

I tyle jeśli chodzi o jego teorię.

- Bardzo mi się podobał pański bal maskowy - odezwała się nagle Rosamunda.

Benedict spojrział na nią zaskoczony. Obie do tej pory milczały jak ryby.

- To był właściwie bal mojej matki - sprostował. - Nie brałem udziału w jego organizowaniu, ale przekażę jej pani komplement.

- Proszę to zrobić. A pan dobrze się bawił, panie Bridgerton?

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa. W jej oczach dostrzegł wyraz skupienia.

- Owszem - mruknął w końcu.

- Zauważyłam, że spędził pan dużo czasu z pewną damą - ciągnęła Rosamunda.

Lady Penwood zmierzyła go wzrokiem, ale nic nie powiedziała. ... -Naprawdę? - bąknął Benedict.

- Tak, w srebrnej sukni. Kto to był?

- Tajemnicza kobieta - odparł z uśmiechem.

- Na pewno pan nam zdradzi jej nazwisko - wtrąciła hrabina.

Benedict wstał z kanapy. Zrozumiał, że niczego więcej się tutaj nie dowie.

- Niestety muszę już iść, drogie panie - oznajmił z lekkim ukłonem.

- Jeszcze nie obejrzał pan sreber - przypomniała gospodyni.

- Może innym razem. - Nie zniósłby ani chwili dłużej w towarzystwie hrabiny. - Było bardzo miło.

- Istotnie. - Lady Penwood też wstała, żeby odprowadzić go do drzwi. - Krótka, ale uroczo.

Bridgerton nawet się nie uśmiechnął.

Gdy drzwi zamknęły się za gościem, Araminta pokręciła głową.

- O co mu chodziło?

- Może... - zaczęła Posy.

- Nie ciebie pytałam.

- A kogo? - odparowała córka z niespotykaną śmiałością.

- Może widział mnie z daleka - powiedziała Rosamunda.

- I...

- Nie widział cię z daleka - warknęła hrabina.

- Dziewczyna drgnęła zaskoczona. Matka nigdy nie mówiła do niej w taki sposób.

- Sama stwierdziłaś, że oczarowała go jakaś kobieta w srebrnej sukni.

- Nie powiedziałam, że oczarowałam.  
- Nie kłóć się ze mną o słowa. Oczarowany czy nie, nie przyszedł tu szukać żadnej z was - stwierdziła Araminta z irytacją. - Nie wiem, co zamierza...  
Podeszła do okna i odsunęła storę.  
- Co on robi?  
- Pewnie wkłada rękawiczki - domyśliła się Posy.  
- To nie jest.... - rzuciła matka odruchowo. - Tak, to jest rękawiczka.  
- Na co patrzy pan Bridgerton? - zapytała Rosamunda, odsuwając siostrę.  
- Coś jest na rękawicze - powiedziała Posy. - Może haft. Taki jak na naszych.  
Araminta zbladła.  
- Dobrze się czujesz, mamo?  
- Szuka jej - wyszeptwała lady Penwood.  
- Kogo?  
- Kobiety w srebrnej sukni.  
- Tutaj jej nie znajdzie - stwierdziła Posy. - Ja byłam syrenką, Rosamunda Marią Antoniną, a ty królową Elżbietą.  
- Pantofle - wykrztusiła Araminta, jeszcze bledsza niż przed chwilą. - Ktoś nosił moje buty. - To musiała być ona. Jak to zrobiła?  
- Kto? - zdziwiła się Rosamunda.  
- Mamo, na pewno dobrze się czujesz? - zatroskała się Posy. - Dziwnie wyglądasz.  
Hrabina bez słowa wybiegła z pokoju.  
  
- Głupie buty - burknęła Sophie, sięgając po kolejną parę. - Tych nie nosiła od lat.  
Raptem drzwi garderoby otworzyły się gwałtownie i uderzyły w ścianę z taką siłą, że omal nie krzyknęła.

- O, Boże, ale mnie pani wystraszyła! Nie słyszałam kroków i...

-Pakuj rzeczy - rozkazała Araminta groźnym tonem. - Do rana masz się wynieść z tego domu.

-Dlaczego? - wykrztusiła Sophie. Szmatka wypadła jej z rąk.

- A potrzebuję powodu? Pieniądze na twoje utrzymanie przestałam dostawać rok temu i nie chcę cię tu dłużej.

- Dokąd ja pójdę?

Lady Penwood zmrużyła oczy.

- To nie moja sprawa.

- Ale...

- Skończyłaś dwadzieścia lat i możesz sama o siebie zadbać. Dość niańczenia.

- Nigdy mnie pani nie niańczyła - powiedziała Sophie cicho.

- Nie waż mi się pyskować.

- A co mam do stracenia? I tak wyrzucą mnie pani z domu.

- Mogłabyś traktować mnie z szacunkiem - syknęła Araminta, przydeptując jej spódnice. - Przez ostatni rok ubierałam cię i żywiłam z dobrego serca.

- Nic pani nie zrobiła z dobrego serca. Dlaczego tak naprawdę pani mnie tu trzymała?

Hrabina zaśmiała się brzydko.

- Jesteś tańsza niż normalna pokojówka, a poza tym lubię ci rozkazywać.

Sophie czuła się jak niewolnica, ale Penwood House był jej domem, pani Gibbons jej przyjaciółką, a Posy zwykle jej współczuła. Natomiast świat ją przerażał. Dokąd miała pójść? Jak się utrzymać?

- Dlaczego akurat teraz? - zapytała.

Araminta wzruszyła ramionami.  
- Już nie jesteś mi potrzebna.  
Sophie spojrzała na długi rząd wyczyszczonych butów.  
- Naprawdę?  
- Byłaś wczoraj na balu, tak?  
Sophie poczuła, że krew odpływa jej z twarzy, a z oczu można wyczytać całą prawdę.  
- N... nie - wyjąkała. - Jak mogłabym...  
- Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale wiem, że tam byłaś. -  
Araminta kopnęła w jej stronę parę butów. - Włóż je.  
Pantofle z białej satyny, wyszywane srebrną nicią! Miała je wczoraj na nogach.  
- Tylko ty mogłaś je wczoraj nosić! - krzyknęła hrabina. -  
Na Rosamundę i Posy są za małe.  
- I dlatego pani sądzi, że wybrałam się na bal? - zapytała Sophie drżącym głosem.  
- Wkładaj buty!  
Tym razem posłuchała. Pantofle oczywiście leżały jak ulał.  
- Przekroczyłaś granice - stwierdziła Araminta zimnym tonem. - Ostrzegałam cię przed laty, żebyś nie zapomniała, gdzie twoje miejsce. Jesteś bękartem...  
- Wiem!  
Hrabina zmierzyła ją wyniosłym spojrzeniem.  
- Ośmieliłaś się udawać, że należysz do wyższych sfer.  
- Tak! - wybuchnęła Sophie. - I ośmieliłabym się jeszcze raz. Moja krew jest równie niebieska jak ta, która płynie w pani żyłach, a serce dużo lepsze...  
Zerwała się z klęczek, a w następnej sekundzie leżała na podłodze, trzymając się za policzek.  
- Nie waż się ze mną porównywać - wyszczała hrabina.  
Jak ojciec mógł zostawić ją pod opieką kobiety,

ktora nią gardziła? Czyżby tak mało go obchodziła? A może po prostu był ślepy?

- Nie chcę cię więcej widzieć - powiedziała Araminta spokojnie. - Do rana stąd znikniesz.

Sophie wstała i ruszyła do drzwi, ale lady Penwood przytrzymała ją za ramię.

- Ale najpierw skończysz zadanie, które ci wyznaczyłam.

- To mi zajmie całą noc - zaprotestowała Sophie.

- Trudno.

Hrabina wyszła z garderoby i z głośnym trzaskiem przekręciła klucz w zamku.

Sophie zerknęła na migoczący ogarek i stwierdziła, że światła nie wystarczy jej do rana.

Zresztą i tak nie zamierzała czyścić butów Araminty. Usiadła na podłodze i zapatrzyła się w nikły płomyk. Nazajutrz czekało ją samodzielne życie. W Penwood House była niewolnicą, ale przynajmniej czuła się bezpiecznie. Przez ostatnich siedem lat nie dostawała żadnej pensji. Na szczęście zachowała trochę pieniędzy, które kiedyś dawał jej ojciec. Wiedziała jednak, że te kilka funtów nie wystarczy na długo, zwłaszcza że połowę oszczędności wyda na bilet. Biedne dzielnice Londynu były brudne i niebezpieczne, więc skoro miała utrzymywać się sama, równie dobrze mogła wrócić na ukochaną wieś.

Poza tym obawiała się, że wcześniej czy później zacznie wystawać pod domem Benedicta Bridgertona, licząc na to, że choć z daleka go zobaczy.

A gdyby ją zauważył... Rozgniewałby się, że go oszukała. Może chciałby uczynić z niej swoją kochankę. Albo w ogóle by jej nie poznał.

Jednego była pewna: że nie rzuci się jej do nóg,

nie wyzna dozgonnej miłości i nie poprosi o rękę.

Synowie wicehrabiów nie żenili się z bękartami. Nawet w romantycznych powieściach.

Nie, musiała opuścić Londyn. Umknąć przed pokusą. Ale potrzebowała więcej pieniędzy. Tyle, żeby przeżyć do czasu, aż znajdzie pracę. Dość, żeby...

Jej wzrok przyciągnęło coś błyszczącego. Klamerki butów, które czyściła przed godziną, wysadzone brylancikami i dostatecznie małe, żeby zmieściły się w kieszeni.

Ogarnęły ją wątpliwości, ale pomyślała o pieniądzach, które Araminta dostawała na jej utrzymanie i którymi nigdy nie uznała za stosowne się podzielić.

Pomyślała o tych wszystkich latach, kiedy harowała jako służąca i nie doczekała się ani pensa za ciężką pracę.

Pomyślała o swoim sumieniu i szybko je uciszyła. Nie mogła sobie pozwolić na skrupuły.

Odpięła klamerki.

A kilka godzin później, kiedy przysła Posy i uwolniła ją z garderoby w tajemnicy przed matką, Sophie spakowała skromny dobytek i opuściła Penwood House.

Ku swojemu zdziwieniu nawet się nie obejrzała.



## Część druga

*Minęły trzy lata od ostatniego ślubu w rodzinie Bridgertonów i już kilka razy słyszano, jak wicehrabina wdowa skarży się, że nie wie, co począć. Benedict jeszcze nie znalazł sobie żony, a pisząca te słowa uważa, że najwyższa pora, skoro skończył trzydzieści lat. Podobnie Colin, choć jemu można wybaczyć opóźnienie, bo liczy sobie dopiero dwadzieścia sześć lat.*

*Troskę lady Bridgerton budzą również dwie córki, dwudziestojednoletnia Eloise dostała kilka propozycji, ale nie wykazuje ochoty do zamążpójścia. Młodsza o rok Francesca (której urodziny wypadają w tym samym dniu co siostry) też bardziej interesuje się sezonem niż małżeństwem. Pisząca te słowa uważa, że wicehrabina nie musi się martwić. Jest nie do pomyślenia, żeby Bridgertniowie w końcu nie znaleźli odpowiednich partii, poza tym jeden żonaty syn i zamężna córka już dali matce pięcioro wnucząt, co z pewnością jest spełnieniem jej marzeń.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 30 kwietnia-1817*

Alkohol i cygara. Karty i dużo kobiet. Właśnie takie przyjęcia Benedict Bridgerton bardzo lubił świeżo po studiach.

Teraz po prostu się nudził.

Sam nie wiedział, dlaczego w ogóle zgodził się przyjechać. Obecny londyński sezon był na razie powtórką poprzedniego, a jego nie bawiło robienie wciąż tych samych rzeczy.

Nawet nie znalazł swojego gospodarza, niejakiego Philipa Gavendera, znajomego dalekich znajomych i teraz gorzko żałował, że nie został w Londynie. Jeszcze nie doszedł do siebie po chorobie i mógłby wykorzystać osłabienie jako wymówkę, ale przyjaciel którego zresztą nie widział od czterech godzin - tak go namawiał, że Benedict w końcu ustąpił.

Idąc przez hol domu Cayenderów, dostrzegł, że w pokoju po lewej toczy się gra o wysokie stawki. Jeden z graczy mocno się pocił. Zapewne właśnie przegrywał rezydencję przodków.

- Głupi idiota - mruknął Bridgerton pod nosem.

Drzwi po prawej były zamknięte, ale dobiegła z nich kobiecy chichot, męski śmiech, pomruk i piski.

To szaleństwo. Nie chciał tu być. Nienawidził gry w karty o wysokie stawki i intymnych zachowań w niemal publicznym miejscu. Nie wiedział, co się stało z przyjacielem, który go tutaj ściągnął, a inni goście mu się nie podobali.

- Wychodzę - oświadczył, mimo że w holu nie było nikogo oprócz niego.

Zaledwie godzinę drogi stąd miał nieduży własny dom, który teraz jawił mu się jako raj. Lecz zasady dobrego wychowania nakazywały pożegnać się z go-

spodarzem, nawet jeśli ten następnego dnia nie będzie pamiętał rozmowy.

Po dziesięciu minutach bezowocnych poszukiwań Benedict zaczął żałować, że matka z takim uporem wpajała wszystkim swoim dzieciom dobre maniery. Najłatwiej byłoby po prostu wyjść.

- Trzy minuty - burknął. - Jeśli nie znajdę cholernego idioty w ciągu trzech minut, odjeżdżam.

W tym momencie usłyszał pijacki rechot i ujrzał dwóch zataczających się mężczyzn. Obaj zionęli alkoholem. Benedict przezornie usunął się im z drogi. Zawsze dbał o buty.

- Bridgerton! - zawołał jeden z nich.

Nie znał ich dobrze. Byli młodszy od niego o jakieś pięć lat.

- To nie jest Bridgerton - wybełkotał drugi. - Taa, to Bridgerton. - Zmrużył oczy. - Ale który?

Benedict zignorował pytanie.

- Widzieliście naszego gospodarza?

- A mamy gospodarza? - zdziwił się tamten.

- Jasne, że tak - odparł pierwszy. - Cavendera. Równy gość, pozwala nam korzystać ze swojego domu...

- To dom jego rodziców - sprostował kolega. - Jeszcze go nie odziedziczył, biedny dureń.

- Właśnie! Ale i tak miło z jego strony.

- Widzieliście go? - warknął Benedict.

- Na zewnątrz. Od frontu.

- Dziękuję - rzucił krótko Bridgerton i ruszył do drzwi.

Zamierzał pożegnać się z Cavenderem i pójść do stajni po swój faeton.

Najwyższy czas znaleźć nową pracę, pomyślała Sophie Beckett.

Minęły prawie dwa lata, odkąd wyjechała z Londynu, przestała być niewolnicą Araminty i radziła sobie sama.

Po opuszczeniu Penwood House zastawiła klamerki od butów w lombardzie. Niestety brylanty, którymi hrabina lubiła się chwalić, okazały się zwykłymi świecidełkami, więc nie dostała za nie dużo pieniędzy. Próbowwała znaleźć pracę jako guwernantka, lecz żadna z agencji, w których pytała, nie chciała jej przyjąć. Była dobrze wykształcona, ale nie miała żadnych referencji, a poza tym panie domu nie lubiły zatrudniać młodych i ładnych kobiet.

W końcu kupiła bilet do Wiltshire, bo tylko tak daleko mogła pojechać, nie wydając wszystkich oszczędności. Na szczęście szybko znalazła zatrudnienie jako pokojówka u państwa Cavenderów, zwyczajnych ludzi, oczekujących od służby solidnego wypełniania obowiązków, a nie rzeczy niemożliwych. Po wieloletniej harówce u Araminty praca u nich była dla Sophie niczym wakacje.

Wszystko się jednak zmieniło, kiedy z podróży po Europie wrócił ich syn. Philip od samego początku ją napastował, a w miarę jak odrzucała jego niedwuznaczne propozycje, stawał się coraz bardziej agresywny. Kiedy jego rodzice wyjechali na tydzień z wizytą do siostry pani Cavender mieszkającej w Brighton, postanowił ugościć grono swoich najlepszych przyjaciół.

Wcześniej Sophie czuła się dość bezpiecznie, bo wiedziała, że Philip nie zaatakuje jej, gdy w rezydencji jest matka. Lecz po jej wyjeździe najwyraźniej

uznał, że może robić, co chce, a jego znajomi okazali się nie lepsi.

Sophie najchętniej od razu by uciekła, ale doszła do wniosku, że nie wypada rzucać pracy bez dwutygodniowego wypowiedzenia, zwłaszcza że pani Cavender zawsze dobrze ją traktowała. Po dwóch godzinach chowania się po całym domu stwierdziła jednak, że dobre maniery nie są warte jej cnoty. Powiedziała Ochmistrzyni, że nie może dłużej zostać, spakowała skromny dobytek w jedną małą torbę i wymknęła się z rezydencji. Do wioski były dwie mile marszu, ale nawet spacer w środku nocy wydawał się o niebo bezpieczniejszy niż pozostanie u Cavenderów. Poza tym знаła małą gospodę, gdzie mogła dostać gorący posiłek i nocleg za rozsądną cenę.

Gdy wyszła zza narożnika budynku na główny podjazd, usłyszała głośny okrzyk.

Do diaska! Philip Cavender! Puściła się biegiem w stronę bramy, ale jej ucieczka tylko go rozochociła. Dogonił ją w kilku krokach, chwycił za kołnierz płaszcza i zaśmiał się triumfalnie. - Kogo my tu mamy? Małą Sophie! Muszę cię przedstawić moim przyjaciołom.

Sophie zaschło w ustach, serce waliło jak młot.

- Proszę mnie puścić, panie Cavender - zażądała, wiedząc, że Philipowi podobałaby się jej bezradność i błaganie.

- Nic z tego - odparł, rozciągając usta w obleśnym uśmiechu. - Heasley! Fletcher! Zobaczcie, co tu mam!

Z mroku wyłonili się dwaj mężczyźni. Sądząc po wyglądzie, byli jeszcze bardziej pijani niż gospodarz.

- U ciebie zawsze można liczyć na najlepsze sztuki - stwierdził jeden z nich bełkotliwie.

Philip napęczniał z dumy.

- Niech mnie pan puści! - powtórzyła Sophie.

Cavender tylko się wyszczerzył.

- Jak myślicie, chłopcy, powinienem zrobić to, o co prosi dama?

- Nie! - krzyknęli obaj.

- „Dama” to może trochę przesadne określenie, nie sądzisz? - zauważył pierwszy.

- Racja! To pokojówka, a jak wszyscy wiemy, ten gatunek jest stworzony do służenia. - Pchnął Sophie w stronę kolegów. - Obejrzyjcie towar.

Mężczyzna, w którego ręce wpadła, obmacał ją bezceremonialnie, po czym pchnął do towarzysza. Ten otoczył ją ramieniem w talii i...

- Panowie!

Sophie z przerażenia zamknęła oczy. Czwarty!

- Bridgerton! - zawołał Philip. - Przyłącz się do nas!

Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna zbliżył się do nich pewnym krokiem i spytał:

- Co się tu dzieje?

Dobry Boże, wszędzie rozpoznalaby ten głos. To był Benedict Bridgerton! Jej księżę z bajki.

Po wielu godzinach przebywania w dymie i oparach alkoholu Benedict z rozkoszą odetchnął chłodnym nocnym powietrzem. Marzył o tym, żeby już znaleźć się w domu, ale najpierw musiał podziękować gospodarzowi za gościnność. Zszedłszy po frontowych schodach, zawołał:

- Cavender!

- Tutaj!

Spojrzał na prawo. Cavender stał pod rozłożystym

wiazem z dwoma kolegami. Najwyraźniej zabawiali się ze służącą, popychając ją między sobą. Benedict jęknął. Chciał wrócić do domu, a nie odgrywać bohatera, ale miał za dużo młodszych siostr, by zlekceważyć kobietę w kłopotach. Bez pośpiechu ruszył w stronę drzewa. Zawsze lepiej ocenić wpierw sytuację, niż szarżować na oślep. - Bridgerton! - zawołał Cavender. - Przyłącz się do nas!

Benedict zbliżył się do nich w chwili, kiedy jeden z mężczyzn chwycił pokojówkę w tali i zaczął obmacywać jej pośladki. W oczach służącej malowało się przerażenie.

Co tu się dzieje? - zapytał.

- Sam zobacz - zarechotał Cavender. - Niezła pokojóweczka, co?

- Nie wydaje mi się, żeby bawiło ją wasze zainteresowanie - stwierdził Benedict spokojnie. - Na pewno bawi - odparł Philip z szerokim uśmiechem. - Będziesz miał swoją kolejkę, jak tylko z nią skończymy.

- Chyba mnie nie zrozumiałeś. Puśćcie dziewczynę. Zamroczeni alkoholem mężczyźni spojrzeli na niego w osłupieniu, ale nadal trzymali swoją zdobycz.

Nie chcę się z wami bić, ale będę musiał - powiedział Benedict, krzyżując ramiona. - I zapewniam, że przewaga trzech na jednego wcale mnie nie przeraża.

- Nie możesz mi rozkazywać na terenie mojej posiadłości - oświadczył Cavender ze złością.

-O ile wiem, posiadłość należy do twoich rodziców. -

To mój dom i moja pokojówka - odparował Philip

- Zrobi to, co jej każę.



- Nie wiedziałem, że w tym kraju istnieje niewolnictwo.  
- Musi wypełniać moje polecenia!  
- Doprawdy?  
- Zwolnię ją, jeśli mnie nie posłucha.  
- Doskonale - skwitował Benedict z ironicznym uśmiechem. - W takim razie spytaj ją, czy chce się z wami zabawić. Jeśli odmówi, z miejsca ją zwolnisz.

Philip splunął na ziemię i warknął:

- Nie zamierzam o nic jej pytać.

Bridgerton przeniósł wzrok na dziewczynę. Była urocza. Miała krótkie jasnobrązowe włosy i ogromne oczy.

- Dobrze, więc ja to zrobię.

Służąca lekko rozchyliła usta i Benedict odniósł dziwne wrażenie, że już kiedyś się spotkali. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że to niemożliwe, nawet jeśli kiedyś pracowała u arystokratycznej rodziny. Nie miał zwyczaju interesować się pokojówkami. Prawdę mówiąc, w ogóle ich nie dostrzegał.

- Panno... Jak pani się nazywa?

- Sophie Beckett - wykrztusiła.

- Panno Beckett, byłaby pani tak miła i odpowiedziała na pytanie?

-Nie!

- Nie odpowie pani?

- Nie chcę zabawiać się z tymi trzema dżentelmenami!

- Cóż, to przesądza sprawę - stwierdził Benedict i przeniósł wzrok na mężczyznę, który nadal obejmował ją w tali. - Proponuję, żeby pan puścił tę dziewczynę. Nasz gospodarz musi zwolnić ją ze służby.

- Ciekawe, dokąd pójdzie? - rzucił Cavender

szyderczo. - W tym okręgu już nigdy nie dostanie pracy.  
Bridgerton niedbale wzruszył ramionami.

- Znajdę jej posadę u mojej matki. - Przeniósł na  
nią wzrok. - Chyba się pani zgodzi?

Sophie otworzyła usta ze zdumienia. - Nie takiej reakcji  
oczekiwałem - stwierdził Benedict sucho. - U mojej matki z  
pewnością byłoby pani lepiej niż tutaj. Przynajmniej nie  
groziłby pani gwałt

Sophie spojrzała na trzech prześladowców. Naprawdę nie  
miała wyboru. Benedict był jej jedynym ratunkiem.  
Wiedziała, że nie będzie pracować u wicehrabiny. Nie  
potrafiła sobie bowiem wyobrazić, że codziennie go widuje,  
ale tylko jako służącą. Doszła jednak do wniosku, że o tym  
pomyśli później. Na razie musiała uciec przed Philipem  
Cavenderem. Nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko  
skinęła głową. - Jedziemy? - zapytał Bridgerton.

Sophie bez słowa zerknęła na męskie ramię, które  
opasywało ją w talii.

Na litość boską! Puścisz ją wreszcie, człowieku, czy  
mam odstrzelić ci łapsko?

Wystarczył sam jego ton, żeby mężczyzna go posłuchał.

Benedict wyciągnął do niej rękę, a Sophie położyła drżącą  
dłoń na jego przedramieniu. Nie możesz jej zabrać! -  
wrzasnął Philip. Bridgerton zmierzył go wzrokiem.

- Właśnie to robię.

- Pożałujesz!

- Wątpię. A teraz znikajcie mi z oczu.

Cavender ze złością skinął na przyjaciół.

- Chodźmy. - Potem łypnął na Bridgertona i dodał: - Nigdy więcej nie dostaniesz zaproszenia na moje przyjęcie.

- Łamiesz mi serce.

Gospodarz prychnął z wściekłością i ruszył w stronę domu. Koledzy powlekli się za nim.

Sophie odprowadziła ich spojrzeniem. Gdy ją złapali, wiedziała, czego od niej chcą, i niemal pragnęła umrzeć. A kiedy nagle zjawił się Benedict Bridgerton, niczym bohater z jej marzeń, pomyślała, że już znalazła się w niebie.

Była tak oszołomiona, że na krótką chwilę zapomniała o upokarzającej sytuacji. Cały świat zniknął i widziała tylko Benedicta. Gdy oprzytomniała, przez głowę przemknęła jej myśl: co on tutaj robi, w towarzystwie pijaków i dziwek? Nie wyglądał na człowieka, który gustuje w tego rodzaju zabawach. Z drugiej strony znała go tylko przez kilka godzin. Może źle go oceniła.

Przez ostatnie dwa lata jedynie wspomnienia osładzały jej smutne życie. Gdyby się okazało, że Benedict jest niewiele lepszy od Philipa i jego znajomków, nie zostałyby jej już nic.

Ale przecież ją uratował. Nie mogła temu zaprzeczyć.

- Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową i spojrzała mu prosto w oczy, czekając, aż ją rozpozna.

- Na pewno?

Potwierdziła skinieniem, patrząc na niego z nadzieją. Musiał ją sobie przypomnieć.

- To dobrze. Brutalnie panią potraktowali.

- Nic mi nie będzie.

Przygryzła dolną wargę. Nie miała pojęcia, jak by

zareagował, gdyby ją poznał. Byłby zachwycony? .

Wściki? Niepewność ją zabijała.

- Ile czasu zajmie pani spakowanie rzeczy?

W tym momencie sobie uświadomiła, że ściska w ręce torbę.

- Mam je tutaj. Złapali mnie, kiedy odchodziłam.

- Sprytna dziewczyna - mruknął Bridgerton z aprobatą. - Ruszajmy więc. Nie chcę tu zostać ani chwili dłużej.

Sophie nic nie odpowiedziała, tylko lekko przekrzywiła głowę, obserwując go uważnie.

- Na pewno dobrze się pani czuje? - zapytał z troską.

I wtedy zaczęła myśleć. Dwa lata temu, na balu, połowę jej twarzy zasłaniała maska. Lekko przypudrowane włosy wyglądały na jaśniejsze niż w rzeczywistości, a po opuszczeniu Penwood House ścięła je i sprzedała perukarzowi. Teraz miała krótkie loki i straciła parę funtów na wadze, odkąd pani Gibbons przestała ją karmić.

Poza tym spędzili w swoim towarzystwie zaledwie półtorej godziny.

Patrząc mu teraz w oczy, zrozumiała, że Benedict Bridgerton nigdy jej nie rozpozna.

I sama nie wiedziała, czy się śmiać czy płakać.

*Wszyscy uczestnicy balu u Mottramów, który odbył się w zeszły czwartek, zauważyli, że panna Rosamunda Reiling zastawiła sidła na pana Philipa Cavendera.*

*Zdaniem piszącej te słowa ci dwoje doskonale do siebie pasują.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 30 kwietnia 1817*

Dziesięć minut później siedzieli w faetonie.

- Coś pani wpadło do oka? - zapytał Bridgerton.

- S... słucham?

- Wciąż pani mruga.

Sophie z trudem pohamowała nerwowy śmiech. Co miała mu odpowiedzieć? Prawdę? Ze mruga, bo chce obudzić się ze snu?

- Na pewno wszystko w porządku?

Skinęła głową.

- To pewnie opóźnione skutki szoku - stwierdził.

Nie wyprowadziła go z błędu. Jak mógł jej nie rozpoznać? Marzyła o tej chwili od lat. Księżę z bajki w końcu przybył jej na ratunek, ale nawet się nie zorientował, kim ona jest.

- Jak się pani nazywa? Bardzo przepraszam, ale

muszę dwa razy usłyszeć nazwisko, żeby je zapamiętać.

- Panna Sophie Beckett.

- Miło mi panią poznać, panno Beckett - rzekł uprzejmie, nie odrywając oczu od ciemnej drogi. - Benedict Bridgerton.

Sophie milczała przez dłuższą chwilę, aż w końcu powiedziała:

- Bardzo dzielnie się pan zachował. - Gdy lekko wzruszył ramionami, dodała: - Ich było trzech, a pan jeden. Większość mężczyzn nie zareagowałaby w takiej sytuacji.

• Tym razem na nią spojrział.

- Nienawidzę brutalni. Poza tym mam cztery siostry.

Omam nie rzuciła: „wiem”. Na szczęście w porę ugryzła się w język. Skąd pokojówka z Wiltshire mogła wiedzieć takie rzeczy?

- Pewnie dlatego stanął pan w mojej obronie.

- Chciałbym, żeby każdy mężczyzna przyszedł moim siostram z pomocą, gdyby znalazły się w podobnych opałach.

- Oby nie.

- Ja też się o to modlę.

Gdy przez jakiś czas jechali w milczeniu, Sophie naszała refleksja, że na balu maskowym ani na chwilę nie zabrakło im tematu do rozmowy. Niestety teraz była zwykłą pokojówką, a nie damą z towarzystwa. Nie mieli ze sobą nic wspólnego. Mimo to łudziła się, że ją rozpozna, zatrzyma powóz, przytuli ją do piersi i powie, że szukał jej przez dwa lata. Szybko jednak zrozumiała, że tak się nie stanie. Ludzie widzą to, co chcą zobaczyć, pomyślała.

Nie było dnia, by nie wspominała tamtej magicznej nocy, dotyku jego warg. Benedict stał się obiektem fantazji, w których spotykała go na balu wydanym przez jej kochających rodziców. Później zalecał się do niej uroczo, przynosił kwiaty, kradł pocałunki. A w pewien ciepły wiosenny dzień klękał przed nią, prosił ją o rękę, przyrzekał wieczną miłość i oddanie.

Jeszcze piękniejsze było marzenie, w którym żyli długo i szczęśliwie z trójką albo czwórką wspaniałych dzieci, urodzonych w małżeństwie.

Nigdy jednak nie wyobrażała sobie, że naprawdę go zobaczy, nie mówiąc o ratowaniu jej z rąk trzech prześladowców.

Zastanawiała się, czy w ogóle myślał o tajemniczej kobiecie, z którą tańczył na tarasie. Bardzo w to wątpiła. Mężczyźni całują wiele kobiet i szybko o nich zapominają.

Dla niego tamta noc nie różniła się od wielu innych. Sophie nadal czytywała „Kronikę”, jeśli tylko pisemko wpadło jej w ręce, stąd wiedziała, że chodził na dziesiątki bali. Dlaczego akurat jeden miałby utkwić mu w pamięci?

Westchnęła i spojrzała na swoje dłonie, zaciśnięte na rączce torby. Były szorstkie i zziębnięte. Niestety ostatnią parę rękawiczek zdarła w tym roku, a na następną nie mogła sobie pozwolić.

- To pani cały dobytek? - spytał Benedict, wskazując na jej bagaż.

- Tak. Jedno ubranie na zmianę i trochę osobistych pamiątek.

Po chwili milczenia Bridgerton stwierdził:

- Ma pani doskonałą wymowę jak na pokojówkę-

Nie on pierwszy to zauważył, więc udzieliła mu zwykłej odpowiedzi:

- Moja matka była gospodynią u wspaniałomyślnych państwa, którzy pozwalali mi brać lekcje ze swoimi córkami.

- Dlaczego pani u nich nie pracuje? - Z wprawą skręcił w lewo na rozwidleniu dróg. - Sądzę, że nie mówiła pani o Cavenderach.

- Nie. - Do tej pory nikt się nią aż tak nie interesował, więc nie musiała rozwijać swojej historyjki. -Matka umarła, a z nową ochmistrzynią nie umiałam się porozumieć.

Przyjął tę odpowiedź bez słowa komentarza i przez kilka minut jechali w ciszy, nie licząc szumu wiatru i rytmicznego stuku końskich kopyt. Wreszcie w Sophie zwyciężyła ciekawość.

- Dokąd jedziemy?

- Niedaleko stąd mam wiejski dom. Zatrzymamy się tam na noc, a następnie pojedziemy do mojej matki. Na pewno znajdzie dla pani jakieś zajęcie.

- A w pańskim...

- Proszę się nie obawiać, na miejscu są gospodarze - powiedział z domyślnym uśmiechem. - I zapewniam, że państwo Crabtree nie dopuszczą do tego, by się u nich działo coś nieprzyzwoitego.

- U nich?

Bridgerton uśmiechnął się szerzej. - Od lat próbuję ich przekonać, że to mój dom, ale niestety bezskutecznie. - Zdaje się, że ich polubię. - Chyba tak.

Między nimi znowu zapadło milczenie. Sophie patrzyła prosto przed siebie z obawy, że jeśli ich wzrok



się skrzyżuje, Benedict ją rozpozna. Zaraz jednak przypomniała sobie, że już zaglądała mu w oczy, i nic. Po kilku minutach wyczuła na sobie jego spojrzenie, a kiedy na niego zerknęła, dostrzegła na twarzy dziwny wyraz.

- Spotkaliśmy się już? - zapytał.

- Nie - odparła zduszonym głosem. - Nie sędzę.

- Na pewno ma pani rację, ale mimo wszystko wydaje mi się pani znajoma.

- Wszystkie pokojówki wyglądają tak samo - stwierdziła z krzywym uśmiechem.

- To prawda.

Odwróciła głowę. Dlaczego tak powiedziała? Nie chciała, żeby ją poznał? Czy przez ostatnie pół godziny nie marzyła, żeby...

Właśnie. Marzyła, żeby ją kochał i prosił ją o rękę. W rzeczywistości mógłby poprosić, by została jego kochanką, a przysięgła sobie, że nigdy tego nie zrobi. Mógłby też poczuć się w obowiązku zawieźć ją z powrotem do lady Penwood, a ta natychmiast kazałaby ją aresztować za kradzież klamerek od butów (ani przez chwilę nie łudziła się, że Araminta nie zauważyła ich zniknięcia).

Nie, lepiej, żeby jej nie poznał. Zważywszy na to, że nie miała teraz żadnego źródła dochodu i niewiele poza ubraniem na grzbiecie, nie potrzebowała kolejnych kłopotów.

Mimo wszystko czuła się rozczarowana.

- Czy to deszcz? - zapytała, żeby sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory.

Benedict spojrział w niebo. Księżyc przesłaniały chmury.

- Nie zanosilo się na deszcz, kiedy wyruszaliśmy. -

w tym momencie na jego rękę spadła duża kropla. –  
Jednak chyba ma pani rację. ., Sophie też zerknęła w górę.  
- Wiatr się wzmógł. Mam nadzieję, że nie zerwie się burza.  
- Na pewno się zerwie, bo jesteśmy w odkrytym powozie  
- stwierdził Bridgerton kwaśno. - Gdybym wziął karoce, na  
niebie nie byłoby nawet chmurki.  
- Daleko do pańskiego domu?  
- Jakies pół godziny jazdy. - Zmarszczył brwi. - Pod  
warunkiem, że nie zatrzyma nas burza.  
- Cóż, nie mam nic przeciwko odrobinie deszczu.  
- Są gorsze rzeczy niż przemoknięcie. - Oboje dobrze  
Wiedzieli, o czym mówi. - Nie pamiętam, żebym pa-  
nu podziękowała.  
Benedict gwałtownie obrócił głowę w jej stronę. Na  
wszystkie świętości, jej głos wydawał się znajomy. Ale  
kiedy przyjrzał się jej twarzy, zobaczył tylko zwykłą  
pokojówkę. Bardzo atrakcyjną pokojówkę, ale mimo  
wszystko. Ich ścieżki nie mogły się przeciąć.  
- Drobiazg - powiedział w końcu.  
- Może dla pana. Dla mnie wprost przeciwnie.  
Tylko kiwnął głową i mruknął coś pod nosem. Czul się  
nieswojo.  
- Bardzo odważnie pan postąpił.  
Benedict znowu chrząknął i w tym momencie, otworzyło  
się niebo. Wystarczyła minuta, żeby jego ubranie przemokło  
do suchej nitki. Kiedy spojrzął na pannę Beckett, zobaczył,  
że kuli się z zimna.  
- Dam pani płaszcz.  
Ze śmiechem potrząsnęła głową.  
- I tak jest zupełnie mokry. Proszę się o mnie nie  
- martwić.

Bridgerton popędził konie, ale droga zrobiła się błotnista, wiatr zaczął deszczem, ograniczając widoczność.

Do diabła! Tylko tego mu było trzeba. Przez cały ostatni tydzień leżał przeziębiony i jeszcze nie całkiem doszedł do siebie. Jazda w takich warunkach pewnie spowoduje nawrót choroby i następny miesiąc będzie musiał spędzić w łóżku...

Oczywiście...

Z trudem powściągnął uśmiech. Gdyby zachorował, matka nie nakłaniałaby go do chodzenia na wszystkie przyjęcia w nadziei, że znajdzie miłą młodą damę i wreszcie się ustakuje.

Trzeba mu oddać, że zawsze trzymał oczy otwarte i rozglądał się za odpowiednią kandydatką. Nie miał nic przeciwko małżeństwu. Jego brat Anthony i siostra Daphne byli szczęśliwi. Ale pobrali się z właściwymi osobami, a on jeszcze nie spotkał swojej drugiej połówki.

No, niezupełnie, pomyślał, cofając się pamięcią do balu sprzed dwóch lat. Poznał kobietę w srebrnej sukni.

Gdy trzymał ją w ramionach i wirował z nią po tarasie w jej pierwszym walcu, o władnęły nim bardzo dziwne uczucia. Powinien śmiertelnie się wystraszyć, ale zamiast tego postanowił, że ją zdobędzie.

I wtedy ona zniknęła bez śladu, jakby zapadła się pod ziemię. Z irytującej rozmowy z lady Penwood nie dowiedział się niczego, a kiedy wypytywał przyjaciół i rodzinę o tajemniczą kobietę, też nikt nie umiał mu pomóc. Nikt jej nie towarzyszył. Wszystko wskazywało na to, że w ogóle nie istniała.

Wyglądał jej później na każdym balu, raucie i wie-

czorze muzycznym. Do diabła, chodził na więcej przyjęć~ niż zwykle w nadziei, że ją zobaczy. Zawsze wracał do domu rozczarowany.

Nieraz myślał o tym, żeby przestać jej szukać, i jako człowiek rozsądny w końcu uznał, że czas się poddać. Po kilku miesiącach znowu odrzucał większoŚć zaproszeń. Po paru kolejnych stwierdził, że już nie porównuje z nią wszystkich kobiet, z którymi się styka.

Lecz gdy zjawiał się na balu albo szukał miejsca na wieczorze muzycznym, nadal odruchowo przeszukiwał wzrokiem tłum, nasłuchiwał jej śmiechu. Już dawno pogodził się z tym, że jej nie znajdzie, ale...

Uśmiechnął się ze smutkiem. Nie mógł przestać się rozglądać. Ten zwyczaj wszedł mu w krew.

Wciąż miał nadzieję... I choć mówił sobie, że pora się ożenić, nie potrafił wykrzesać w sobie entuzjazmu. Gdyby włożył obrączkę na palec innej kobiety, a następnego dnia zobaczył tajemniczą damę z balu maskowego? Chyba pękłoby mu serce. Odetchnął z ulgą, kiedy dostrzegł wioskę Rosemade. Do domu zostało jeszcze pięć minut jazdy. Już nie mógł się doczekać gorącej kąpieli. Zerknął na pannę Beckett. Trzęsła się z zimna, ale z jej ust nie padło nawet słowo skargi. Nie znał kobiety, która tak dzielnie znosiłaby przeciwności. Nawet jego siostra Daphne w końcu zaczęłaby narzekać na psią pogodę. -Jesteśmy prawie na miejscu - pocieszył ją i nagle zaniósł się gwałtownym kaszlem. Dobrze się pan czuje?

Benedict odniósł wrażenie, że w płucach i gardle ma ogień.

- Tak - wykrztusił.
  - Nie wygląda pan najlepiej.
  - W zeszłym tygodniu byłem przeziębiony.
  - Nie chciałabym, żeby przeze mnie pan się rozchorował.
- Z trudem zdobył się na uśmiech.
- Tak czy inaczej złapałby mnie deszcz.
  - Mimo to...

Jej dalsze słowa zagłuszył kolejny atak kaszlu.

- Przepraszam - wymamrotał Benedict.
- Może ja przejmę wodze? Spojrzał na nią z niedowierzaniem.
- To jest faeton, a nie jednokonna bryczka.
- Zapewniam pana, że umiem powozić zaprzęgiem - oświadczyła Sophie, ukrywając irytację.
- A gdzie się pani tego nauczyła?
- Córkę państwa, u których pracowała moja matka, uczyły się również powożenia.
- Pani domu musiała bardzo panią lubić - zauważył Bridgerton.

- Owszem.

Sophie pohamowała gorzki śmiech. Jeszcze za życia hrabiego Araminta stawiała na głowie, żeby zabronić jej lekcji z Rosamundą i Posy.

- Dziękuję, ale dam sobie radę - rzekł Benedict, ale zaraz znowu się rozkaszał.

Sophie zdecydowanym ruchem sięgnęła po wodze.

- Proszę - powiedział z rezygnacją. - Ale będę czuwał.
- Oczywiście.

Od lat nie powoziła, zwłaszcza w takich warun-

ach, lecz doszła do wniosku, że pewnych umiejętności się nie zapomina. Poza tym przypomniały się jej dawne czasy, kiedy miała ładne ubrania, dobre jedzenie, uczyła się ciekawych rzeczy i... Westchnęła cicho. Co się stało? - zainteresował się Benedict.

- Nic. A dlaczego pan pyta?

- Usłyszałem westchnienie. , - Mimo wichury?Uprzedzałem, że będę czujny. Nie chciałbym wyładować w rowie.

Nie zaszczyciła go odpowiedzią.

- Proszę tutaj skrócić w prawo.

- Czy pański dom ma jakąś nazwę?

- Mój Dom.

- Oryginalnie - mruknęła pod nosem.

Bridgerton uśmiechnął się lekko, choć wyglądał jak zbity pies.

- Nie zartuję.

Rzeczywiście chwilę później dotarli do eleganckiej wiejskiej siedziby z niedużym szyldem: „Mój Dom”.

- Nazwę wymyślił poprzedni właściciel, a ja ją zostawiłem.

Gdy zajechali pod stajnię, Benedict wyskoczył z powozu i zaczął odwiązywać konie. Dygotał z zimna.

- Pomogę panu - zaproponowała Sophie.

- Sam sobie poradzę.

- Na pewno, ale razem zrobimy to szybciej.

- Nie... - Nagle zgiął się w pół, rozdierany kaszlem.

Sophie szybko do niego podbiegła i zaprowadziła na ławkę.

- Proszę usiąść. Ja zajmę się końmi. Tym razem nie protestował.

- Przepraszam... - wykrztusił.

- Nie ma za co.  
- Niezbyt to uprzejme z mojej strony... - Wstrząsnęły nim kolejne spazmy.

- Chyba panu wybaczę, zważywszy na to, że wcześniej pan mnie uratował.

Próbowała się uśmiechnąć, ale z jakiegoś powodu wykrzywiła usta jak do płaczu. Czym prędzej odwróciła głowę.

Musiał jednak coś zauważyć albo wyczuć, bo spytał z troską:

- Wszystko w porządku?

- Tak! - odparła zdławionym głosem.

Zanim się spostrzegła, stanął przy niej i otoczył ją ramionami.

- Już dobrze - powiedział łagodnie. - Tutaj jest pa ni bezpieczna.

Z oczu Sophie trysnęły łzy.

Plakała na myśl o tym, co mogło ją dzisiaj spotkać, użalała się nad swoim smutnym życiem, wspominała noc, kiedy też trzymał ją w objęciach. Rozczuliło ją, że jest taki miły dla zwykłej pokojówki i troszczy się o nią, choć sam wymaga opieki.

Szlochała, bo nagle poczuła się bardzo samotna. Od tak dawna o nim marzyła, a on jej nie rozpoznał.

I dobrze, że tak się stało, ale mimo wszystko bolało ją serce. Już nie pamiętała, kiedy ostatnio pozwoliła sobie na rozpacz.

Gdy w końcu się uspokoiła, Benedict wypuścił ją z objęć i zapytał:

- Już lepiej?

Skinęła głową, zaskoczona, że istotnie jest jej lżej na sercu.

- To dobrze. Wystraszyła się pani...

Przerwał mu napad kaszlu.

- Musimy wejść do środka - stwierdziła Sophie ocierając łzy.

- Pierwszy dobiegnę do ganku.

Wytrzeszczyła oczy, a kiedy zorientowała się, że Benedict wcale nie żartuje, uniosła spódnice i puściła się biegiem w stronę domu. Krztusząc się ze Śmiechu dotarła do schodków, przemoknięta do suchej nitki.

Bridgerton oczywiście zwyciężył w wyścigu i już bębnił do drzwi.

- Nie ma pan klucza? - spytała zdziwiona. Potrząsnął głową.

- Nie zamierzałem tu dzisiaj przyjeżdżać.

- Myśli pan, że gospodarze usłyszą?

- Mam nadzieję - mruknął. Sophie zajrzała w najbliższe okno.

- Wszędzie ciemno - powiedziała. - Może ich nie być w domu?

- Nie wiem, dokąd mogliby się wybrać.

- A pokojówka albo lokaj?

- Tak rzadko tu bywam, że nie zatrudniam służby na stałe. Pokojówki przychodzą tylko wtedy, gdy są potrzebne.

- Proponuję poszukać otwartego okna, choć wątpię, czy jakieś zostawili w taką burzę.

- Wiem, gdzie jest schowany zapasowy klucz.

Sophie popatrzyła na niego zaskoczona.

- Dlaczego mówi to pan ponurym tonem?

Zakrztusił się kaszlem, nim odpowiedział:

- Bo muszę wyjść na tę cholerną ulewę. Był na granicy wytrzymałości. Już dwa razy przy

niej zaklął, a nie wyglądał na człowieka, który nie li-



czy się ze słowami przy kobietach, nawet zwykłych pokojówkach.

- Proszę tu zaczekać - rzucił i wybiegł z ganku na deszcz.

Kilka minut później usłyszała szcęk klucza przekręcanego w zamku. Drzwi się otworzyły. W progu stał Benedict ze świecą, cały ociekający wodą.

- Nie wiem, gdzie są państwo Crabtree, ale tutaj z całą pewnością ich nie ma - oznajmił zachrypniętym głosem.

Sophie przełknęła ślinę.

- Jesteśmy sami?

Skinął głową.

- Całkiem sami. Ruszyła do schodów.

- Znajdę pomieszczenia dla służby.

- O, nie. - Chwycił ją za ramię. -Nie?

- Nigdzie nie pójdziesz, dziewczyno.

*W ostatnich czasach nie można na londyńskich balach zrobić dwóch kroków, żeby nie natknąć się na matrony rozprawiające o kłopotach ze znalezieniem dobrej pomocy domowej. W zeszłym tygodniu na wieczorze muzycznym u Smythe-Smithów omal nie doszło do rękoczynów między panią Featherington a lady Penwood. Podobno miesiąc wcześniej hrabina ukradła pani Featherington pokojówkę, obiecując jej wyższą pensję i swoje używane suknie. Trzeba nadmienić, że była pracodawczyni też dawała biednej dziewczynie ubrania, ale jeśli ktoś widział stroje pani Featherington, zrozumie determinację służącej. Atmosfera zgęstniała, kiedy wspomniana osóbką wróciła do pani Featherington, błagając o przyjęcie do pracy. Zdaje się, że według lady Penwood pokojówka powinna wykonywać również zadania pomywaczki, kucharki i sprzątaczkę. Ktoś powinien uświadomić tej kobiecie, że jedna dziewczyna nie może pracować za trzy.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 2 maja 17*

Rozpalimy ogień i ogrzejemy się przed pójściem łózek - oświadczył Benedict. - Nie po to ratowa-

łem panią przed Cavenderem, żeby teraz nabawiła się pani zapalenia płuc.

Jego pierś rozerwał gwałtowny kaszel.

- Proszę wybaczyć, panie Bridgerton, ale z nas dwojga to raczej panu grozi zapalenie płuc - stwierdziła Sophie.

- Nie zamierzam chorować, więc... - Zgiął się w pół.

- Panie Bridgerton?

- Niech pani mi pomoże nagrzać w domu, nim zakaszlę się na śmierć - wykrztusił Benedict.

Sophie zmarszczyła czoło. Jego ataki stawały się coraz częstsze i silniejsze. Na szczęście miała wprawę w rozpalaniu ognia, tak że wkrótce oboje grzali sobie ręce przy kominku.

- Pani zapasowe ubranie raczej nie uchowało się suche - powiedział Bridgerton, wskazując na jej moką torbę.

- Też w to wątpię. Ale nieważne. Trochę tu posiedzę i w końcu wyschnę.

- Niech pani nie będzie głupia. Na pewno coś dla pani znajdę.

- Ma pan tu kobiece stroje? - zapytała Sophie z powątpiewaniem.

- Chyba może pani na jeden wieczór włożyć spodnie i koszulę, co?

- Pewnie tak - bąknęła niepewnie.

- To dobrze. Proszę rozpalić kominki w sypialniach, a ja poszukam czegoś do przebrania.

- Mogę spać w służbówce - rzuciła Sophie pospiesznie.

- Nie ma potrzeby - odparł Bridgerton, ruszając do drzwi. - Pokoi nie zabraknie, a poza tym tutaj nie jest pani na służbie.

- Ale jestem służącą.

- Jak pani chce. - Ruszył w górę po schodach, lecz w połowie zatrzymał go napad kaszlu. - Może pani znaleźć klitkę z twardą pryczą albo rozgościć się w wygodnej sypialni, gdzie jest łoże z miękkim materacem i puchową kołdrą.

Sophie wiedziała, że powinna od razu pójść na poddasze, ale, na Boga, miękki materac i puchowa kołdra wydawały się jej rajem na ziemi. W takich luksusach nie spała od lat.

- Proszę mi pokazać najmniejszy pokój gościnny - ustąpiła w końcu.

Benedict wykrzywił usta w lekko kpiącym uśmiechu.

- Niech pani wybierze, który chce, z wyjątkiem mojego - powiedział, wskazując na drugie drzwi po lewej stronie korytarza.

- Tam rozpale najpierw - oznajmiła Sophie.

Chory potrzebował ciepła bardziej niż ona, a poza tym ciekawiło ją, jak wygląda jego pokój. Po wystroju można było dużo powiedzieć o właścicielu. Oczywiście, pomyślała, jeśli miało się dość pieniędzy, żeby urządzić go zgodnie z własnym gustem. Wątpiła, czy dałoby się wyciągnąć jakieś wnioski na podstawie jej klitki na poddaszu u Cavenderów... oprócz tego, że jest biedna jak mysz kościelna.

Sypialnia gospodarza okazała się przytulna, męska i bardzo wygodna. Choć Bridgerton rzadko w niej bywał, na biurku i stolikach leżały jego osobiste rzeczy: miniaturki braci i sióstr, książki w skórzanej oprawie, szklana misa napełniona...

Kamieniami?

- Dziwne - mruknęła Sophie, podchodząc bliżej.

Nagle usłyszała za sobą głos:

- Z każdym wiąże się jakieś wspomnienie. Zbierałem je od... - Benedict zaniósł się kaszlem. - Od dzieciństwa.

Sophie oblała się rumieńcem, ale wzięła do ręki różowy kamyk z poszarpaną szarą żyłką biegnącą przez środek.

- A ten?

- Znalazłem go w czasie przejażdżki, w dniu, kiedy umarł mój ojciec.

- Och! Tak mi przykro.

Benedict uśmiechnął się ze smutkiem.

- Mnie również. - Zakaszłał tak mocno, że musiał się oprzeć o ścianę.

- Musi pan się rozgrzać - powiedziała Sophie. - Zajmę się kominkiem.

Gospodarz rzucił na łóżko suche ubranie.

- To dla pani.

- Dziękuję.

Wiedziała, że niebezpiecznie jest przebywać z nim w tym samym pokoju. Nie dlatego, że coś jej groziło z jego strony. Szczerze mówiąc, bała się, że jeśli spędzi zbyt dużo czasu w jego towarzystwie, zakocha się śmiertelnie.

I co jej z tego przyjdzie?

Nic, oprócz złamanego serca.

Przez chwilę klęczała przed małym kominkiem, by się upewnić, że płomień nie zgaśnie.

- Gotowe - oznajmiła w końcu, wstając. Rozprostowała plecy, odwróciła się i... - O, Boże!

Benedict Bridgerton był zielony na twarzy. Podbiegła do niego wystraszona.

- Dobrze się pan czuje?

- Nienajlepiej - wymamrotał, opierając się o słupek łóżka.  
Mówił, jakby był zamroczony alkoholem, choć nie  
pił przynajmniej w ciągu dwóch ostatnich godzin.  
- Musi się pan położyć - stwierdziła.  
Uśmiechnął się szeroko.  
- Pani też?  
Cofnęła się gwałtownie.  
- Pan ma gorączkę. Uniósł  
dłoń do twarzy.  
- Może rzeczywiście.  
Przeżona własną śmiałością dotknęła jego czoła. Nie  
parzyło, ale nie było chłodne.  
- Musi pan zdjąć mokre ubranie - powiedziała. -  
Natychmiast.  
- Tak. Istotnie.  
Sięgnął do guzików koszuli, ale ręce miał jak z drewna.  
W końcu bezradnie wzruszył ramionami:  
- Nie mogę.  
Po chwili wahania Sophie zaczęła rozpinać mu koszulę.  
Gdy ukazał się kawałek nagiego torsu, odwróciła spojrzenie.  
- Już prawie gotowe. Jeszcze chwileczkę.  
Benedict nic nie odpowiedział, więc podniosła  
wzrok. Oczy miał zamknięte i chwiały się lekko. Gdyby nie  
stał, przysięgłaby, że śpi.  
- Panie Bridgerton? Panie Bridgerton!  
Ocknął się raptownie.  
- Co? Co?  
- Zasnął pan. Zamrugał  
oszołomiony,  
- Czy to źle?  
- Nie może pan spać w ubraniu.

Spojrzał w dół.

- Dlaczego moja koszula jest rozpięta?

Sophie zignorowała pytanie i lekko pchnęła go na materac.

- Proszę usiąść. - Widać mówiła władcym tonem, by jej posłuchał. - Ma pan coś suchego do przebrania?

Zdjął koszulę i rzucił ją na podłogę.

- Nigdy nie śpię w piżamie. Sophie żołądek podszedł do gardła.

- Dzisiaj pan powinien... Co pan robi?

Łypnął na nią, jakby zadała najgłupsze pytanie na świecie.

- Ściągam spodnie.

- Nie mógł pan przynajmniej zaczekać, aż się odwrócę?

Popatrzył na nią pustym wzrokiem.

- No więc? - zapytał w końcu. -Co?

- Dlaczego się pani nie odwraca? Błyskawicznie obróciła się do niego plecami. Bene-

dict ze znużeniem pokręcił głową. Niech go Bóg chroni przed pruderyjnymi panienkami! Nawet jeśli była dziewicą - a sądząc po jej zachowaniu podejrzewał, że tak - z pewnością nieraz widywała męskie ciała. Służące wchodziły bez pukania do pokojów, przynosiły ręczniki, prześcieradła i co tam jeszcze. Niemożliwe, żeby nigdy nie natknęła się na nagiego mężczyznę.

Kiedy wreszcie się rozebrał, zerknął na Sophie. Stała sztywno, ręce miała opuszczone po bokach, zaciśnięte pięści. Uśmiechnął się lekko na ten widok.

Nagle ogarnęło go wielkie znużenie i senność. Z trudem uniósł nogi na łóżko, naciągnął na siebie kołdrę i z cichym jękiem opadł na poduszkę.

- Dobrze się pan czuje? - spytała Sophie z niepokojem.

- Dobrze.

Z jego ust wydobył się niezrozumiały pomruk.

Gdy zebrał siły i uchylił powiekę, zobaczył, że podeszła do niego z troską wypisaną na twarzy. Zrobiło mu się miło. Już od dawna żadna kobieta nie dbała o jego zdrowie.

- W porządku - wymamrotał, siląc się na uśmiech, ale jego głos brzmiał, jakby wydobywał się z długiego, wąskiego tunelu.

- Panie Bridgerton? Panie Bridgerton?

Otworzył jedno oko.

- Niech pani się wysuszy i też idzie spać - powiedział bełkotliwie.

- Na pewno?

Skinął głową. Mówienie sprawiało mu coraz większe kłopoty.

- Zostawię drzwi otwarte. Gdyby mnie pan potrzebował, proszę zawołać.

Benedict nie zdążył odpowiedzieć, bo zapadł w sen.

Sophie krzątała się przez kwadrans, przebierając w suche ubranie i rozpalając kominek w swoim pokoju, ale gdy tylko wyciągnęła się na łóżku, poczuła ogromne wyczerpanie.

To był długi dzień, pomyślała sennie. Najpierw poranne obowiązki, później ucieczka po całym domu, przed Cavenderem i jego przyjaciółmi... Jej powieki się zamknęły...

Nagle usiadła z łomoczącym sercem. Ogień w kominku przygasł, więc trochę spała. Była bardzo zmęczona, więc coś musiało ją obudzić. Pan Bridgerton?



Wolał ją? Nie wyglądał dobrze, kiedy go opuszczała, ale też nie sprawiał wrażenia umierającego.

Wyskoczyła z łóżka, chwyciła świecę i pobiegła do drzwi, przytrzymując w pasie za duże spodnie. Kiedy dotarła do holu, usłyszała przeciągły jęk, a po nim huk.

Wpadła do pokoju gospodarza i zapaliła świecę od żaru kominka. Benedict leżał na łóżku zupełnie nieruchomo. Podeszła do niego ostrożnie i z ulgą stwierdziła, że oddycha.

- Panie Bridgerton? - wyszeptała. - Panie Bridgerton?

Żadnej reakcji. Nachyliła się mocniej.

- Panie Bridgerton?

Zaczął się rzucać i jęczeć. Od jego ciała bił żar. Sophie poczekała na spokojniejszą chwilę, po czym szybko dotknęła jego czoła. Było rozpalone.

Przygryzła dolną wargę, zastanawiając się, co robić. Nie miała doświadczenia w pielęgnowaniu chorych, ale doszła do wniosku, że trzeba go ochłodzić. A może...

Nagle Benedict wymamrotał:

- Pocałuj mnie.

Sophie z wrażenia puściła spodnie. Gdy opadły na podłogę, krzyknęła i szybko się po nie schyliła.

- Pan śni, panie Bridgerton - powiedziała cicho.

- Pocałuj mnie - powtórzył, nie otwierając oczu.

W blasku świecy zobaczyła, że jego gałki oczne poruszają się szybko pod powiekami. Jakie to dziwne widzieć sny innego człowieka, pomyślała.

- Do diabła! - ryknął nagle Benedict. - Pocałuj mnie!

Sophie cofnęła się zaskoczona i pospiesznie odsta-  
wiła świecę na stolik.

- Panie Bridgerton, ja...

A właściwie dlaczego nie?

Jej serce zatrzepotało dziko, gdy pochyliła się musnęła wargami jego usta.

- Kocham cię - wyszeptała. - Zawsze cię kochałam.

Ku jej wielkiej uldze nie obudził się. Nie chciała, żeby pamiętał rano tę chwilę. Ale gdy już była przekonana, że ponownie zapadł w głęboki sen, zaczął gwałtownie kręcić głową na poduszce.

- Gdzie jesteś? - wyjęczał. - Gdzie?

- Tutaj.

Uchylił powieki i przez moment wydawał się całkiem przytomny.

- Nie pani.

Potem oczy uciekły mu w głąb czaszki.

- Nikogo innego tu nie ma - mruknęła Sophie. - Zaraz wracam.

I wybiegła z pokoju.

Jako doświadczona pokojówka bez trudu znalazła świeżą pościel i ręczniki. Nabrała do dzbanka zimnej wody i wróciła do sypialni. Benedict leżał spokojnie, ale oddychał płytko i szybko. Jego czoło wręcz parzyło.

Niedobrze. Araminta, Rosamunda i Posy nie przechorowały ani jednego dnia w życiu. Cavenderowie również cieszyli się końskim zdrowiem. Przez jakiś czas opiekowała się sparaliżowaną matką pani Cavender. Zupełnie jednak nie wiedziała, jak zająć się człowiekiem z gorączką.

Namoczyła ręcznik w dzbanku, wycisnęła go i delikatnie położyła na czole Benedicta. Nie wzdrygnął się, co Sophie wzięła za dobry znak. Przygotowała następny chłodny okład, ale nie miała pojęcia, gdzie go

położyć. Doszła do wniosku, że raczej nie na piersi, a nie zamierzała zsunąć kołdry niżej niż do pasa, nawet gdyby biedak umierał. W końcu zwilżyła mu szyję i skórę za uszami.

- Lepiej? - zapytała, wcale nie oczekując odpowiedzi.

- Nie znam się na pielęgnowaniu chorych, ale gdybym ja była chora, chciałabym, żeby ktoś mnie ochłodził.

Bridgerton poruszył się niespokojnie i coś wymamrotał.

- Naprawdę? Cieszę się, że pan tak uważa - odparła, prowadząc tę jednostronną konwersację, by dodać sobie otuchy.

Z jego ust wyrwał się niezrozumiały bełkot.

- Nie. Zgodziłam się z tym, co pan powiedział wcześniej, ale chętnie jeszcze raz się zastanowię.

Uspokoił się.

Sophie westchnęła i zabrała mu ręcznik z czoła. Stwierdziła przy okazji, że nadal jest ciepło, a skóra lepka. W tym momencie niewiele mogła dla niego zrobić, więc zaczęła chodzić po pokoju i bezwstydnie oglądać różne drobiazgi.

Najpierw zatrzymała się przy kolekcji miniaterek. Na biurku stało ich dziewięć. Domyśliła się, że to rodzice i siedmioro rodzeństwa Benedicta. Uderzyło ją ich wzajemne podobieństwo. Wszyscy mieli kasztanowate włosy, wydatne usta, smukłą budowę. Przyjrzała się uważnie oczom, ale w przyćmionym blasku świecy nie dostrzegła ich koloru.

Obok portrecików stała misa z kamykami. Sophie wzięła kilka do ręki.

- Dlaczego są dla ciebie takie szczególne? - szepnęła i odłożyła je na miejsce.

Potem trafiła na małą orientalną szkatułkę, ale nie

odważyła się jej otworzyć. Lecz najbardziej zaintrygował ją duży szkicownik oparty o bok biurka. Okalało się, że jest wypełniony rysunkami ołówkiem, głównie pejzażami i kilkoma portretami. Zerknęła na jedną z kartek i zobaczyła dwie literki B. B. Cmoknęła cichutko, a jej twarz rozjaśnił uśmiech. Nie przypuszczała, że Benedict jest artystą. W „Kronice” nie było na ten temat ani słowa, a przecież taką rzecz autorka rubryki plotkarskiej już dawno powinna odkryć.

Sophie wzięła szkicownik bliżej światła i przerzuciła stronice. Najchętniej usiadłaby w spokoju i obejrzała je dokładnie, ale już i tak zachowała się skandalicznie. Doszła jednak do wniosku, że nie stanie się nic złego, jeśli na nie zerknie.

Na kilku rysunkach został uwieczniony Mój Dom, na innych okazała rezydencja, prawdopodobnie siedziba rodu Bridgertonów. Lecz na większości widniały doskonałe studia z natury: wijąca się rzeczka, drzewo smagane wiatrem albo łąka w deszczu. Sophie mogłaby przysiąc, że słyszy szmer wody, szelest wiatru w liściach.

Portretów, chyba młodszej siostry i matki, było mniej, ale uznała je za dużo ciekawsze. Najbardziej spodobał się jej rysunek przedstawiający jakąś grę na wolnym powietrzu. Pięcioro Bridgertonów trzymało w rękach długie kije, jedna z dziewcząt, ukazana na pierwszym planie, w skupieniu starała się wbić kulę do bramki.

Ten obrazek sprawił, że Sophie nagle rozpaczliwie . Zateęskniła za własną rodziną, a jednocześnie miała ochotę roześmiać się wesoło. Z westchnieniem przejrzała pozostałe kartki. Na

ostatnim szkicu, różniącym się od wcześniejszych nocną scenerią, zobaczyła biegnącą kobietę...

Dobry Boże! To przecież ona!

Autor uchwycił szczegóły srebrnej sukni, która należała do niej przez jeden wieczór. Zapamiętał nawet długie rękawiczki i fryzurę. Twarz była mniej rozpoznawalna, ale nic dziwnego, bo wtedy zasłaniała ją maska.

W tym momencie Benedict jęknął i zaczął niespokojnie rzucać się po łóżku. Sophie zamknęła szkicownik, odstawiła go na miejsce i szybko podeszła do chorego.

- Panie Bridgerton? Wszystko w porządku? - Za mrugał powiekami i otworzył oczy. - Potrzebuje pan czegoś? - Nie była pewna, czy ją usłyszał. Spojrzenie miał nieprzytomne. - Panie Bridgerton?

- Sophie - wychrypiał. - Pokojówka.

Skinęła głową.

- Tak. Życzy pan sobie czegoś?

- Wody.

Wprawdzie moczyła w dzbanku ręczniki, ale doszła do wniosku, że szkoda czasu na chodzenie do kuchni. Napełniła szklanekę.

- Proszę.

Ręce mu drżały, więc przytrzymała naczynie przy jego ustach. Benedict wypił kilka łyków i opadł na poduszki.

- Dziękuję - wyszeptał.

Sophie dotknęła jego czoła. Nadal było ciepłe, ale już nie rozpalone.

- Rano poczuje się pan lepiej.

Zaśmiał się cicho.

- Pewnie tak, bo gorzej być nie może.

- Da pan radę przesunąć się na drugą połowę łóżka, żebym mogła zmienić pościel?  
Skinął głową i zrobił, o co prosiła.  
- Niezła sztuczka - powiedział, kiedy skończyła.  
- Musiałam się jej nauczyć, bo często przyjeżdżała z wizytą matka pani Cavender - wyjaśniła Sophie. -  
Była sparaliżowana.  
- Rozumiem. Wracam do spania.  
Sophie pogłaskała go po ramieniu. Nie mogła się powstrzymać.  
- Rano poczuje się pan lepiej. Obiecuję.

*Mówi się, że najgorsi pacjenci to lekarze, ale pisząca te słowa uważa, że ta opinia dotyczy wszystkich mężczyzn. Choroba wymaga cierpliwości, a tej, niebios wiedzą, bardzo brakuje samcom naszego gatunku.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 2 maja 1817*

Sophie zasnęła na krześle z głową przechyloną na bok w bardzo niewygodnej pozycji i nieelegancko rozłożonymi nogami. Z początku tylko drzemała, nasłuchując oddechu Benedicta. Po godzinie spokoju wyczerpanie wzięło nad nią górę i zapadła w głęboki sen, z którego powinna obudzić się wypoczęta, z uśmiechem na twarzy.

Może dlatego, kiedy otworzyła oczy i zobaczyła wpatrujących się w nią dwoje obcych ludzi, krzyknęła przerażona, a serce jeszcze przez pięć minut waliło jej jak młot.

- Kim państwo są? - wymamrotała.
- A pani? - odparował mężczyzna.
- Sophie Beckett. Ja... - Przełknęła ślinę i wskazała na Bridgertona. - On...
- Wykrztuś wreszcie, dziewczyno!

- Nie dręczcie jej - dobiegł z łóżka chrapliwy głos.  
 - Obudził się pan! - zawołała Sophie.  
 - I bardzo tego żałuję. W gardle mam ogień.  
 - Przynieść panu wody?  
 - Poproszę o herbatę. Sophie zerwała się z krzesła.  
 - Już idę.  
 - Ja pójdę - oświadczyła kobieta.  
 - Pomóc pani? - zapytała Sophie nieśmiało. Pani Crabtree potrząsnęła głową.  
 - Co byłaby ze mnie za gospodyni, gdybym nie porafiła zaparzyć herbaty?  
 Sophie poczuła się jak skarcona dziesięciolatka, nie umiała stwierdzić, czy pani Crabtree żartuje, czy naprawdę jest urażona.

- Nie chciałam...  
 Kobieta machnęła ręką.  
 Pani też przynieść filiżankę?  
 - Nie! Jestem pok...  
 - Tak - przerwał jej Benedict i zwrócił się do pani Crabtree z uśmiechem, który mógłby stopić lód więc. - Będzie pani taka miła i postawi na tacy filiżankę dla panny Beckett?  
 Oczywiście, panie Bridgerton, ale czy mogę posiedzieć...  
 - Gdy pani wróci z kuchni. Gospodyni posłała mu surowe spojrzenie.  
 - Mam dużo do powiedzenia.  
 - Nie wątpię.  
 Kiedy kobieta wyszła z pokoju, jej mąż zarechotał:  
 - No to dostanie pan za swoje, panie Bridgerton!  
 Benedict uśmiechnął się słabo, a gospodarz przeniósł wzrok na Sophie i wyjaśnił:



- Kiedy pani Crabtree ma dużo do powiedzenia, ma dużo do powiedzenia.

- Aha - bąknęła, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

- A kiedy pani Crabtree ma dużo do powiedzenia, trudno jej nie usłyszeć - ciągnął mężczyzna z szerokim uśmiechem.

- Na szczęście będziemy zajęci herbatą - wtrącił Bridgerton.

Sophie zaburczało w brzuchu.

- I śniadaniem, o ile znam panią Crabtree - dodał Benedict, zerkając na nią z rozbawieniem.

Gospodarz pokiwał głową.

- Już jest gotowe, panie Bridgerton. Gdy wróciliśmy rano od córki i zobaczyliśmy pańskie konie w stajni, pani Crabtree od razu poszła do kuchni. Wie, jak bardzo pan lubi jajka.

- Istotnie.

- Ale nie wiedzieliśmy, że ma pan gościa - dodał pan Crabtree.

Benedict się zaśmiał i skrzywił z bólu.

- Jak znam pańską żonę, jedzenia pewnie wystarczyłoby dla małej armii.

- Cóż, nie zdążyła przygotować normalnego śniadania z pasztetem i rybą, ale myślę, że będzie bekon, szynka i jajka.

Sophie przycisnęła rękę do brzucha, żeby powstrzymać burczenie.

- Powinien nas pan uprzedzić, że przyjeżdża - oświadczył gospodarz, celując palcem w Bridgertona. - Nie wybralibyśmy się z wizytą.

- Zdecydowałem się w jednej chwili - odparł Benedict. - Uciekłem z okropnego przyjęcia.

Pan Crabtree wskazał głową na Sophie.

-A panna Beckett skąd się tu wzięła?

- Też była na przyjęciu. - W tamtym domu owszem, ale nie na przyjęciu -sprostowała Sophie. Gospodarz łypnął na nią podejrzliwie.

- Co to za różnica?

- Nie brałam udziału w przyjęciu, tylko usługiwałam. - Pani jest służącą?

Sophie skinęła głową. - Właśnie to próbowałam powiedzieć. - Nie wygląda pani na służącą. - Crabtree spojrział Bridgertona. - A pan jak uważa? Benedict wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Sophie przeszła go wzrokiem. Z pewnością nie mogła potraktować jego słów jako komplement. -Jeśli nie jest służącą, to co tutaj robi? - drażył gospodarz.

Może zaczekamy z wyjaśnieniami, aż wróci pani Crabtree? - zaproponował Benedict. - Na pewno powtórzy te same pytania. Mężczyzna przez chwilę mierzył go wzrokiem, po tym skinął głową i przeniósł spojrzenie na Sophie. - Dlaczego jest pani tak ubrana? Sophie przypomniała sobie z konsternacją, że ma na sobie męski strój.

Moje rzeczy całkiem przemokły na deszczu - odparła.

Crabtree ze współczuciem pokiwał głową.

- Niezła burza była zeszłej nocy. Zamierzaliśmy wrócić do domu, ale musieliśmy zostać u córki. ,mieszka niedaleko. Ma nowe dziecko. Dziewczynkę.

- Gratulacje - powiedział Benedict.

Sophie wyczytała z jego twarzy, że nie jest to zwykła uprzejmość. W tym momencie usłyszała ciężkie kroki na schodach i zerwała się z krzesła.

- Muszę pomóc.

- Służąca zawsze pozostanie służącą - stwierdził gospodarz tonem mędrca.

Minutę później do pokoju wmaszerowała pani Crabtree z pełną tacą.

- Gdzie Sophie? - zapytał Bridgerton.

- Posłałam ją na dół po resztę. Zaraz wróci. Miła dziewczyna, ale przydałby się jej pasek do tych spodni, które jej pan pożyczył.

Benedict poczuł dziwne ściskanie w krtani na myśl o panie Beckett w jego spodniach pętających się wokół kostek. Przełknął ślinę i jęknął, chwytając się za obolałe gardło.

- Musi pan się napić jednej z moich nalewek - stwierdziła pani Crabtree.

Bridgerton gwałtownie potrząsnął głową. Aż za dobrze pamiętał ich smak.

- Nie chcę słyszeć żadnych protestów - ostrzegła gospodyni.

- Jak zawsze - wtrącił mąż.

- Herbata na pewno mi pomoże - powiedział szybko Benedict.

Ale pani Crabtree już myślała o czymś innym. Podeszła do drzwi.

- Gdzie ta dziewczyna? Sophie! Sophie!

-Jeśli uratuje mnie pan przed wypiciem nalewki, dostanie pan piątaka - szepnął Benedict do gospodarza.

Crabtree uśmiechnął się szeroko.

- Załatwione!

- No, już jest - oznajmiła pani Crabtree. - O, niebios!

- Co się stało, kochanie? - spytał mąż. - Biedactwu trudno jednocześnie nieść tacę i przytrzymywać spodnie - odparła kobieta, cmokając ze współczuciem.

- Nie pomoże jej pani? - wtrącił Bridgerton. - Oczywiście. Gospodyni wybiegła z pokoju, a mąż pospieszył za nią.

- Zaraz wracam - rzucił przez ramię. - Nie chcę przegapić tego widoku.

- Niech ktoś da tej dziewczynie pasek! - zawył Benedict.

To niesprawiedliwie, że musiał tkwić w łóżku, ale sama myśl o wstaniu przyprawiła go o zawrót głowy. W nocy chyba był bardziej chory, niż przypuszczał. Już nie kaszłał, ale czuł się mocno osłabiony, bolały go wszystkie mięśnie, gardło paliło żywym ogniem.

Niejasno pamiętał, że Sophie przy nim czuwała, robiła mu zimne okłady na czoło, a nawet śpiewała kołysankę. Nie widział jej twarzy, bo nie miał siły otworzyć oczu, a kiedy w końcu uchylił powieki, w sypialni panował mrok...

Serce zatłukło mu się w piersi, gdy raptem przypomniał sobie sen, który nawiedził go znowu po wielu miesiącach przerwy. Nie była to niewinna fantazja. W marzeniach sennych tajemnicza dama z balu markowego nie ukazywała mu się w srebrnej sukni. Nie miała na sobie nic, pomyślał z łobuzerskim uśmiechem.

Ale dlaczego przyśniła mu się akurat teraz, gdy już sądził, że o niej zapomni?

Panna Beckett, krótkowłosa i chuda, nie była podobna do kobiety, z którą tańczył przed dwoma laty; jeszcze teraz pamiętał jej miłe krągłości. Głos brzmiał znajomo, ale Sophie, mimo starannej wymowy, nie pochodziła z wyższych sfer.

Benedict sapnął z irytacją. Najgorsze, że ukryła przed nim swoje imię. Wręcz żałował, że nie podała mu fałszywego. Przynajmniej miałby jak ją nazywać w myślach. I szeptać w nocy, wyglądając przez okno.

Od dalszych rozmyślań wybawiły go odgłosy dobiegające z holu. Pan Crabtree zjawił się pierwszy z ciężką tacą.

- A gdzie reszta? - zapytał Bridgerton.

- Pani Crabtree szuka dla panny Beckett odpowiedniego przyodziewku. Szyńska czy bekon?

- Jedno i drugie. Umieram z głodu. A co, u licha, pańska żona rozumie przez „odpowiedni przyodziewek”?

- Suknię, panie Bridgerton. To, co noszą kobiety.

Benedict przez chwilę się zastanawiał, czy nie cisnąć w niego ogarkiem świecy.

- A skąd ją weźmie? - zdziwił się, dumny z własnej cierpliwości.

- Ma kilka zapasowych. Zawsze lubiła się dzielić.

- Pani Crabtree i Sophie nie są tych samych rozmiarów.

- Podobnie jak pan i panna Beckett - zauważył Crabtree.

- Suknia przynajmniej z niej nie spadnie, prawda?

Benedict doszedł do wniosku, że będzie dla niego lepiej, jeśli zajmie się śniadaniem. Brał właśnie trzecią dokładkę, gdy do pokoju wparowała gospodyni.

-Jesteśmy! Czy nie wygląda ślicznie? - spytała rozpromieniona, patrząc na Sophie, która tonała w obszernej, ale przykrótkiej sukni.

O, tak - zapewnił Bridgerton; usta mu drżały. -Będzie pani miała dużo miejsca na jedzenie. Panna Beckett spiorunowała go wzrokiem.

Najważniejsze, że teraz jest przyzwyczajona – stwierdziła pani Crabtree, podchodząc do łóżka. - Jak śniadanie, panie Bridgerton?

- Pyszne. Tak dobrego nie jadłem od miesięcy. Kobieta nachyliła się do niego i szepnęła: - Podoba mi się pańska Sophie. Może tu zostać? Benedict się zakrztusił.

- Słucham?

- Pan Crabtree i ja nie jesteśmy już tacy młodzi. . Przydałaby się nam jeszcze jedna para rąk.

- Ja... eee, no cóż, pomyślę o tym.

- Doskonale. - Gospodyni zbliżyła się do Sophie i wzięła ją za ramię. - Chodź ze mną. Burczy ci w brzuchu przez cały ranek. Kiedy ostatnio coś jadłaś?

- Hm, chyba wczoraj.

- O której?

Bridgerton ukrył uśmiech na widok zakłopotania Sophie. Pani Crabtree rządziła wszystkimi twardą ręką.

- Właściwie...

Gospodyni położyła ręce na biodrach. Benedict uśmiechnął się szerzej; wiedział, co zaraz usłyszy.

- Czy to znaczy, że wczoraj nic nie jadłaś?

Panna Beckett rzuciła mu rozpaczliwe spojrzenie.

Bridgerton odpowiedział lekkim wzruszeniem ramion. Podobała mu się troskliwość pani Crabtree. Założyłby się, że od lat nikt nie dbał o biedną dziewczynę.

- Byłam zajęta - bąknęła Sophie.

Benedict zmarszczył brwi. Pewnie musiała uciekać przed Philipem Cavenderem i bandą jego przyjaciół. Gospodyni pchnęła Sophie na fotel.

- Jedz - rozkazała.

Panna Beckett usiłowała zachować dobre maniere, ale głód zwyciężył i po minucie wręcz rzuciła się na śniadanie.

Benedict obserwował ją ukradkiem i dopiero kiedy zauważył, że szczęki ma zaciśnięte, uświadomił sobie, że jest wściekły.

Łączyło ich to, że pomogli sobie nawzajem. Sophie pielęgnowała go, jak umiała, starała się ulżyć mu w chorobie i zapewne przyspieszyła jego powrót do zdrowia.

- Dopilnuje pan, żeby zjadła jeszcze jeden talerz? - zapytała pani Crabtree. - Ja tymczasem przygotowuję dla niej pokój.

- Służbówkę - wtrąciła Sophie pospiesznie.

- Nie ma mowy. Póki cię nie zatrudnimy, nie będziesz służącą.

- Ale...

- Ani słowa więcej! - przerwała jej gospodyni.

- Pomóc ci, kochanie? - zapytał mąż.

Kobieta skinęła głową i oboje wyszli z pokoju.

Sophie odprowadziła ich wzrokiem. Widać uznali ją za swoją, bo w przeciwnym razie nie zostawiliby jej samej z panem Bridgertonem. Reputację mogła zniszczyć o wiele bliższa rzecz.

- Wczoraj nic pani nie jadła, prawda? - zapytał Benedict cicho.

Skinęła głową.

- Kiedy następnym razem zobaczę Cavendera, spiorę go na kwaśne jabłko - warknął.

Sophie nie zdołała powstrzymać: uśmiechu na myśl o panu Bridgertonie stającym w obronie jej honoru i o Philipie Cavenderze z zakrwawionym nosem. - Proszę sobie napelnić talerz - powiedział Benedict. - Choćby ze względu na mnie. Wychodząc, pani Crabtree policzyła jajka i bekon, i zmyje mi głowę, jeśli po jej powrocie ich ilość się nie zmniejszy. To bardzo miła pani - stwierdziła Sophie, sięgając po plaster szynki. Nie potrzebowała zachęty. Pierwszy talerz ledwo zaspokoił pierwszy głód.

- Owszem.

- Jak się pan czuje, panie Bridgerton?

- Dziękuję, dobrze, a w każdym razie dużo lepiej niż wczoraj.

- Bardzo się o pana martwiłam.

-Jestem wdzięczny, że się pani mną zaopiekowała.

- To drobiazg, naprawdę. Każdy by się tak zachował na moim miejscu.

- Może, ale nie z takim poświęceniem i życzliwością.

Sophie zamarła z uniesionym widelcem.

- Dziękuję za uroczy komplement.

-Ja nie... ee... - Bridgerton odchrząknął. - Mniejsza o to.

Rozczarowana nałożyła sobie sadzone jajko.

- Nie zrobiłem niczego, za co powinienem przeprosić? - spytał nagle Benedict.

Sophie się zakrztusiła.

- A więc tak?

- Nie! - powiedziała szybko. - Wcale nie. Po prostu mnie pan zaskoczył.

- Nie kłamałaby pani ze względu na mnie, prawda?

Pokręciła głową, wspominając delikatny pocałunek.



nek. Benedict naprawdę nie zrobi! nic zdrożnego. W przeciwieństwie do niej.

- Rumieni się pani - stwierdził.

- Nie. -

Tak.

- Bo zastanawiam się, skąd pańskie przypuszczenie.

- Jest pani dość śmiała jak na służącą.

- Przepraszam - bąknęła.

Zapomniała o swoim miejscu, ale było o to nietrudno w towarzystwie Benedicta Bridgertona, który jako jedyny przedstawiciel wyższych sfer traktował ją -choćby tylko przez kilka godzin - jak równą sobie.

- To miał być komplement - pospieszył z wyjaśnieniem. - Proszę nie uważać na słowa ze względu na mnie.

Nic nie odpowiedziała.

- Myślę, że pani jest... po prostu sobą.

- Aha. Dziękuję.

- Jakie ma pani plany na resztę dnia?

- Zaczekam, aż wyschnie mi ubranie, a później sprawdzę, czy w okolicznych domach nie potrzebują pokojówki.

Benedict zmierzył ją wzrokiem.

- Przecież mówiłem, że znajdę pani posadę u mojej matki.

- Doceniam pańską troskę, ale wolałabym zostać na wsi.

Wzruszył ramionami.

- Może pani pojechać do Kentu, do Aubrey Hall.

Sophie przygryzła wargę. Nie mogła mu wprost powiedzieć, że nie chce pracować u jego matki, bo wtedy musiałaby go często widywać. Nie wyobrażała sobie bardziej wyrafinowanej tortury.

- Nie musi pan czuć się za mnie odpowiedzialny -  
wykrztusiła w końcu.  
- Zamierzam dotrzymać obietnicy. -Ale...  
- O czym tu jeszcze dyskutować?  
- O niczym. - Rzeczywiście nie było sensu się  
z nim spierać.  
Bridgerton z zadowoleniem oparł się o poduszki.  
- Dobrze, że pani się ze mną zgadza.  
Sophie wstała.  
- Powinam już iść.  
- Dlaczego?  
- Nie wiem. - Poczula się głupio.  
Benedict uśmiechnął się szeroko.  
- Więc życzę dobrej zabawy.  
Jej ręka zacisnęła się na łyżce wazowej.  
- Proszę tego nie robić - ostrzegł Bridgerton.  
- Czego?  
- Nie rzucać we mnie sztuczkami.  
- Nawet o tym nie pomyślałam.  
Roześmiał się wesoło.  
- Owszem. Przed chwilą. Dłoń Sophie  
aż drżała z wysiłku.  
- Zamierza pani wziąć ją ze sobą?  
Pamiętaj o swoim miejscu, skarciła się w duchu. Pa  
miętaj o swoim miejscu.  
- Zagniewana wygląda pani uroczo. Ciekawe,  
o czym pani myśli? Nie, proszę nie mówić. Sam zgad  
nę. Na pewno o mojej gwałtownej i bolesnej śmierci.  
Sophie wolno odłożyła łyżkę na stół. Nie chciała  
ryzykować żadnych gwałtownych ruchów, bo z trudem nad  
sobą panowała.  
- Brawo - pochwalił ją Benedict.

- Jest pan taki czarujący dla wszystkich czy tylko dla mnie?

- Tylko dla pani - odparł z uśmiechem. - Wyzwała pani we mnie to, co najlepsze, panno Beckett.

- Najlepsze?

- Obawiam się, że tak.

Pokręciła głową i ruszyła do drzwi. Rozmowa z Benedictem Bridgertonem dużo ją kosztowała.

- Sophie!

Gdy się obejrzała, posłał jej chytre spojrzenie.

- Wiedziałem, że nie rzuci pani we mnie łyżką.

To, co wydarzyło się później, nie było jej winą. Po prostu na krótką chwilę opętał ją demon. Jej ręka sama chwyciła ogarek świecy i cisnęła go przez pokój.

Prosto w głowę Benedicta Bridgertona.

Sophie nie czekała, żeby zobaczyć, czy trafiła w cel, ale wypadłszy na korytarz, usłyszała wybuch śmiechu i okrzyk:

- Dobra robota, panno Beckett!

I po raz pierwszy od lat uśmiechnęła się z czystej, niezmałconej radości.

*Choć Benedict Bridgerton potwierdził swoje przybycie, nie zjawił się na dorocznym balu u Covingtonów. W sali balowej słyszano skargi młodych kobiet (i ich mam).*

*Ze słów lady Bridgerton wynika, że syn pojechał w zeszłym tygodniu na wieś i jeszcze stamtąd nie i wrócił. Ci, którzy obawiają się o jego zdrowie, mogą być spokojni: wicehrabina sprawiała wrażenie raczej zirytowanej niż zaniepokojonej. W poprzednim roku co najmniej cztery osoby poznały swoich przyszyłych małżonków u Covingtonów, a dwa lata temu - trzy. Jeśli na tegorocznym balu skojarzą się jakieś pary, Benedict niestety nie będzie jednym z panów młodych.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 5 maja 1817*

Benedict szybko odkrył, że długa rekonwalescencja ma swoje dobre strony. Najbardziej oczywistą korzyścią była ilość smakołyków dostarczanych mu z kuchni. Pani Crabtree zawsze dobrze go karmiła, ale tym razem przeszła samą siebie. Co więcej, panu Crabtree udało się zastąpić mikstury żony najlepszą brandy. Benedict każdego dnia wypijał posłusznie całą porcję leku, ale patrząc ostat-

nio przez okno, stwierdził, że krzewy różane wyglądają mizernie. Lecz po swoich doświadczeniach z nalewkami gospodyni uznał, że to konieczna, choć smutna ofiara.

Ponadto po raz pierwszy od lat miał trochę spokoju. Czytał, szkicował albo po prostu zamykał oczy i marzył na jawie bez wyrzutów sumienia, że zaniedbuje obowiązki. Wkrótce doszedł do wniosku, że byłby szczęśliwy, prowadząc takie życie.

Ale największą radość sprawiały mu odwiedziny panny Beckett. Sophie zaglądała do jego sypialni kilka razy dziennie, żeby strzepnąć poduszki, przynieść mu jedzenie albo poczytać. Benedict odnosił wrażenie, że pragnie się odwdziżyć za uratowanie jej z rąk Philipa Cavendera. Tak czy inaczej lubił jej wizyty.

Z początku zachowywała milczenie i rezerwę. Najwyraźniej wyznawała zasadę, że służących nie powinno być widać ani słychać. Lecz on wciągał ją w rozmowy, żeby nie odchodziła. Albo celowo się z nią drażnił, bo wołał ją rozgniewaną niż potulną.

Tak naprawdę nie musiała się do niego odzywać. Wystarczało mu, że przebywa z nim w tym samym pokoju, że siedzi z książką w fotelu, podczas gdy on wygląda przez okno. Sama jej obecność działała na niego kojąco.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi.

- Proszę!

W progu stanęła panna Beckett.

- Pani Crabtree uznała, że ma pan ochotę na herbatę.

- Tylko na herbatę? A ciastka?

Sophie z uśmiechem weszła do sypialni, niosąc pełną tacę.

- Jest jedno i drugie.

- Świetnie. Dotrzyma mi pani towarzystwa?

Jak zwykle się zawahała, po czym skinęła głową. Już dawno się przekonała, że protesty nic nie dadzą. - Kolory panu wracają - powiedziała, stawiając tace na stoliku. - I już nie wygląda pan na chorego. Myślę, że niedługo pan wstanie z łóżka.

- O, tak, na pewno.

- Zdrowieje pan w oczach.

- Tak pani uważa?

- Tak. Inaczej bym tego nie mówiła.

Benedict patrzył na nią z przyjemnością. Wszystko robiła z taką gracją, jakby urodziła się damą. Najwyraźniej sztukę serwowania popołudniowej herbaty też opanowała u hojnych pracodawców jej matki. Może po prostu obserwowała kobiety z towarzystwa. Już dawno zauważył, że jest spostrzegawcza. Tyle razy odprawiali ten rytuał, że nie musiała pytać, jaką herbatę lubi: z mlekiem i bez cukru. Podała mu filiżankę i talerzyk z ciastkami.

Proszę też się poczęstować i usiąść obok mnie - powiedział Benedict.

Wiedział, że znowu się zawaha, ale czekał cierpliwie. Rzeczywiście po chwili usłyszał ciche westchnienie rezygnacji. Sophie nalała sobie aromatycznego naparu –z dwiema kostkami cukru i kroplą mleka - i usiadła na wyściełanym krześle obok łóżka. A ciasteczka? - zapytał. Potrząsnęła głową.

Zjadłam kilka prosto z pieca. Szczęściara. Ciepłe są najlepsze. Jak spędziła pani dzień?

- Ostatnie dwie godziny, kiedy się nie widzieliśmy?

Benedict posłał jej spojrzenie, które mówiło, że odebrał sarkazm, ale nie zamierza nań reagować.

- Pomagałam w kuchni. Pani Crabtree robi gulasz wołowy na kolację i poprosiła mnie, żebym obrała parę ziemniaków. Później wzięłam książkę z pańskiej biblioteki i czytałam ją w ogrodzie.

- Naprawdę? Jaka?

- Powieść.

- Dobrą? Wzruszyła ramionami.

- Głupia, ale romantyczna. Podobała mi się.

- Tęskni pani za miłością? Zarumieniła się po korzonki włosów.

- To dość osobiste pytanie, nie sądzi pan?

Bridgerton wzruszył ramionami i już miał powiedzieć: „Warto było spróbować”, ale kiedy tak patrzył na jej twarz, na zaróżowione policzki i opuszczone oczy, zdarzyła się bardzo dziwna rzecz.

Uświadomił sobie, że jej pożąda.

Nie wiedział tylko, dlaczego tak go to zaskoczyło. Żaden normalny mężczyzna nie pozostałby obojętny na urodę panny Beckett. Do diaska, pragnął wielu kobiet, które w życiu spotykał, ale nigdy tak mocno.

Zmienił pozycję. Po chwili znowu. Naciągnął wyżej kołdrę.

- Niewygodnie panu? - spytała Sophie. - Poprawić poduszki?

Chciał odpowiedzieć twierdząco, porwać ją w objęcia, kiedy się nad nim nachyli, i zrobić to, o czym marzył, ale w porę się opamiętał.

- Dziękuję, nie trzeba. - Skrzywił się na dźwięk własnego głosu.

- Jeszcze jedno ciasteczko?

Widok jej ręki sięgającej do talerzyka, który leżała na jego kolanach, zrobił na nim piorunujące wrażenie.

- Mogę?

- Tak! - wychrypiał.

Sophie zmrużyła oczy.

- Wygląda pan lepiej, ale dziwnie mówi. Boli pana gardło?

- Nie, tylko coś mnie drapie.

- Proszę napić się herbaty. Poczytać panu?

- Tak! - powiedział szybko.

- Na pewno dobrze się pan czuje? - zapytała, patrząc na niego raczej podejrzliwie niż z troską. Uśmiechnął się z przymusem- Tak.

- Co panu poczytać? ----

Cokolwiek. - Poezję?

- Doskonale. - Zgodziłby się nawet na dysertację roślinności tundry.

Sophie podeszła do półki z książkami i zaczęła przeglądać tytuły. - Byron? Blake?

- Blake. - Nie zniósłby godziny romantycznego mowotoku Byrona.

A Panna Beckett zdjęła z półki cienki tomik i wróciła na krzesło.

Benedict zmarszczył brwi. Dopiero teraz zauważył jaka brzydka jest jej suknia. Niewiele lepsza od tej, którą pożyczyła jej pani Crabtree, i z pewnością uszyta po to, by podkreślić wdzięki właścicielki. Powinien kupić jej nową. Oczywiście nie będzie chciała jej przyjąć, ale może gdyby ta, którą miała na sobie, spłonęła przypadkiem...



- Panie Bridgerton?
- Ale jak ją spalić? Musiałaby ją najpierw zdjąć, co byłoby kolejnym wyzwaniem...
- Słucha mnie pan?
- Hm?
- Nie uważa pan.
- Przepraszam. Zamyśliłem się. Proszę czytać dalej

Chcąc jej udowodnić, jak bardzo jest skupiony, zawiesił wzrok na jej ustach, co okazało się poważnym błędem. Nagle wyobraził sobie, że je całuje, i uświadomił sobie, że jeśli któreś z nich nie wyjdzie z pokoju w ciągu następnych trzydziestu sekund, zrobi coś, za co nigdy nie zdoła jej przeprosić.

Nie żeby nie zamierzał jej uwieść. Tylko wolał dopiąć swego z większą finezją.

- Mój Boże!

Sophie spojrzała na niego dziwnie. Do diaska! Mówił zupełnie jak matka. Sam nigdy nie używał takich zwrotów.

- Coś się stało? - zapytała panna Beckett.
- O czymś sobie przypomniałem.

Uniosła brew.

- Całkiem o tym zapomniałem.
- Zwykle tak bywa - stwierdziła z przekąsem.

Łypnął na nią spode łba.

- Potrzebuję odrobiny prywatności.

Natychmiast wstała z krzesła.

- Oczywiście.

Benedict stłumił jęk. Do diabła! Wyglądała na urażoną. Nie chciał zranić jej uczuć. Po prostu musiał jakoś pozbyć się tej kobiety z sypialni, żeby nie wciągnąć jej do łóżka.

- To sprawa osobista - dodał, wiedząc, że robi z siebie idiotę.

- Przynieść nocnik?

- Mogę sam po niego pójść - warknął.

Panna Beckett odłożyła książkę na stolik.

- Proszę zadzwonić, jeśli będzie mnie pan potrzebował.

- Nie zamierzam wzywać pani jak pokojówki.

- Ale ja jestem...

- Nie dla mnie.

Nie chciał przemawiać takim ostrym tonem, ale zawsze gardził mężczyznami, którzy polowali na bezbronne służące. Sama myśl, że mógłby stać się jedną z tych odpychających kreatur, przyprawiła go mdłości.

- Dobrze - powiedziała Sophie.

Dygnęła jak służąca - zapewne celowo - i wyszła sypialni.

Gdy tylko zniknęła za drzwiami, Benedict wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna. Sprawdziwszy, że nikogo nie ma w pobliżu, zrzucił szlafrok, ubrał się szybko i rozejrzał za butami. A, tam. Włożył je i wrócił do okna. Nadal pusto. Doskonale. Przerzucił przez parapet najpierw jedną nogę, potem drugą, chwycił długą, mocną gałąź pobliskiego wiązu i z łatwością zszedł po niej na ziemię. Następnie popędził prosto do jeziora. Do zimnej jeziora. . Zęby wzięć bardzo zimną kąpiel.

-Jeśli potrzebował nocnika, mógł mi powiedzieć -mruknęła Sophie do siebie. - Niejeden w życiu przyniosłam.

Zeszła do głównego holu, choć właściwie nie wiedziała, po co. Nie rozumiała, dlaczego Benedict nie chce uznać jej za służącą. Wciąż twierdził, że u niego nie pracuje i nie musi nic robić w Moim Domu, a jednocześnie zapewniał, że znajdzie jej posadę u swojej matki.

Gdyby traktował ją jak pokojówkę, nie musiałaby co rusz sobie przypominać, że sama jest nikim, a on należy do jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodów arystokratycznych. Za każdym razem, gdy rozmawiał z nią jak z równą sobie, wracała pamięcią do balu maskowego, kiedy to przez jeden wieczór była damą z wyższych sfer, która mogła myśleć o przyszłości z Benedictem Bridgertonem.

Zachowywał się, jakby naprawdę ją lubił. I może lubił. Na jej nieszczęście, bo przez chwilę się łudziła, że ma prawo o nim marzyć, a potem wracała do rzeczywistości i czuła jeszcze silniejszy ból.

- A tu jest panna Sophie!

Na szczycie schodów pojawiła się gospodyni.

- Dzień dobry, pani Crabtree. Jak gulasz?

- Zabrakło marchewki, ale myślę, że i tak będzie dobry.

Widziałas pana Bridgertona?

- Minutę temu w jego pokoju.

- Teraz go tam nie ma.

- Zdaje się, że musiał skorzystać z nocnika.

Pani Crabtree nie oblała się rumieńcem. Właśnie w taki sposób służący rozmawiali o swoich pracodawcach.

- Ale zniknął.

Sophie zmarszczyła brwi.

- Nie mam pojęcia, dokąd mógł pójść.

Gospodyni położyła ręce na wydatnych biodrach.

- Przeszukam dół, a ty górę. Na pewno go znajdziemy.

Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Prawdopodobnie nie chce, by go znaleziono.

- Przecież jest chory!
- Nie sądzę. Chyba trochę udaje.
- Jak możesz posądzać pana Bridgertona o takie rzeczy?

- skarciła ją pani Crabtree.

- Po prawdzie, wcale nie wygląda na chorego. - To dzięki moim nalewkom. Mówiłam, że postawią go na nogi. Sophie zauważyła, jak pan Crabtree wylewa mikstury pod krzewy róż, a później widziała przykre skutki takiego działania. Mimo to z uśmiechem pokiwała głową.

- Jednak chciałabym wiedzieć, dokąd poszedł - powiedziała gospodyni. - Nie powinien wstawać z łóżka, i dobrze o tym wie.

- Na pewno zaraz wróci. A tymczasem może pomóc pani w kuchni?

- Nie, nie. Gulasz musi się teraz trochę podusić. A poza tym pan Bridgerton nakrzyczał na mnie, że pozwalam ci pracować.
- Ale...
- Żadnych ale. Ma rację. Jesteś tu gościem i nie powinnaś nawet ruszać palcem.
- Nie jestem gościem.
- A kim?

Sophie przez chwilę milczała zaskoczona.

- Nie wiem - przyznała w końcu. - Ale gościem może być tylko osoba o tej samej pozycji, ktoś, kto nigdy nie musiał nikomu służyć, szorować podłóg, wynosić nocnika...
- Gościem jest każdy, kogo zaprosi pan domu - odrzekła pani Crabtree. - Przestań wreszcie uważać się

za kogoś gorszego i korzystaj z okazji. Kiedy ostatnio mieszkałaś w luksusie i mogłaś nic nie robić w zamian?

- Gdyby pan Bridgerton naprawdę traktował mnie jak gościa, postarałby się o przyzwoitkę, żeby chronić moją reputację - stwierdziła Sophie cicho.

- Zupełnie jakbym ja pozwoliła na coś niestosownego w moim domu - oburzyła się pani Crabtree.

- Oczywiście, że nie, ale jeśli chodzi o reputację, pozory są równie ważne jak fakty. W oczach towarzystwa gospodyni nie nadaje się na przyzwoitkę, choćby była nie wiadomo jak surowa i z zasadami.

- W takim razie potrzebujesz przyzwoitki, panienko.

- Nie, bo nie należę do jego sfery. Nikogo nie obchodzi, gdy pokojówka mieszka i pracuje u samotnego mężczyzny. Nikt nie pomyśli o niej źle, a przyszły mąż nie uzna jej za zhańbioną. - Sophie wzruszyła ramionami. - Taki już jest świat. I najwyraźniej tak samo myśli pan Bridgerton, czy się do tego przyznaje, czy nie, bo nie powiedział na ten temat ani słowa.

- Nie podoba mi się to ani trochę - oświadczyła pani Crabtree.

- Skoro nie potrzebuje mnie pani w kuchni, chyba wybiorę się na spacer - oznajmiła Sophie i dodała z chytrym uśmiechem: - Wykorzystam niejasną sytuację. Nie czuję się gościem, ale po raz pierwszy od lat nie jestem służącą, więc zamierzam cieszyć się wolnym czasem, póki go mam.

Pani Crabtree serdecznie poklepała ją po ramieniu.

- Idź, kochanie. I zerwij dla mnie kwiaty.

Dzień był wyjątkowo ciepły i słoneczny, w powietrzu unosił się zapach pierwszych wiosennych kwiatów. Sophie uśmiechnęła się do słońca. Nie mogła so-

-ie przypomnieć, kiedy ostatni raz spacerowała dla przyjemności.

Benedict wspomniał kiedyś o pobliskim stawie, idąc sobie pomyślała, że tam pójdzie i może nawet zamoczy stopy. Jeśli się odważy, bo na początku maja woda na pewno była lodowata. Rozejrzała się i po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że musi przejść przez gęsty zagajnik, żeby dotrzeć do jeziora. Uznała jednak, że trochę ruchu dobrze jej zrobi. Ruszyła przez las, przekraczając korzenie drzew. Nachylała niskie gałęzie i puszczała je niedbale. Blask ledwo przedzierał się przez listowie, tak że panował półmrok.

Po paru minutach dostrzegła przed sobą prześwit, i po chwili refleksy słońca na wodzie. Westchnęła zadowolona z siebie. Gdy podeszła bliżej, usłyszała plusk. Z lękiem i zarazem ciekawością, stwierdziła, że nie jest sama. Znajdowała się jakieś dziesięć stóp od brzegu, więc szybko schowała się za duży dąb. Gdyby miała choć odrobinę rozsądku, biegiem wróciłaby do domu, ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie zobaczyć, kto jest taki szalony, żeby się kąpać o tej porze roku. Powoli, ostrożnie wychyliła się zza pnia i zobaczyła mężczyznę. Nagiego Benedicta?

*W Londynie trwa wojna o pokojówkę. W obecności co najmniej trzech matron, w tym bardzo pop-larnej wiceh rabiny wdowy Bńdgenon, lady Penwood nazwała panią Featherington podstępłą złodziejką!*

*Ta z kolei odwzajemniła się, zarzucając hrabinie wyzysk służby. (Przy okazji, wspomniana pokojówka nie ma na imię Estelle, tylko Bess i pochodzi z Liverpoo u.)*

*Oburzona lady Penwood opuściła towarzystwo razem z córką, panną Rosamundą Reiling. Druga córka, Posy (w niefortunnej zielonej sukni), została na placu boju, ale matka wróciła i, chwyciwszy ją za rękaw, pociągnęła do domu.*

*Piszącej te słowa trudno sobie wyobrazić, żeby panie Penwood zostały zaproszone na następny wieczór u pani Featherington.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 7 maja 1817*

Niedobrze, że została.

Bardzo niedobrze.

Mimo to nie mogła się ruszyć nawet o cal.

Wypatrzyła duży, gładki kamień, zasłonięty przez gęsty krzak, i usiadła na nim, nie *odrywając* wzroku od Benedicta. Woda sięgała mu do brzucha.

Niestety, pomyślała Sophie, oszołomiona własnym bezwstydem. Była niewinna, ale jednocześnie ciekawa i prawie zakochana w tym mężczyźnie. Czy to aż takie straszne, chciała, by mocniej dmuchnął wiatr, podniósł fale i... No cóż, może i straszne, lecz nic jej to nie obchodziło. Zawsze zachowywała się jak skromna panienska tylko na jedną noc całkowicie odrzuciła rozsądek. I właśnie ta noc okazała się najbardziej podniecająca, magiczna i cudowna w jej krótkim życiu. Dlatego postanowiła zostać w ukryciu i czekać, co będzie dalej. Nie miała nic do stracenia, żadnych perspektyw z wyjątkiem obietnicy Benedicta, że znajdzie jej posadę u swojej matki, co zresztą uważała za kiepski pomysł. Tak więc siedziała bez ruchu i patrzyła szeroko otwartymi oczami.

Benedict nie był przesądnym człowiekiem ani nie wierzył w szósty zmysł, ale raz czy dwa w życiu doświadczył dziwnego mrowienia, które ostrzegło go, że zaraz coś się stanie.

Pierwszy raz przeczucie ogarnęło go w dniu, kiedy umarł ojciec. Nikomu o tym nie opowiadał, nawet starczemu bratu Anthony'emu, z którym tamtego popołudnia urządzili sobie szaloną gonitwę po polach Kentu. Najpierw zdrętwiały mu ręce i nogi, a potem zaczęło mu dudnić w głowie. Nie było to bolesne doznanie, ale pozbawiło go tchu i napełniło panicznym strachem. Przegrał wyścig, bo nie mógł utrzymać wodzy, a kiedy wrócił do domu, dowiedział się, że ojciec nie żyje. Do tej pory trudno mu było uwierzyć, że mężczyzna



tak silny i pełen wigoru został uśmiercony przez osę.

Za drugim razem, w noc balu maskowego, tuż przed tym, jak zobaczył kobietę w srebrnej sukni, również zaczęło się od dłoni i stóp, lecz z tą różnicą, że mu nie zeszywniały, tylko przebiegło je mrowie, jakby nagle ożył po latach trwania w letargu.

A gdy się odwrócił i ujrzał piękną nieznajomą, zrozumiał powód, dla którego się tam znalazł, dla którego mieszkał w Anglii, dla którego się urodził.

I teraz, kiedy stał po pas w wodzie, ogarnęło go podobne wrażenie. Uczucie było tak mile i podniecające, że zaparło mu dech w piersiach.

Zupełnie jak wtedy, gdy ją spotkał.

Wiedział, że zaraz coś się wydarzy albo że ktoś jest w pobliżu.

I że jego życie się zmieni.

A on jest goły jak w dniu narodzin, pomyślał, krzywiąc wargi w ironicznym grymasie. Mężczyźnie nagość nie dawała przewagi, chyba że leżał na jedwabnych prześcieradłach z atrakcyjną kobietą w ramionach.

Zrobił krok w głąb stawu i przeszukał wzrokiem zarośla. Ktoś musiał tam się ukrywać, skoro mimo lodowatej wody czuł mrowienie na całym ciele.

- Jest tam kto? - zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

Jeszcze raz zbadał brzeg, obracając się o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. Wypatrywał jakiegoś ruchu, ale dostrzegł tylko lekkie drżenie liści na wietrze. Mimo to wiedział.

- Sophie!

Usłyszał cichy okrzyk, a po nim szelest.

- Sophie Beckett! Jeśli uciekniesz, przysięgam, że pobiegnę za tobą, nie tracąc czasu na ubieranie. - Od-

głosy przycichły. - Dogonię cię, bo jestem szybszy. I może będę zmuszony powalić cię na ziemię. - Zapadła głucha cisza. - Pokaż się. - Nie posłuchała. - Sophie! - rzucił ostrzegawczym tonem.

Rozległy się powolne kroki i zza krzaków wyszła panna Beckett w jednej z tych okropnych sukien, które najchętniej spaliłby w piecu.

-Co pani tu robi? - zapytał.

- Wybrałam się na spacer. A pan co tu robi? Po dobo jest pan chory. Kąpiel w zimnym stawie nie pomoże panu wyzdrowieć. Zignorował pytanie i uwagę.

- Śledziła mnie pani?

- Oczywiście, że nie. - Jej słuszne oburzenie nie wyglądało na udawane. - To byłoby nieprzyzwoite. W tym momencie oblała się rumieńcem. Gdyby rzeczywiście zależało jej na przyzwoitości, oddaliłaby się w chwili, gdy go zobaczyła, przypadkiem lub nie. Benedict pokazał jej gestem ręki, żeby się odwróciła. - Proszę na mnie zaczekać. Tylko się ubiorę.

- Pójdę do domu. Będzie miał pan więcej prywatności i...

- Zostanie pani.

- Ale... Skrzyżował ramiona.

- Czy wyglądam na człowieka, który jest w nastroju do sprzeczek.

Popatrzyła na niego w milczeniu.

-Jeśli pani ucieknie, dogonię panią - ostrzegł.

Szybko oceniła odległość między nimi. Gdyby się zatrzymał, żeby włożyć ubranie, miałaby szansę dobiec do Mojego Domu, ale gdyby...

-Widzę parę wydobywającą się z pani uszu. Radzę

przestać wysilać mózg na bezużyteczne obliczenia matematyczne.

Sophie sapnęła z irytacją i odwróciła się, krzyżując ręce na piersi. Oczy utkwiała w dziupli najbliższego drzewa, ale nie mogła się powstrzymać przed nasłuchiowaniem odgłosów, które dobiegały od strony jeziora. Teraz wychodził z wody, sięgał po spodnie i...

No, nie! Miała chorą wyobraźnię. Jej skóra płonęła, policzki zapewne były czerwone jak piwonie. Prawdziwy dżentelmen oszczędziłby jej zakłopotania i pozwolił ukryć się w jakimś kącie na co najmniej trzy dni, żeby oboje mogli zapomnieć o całej sprawie.

Ale Benedict Bridgerton najwyraźniej postanowił nie być tego dnia dżentelmenem, bo kiedy ruszyła nogą - tylko po to, żeby rozprostować palce! - ryknął:

- Proszę nawet o tym nie myśleć!

- Zdrętwiała mi noga. Niech się pan lepiej pospieszy! Nikt tak długo się nie ubiera.

-Tak?

- Specjalnie pan się ociąga, żeby mnie dręczyć.

- Nie musi pani stać plecami do mnie - powiedział z lekkim rozbawieniem w głosie. - Chodziło mi wyłącznie o pani wrażliwość.

- Tak jest dobrze - odparła.

Zdawało jej się, że minęła godzina, gdy usłyszała:

- Może się pani obrócić.

Znała jego przewrotne poczucie humoru, ale mimo pewnych obaw postanowiła mu zaufać (nie żeby miała duży wybór w tej kwestii). Ku swojej uldze, i prawdę mówiąc, rozczarowaniu, stwierdziła, że jest kompletnie ubrany.

- Dlaczego nie pozwolił mi pan wrócić do domu? - zapytała.

- Bo chciałem, żeby pani została,  
- Ale dlaczego?  
Wzruszył ramionami.  
- Nie wiem. Może to kara za szpiegowanie.  
-Ja nie... - Urwała w pół słowa.  
- Mądra dziewczyna.  
Łypnęła na niego groźnie. Korciło ją, żeby powiedzieć coś uszczypliwego, ale ostatnio z jej ust płynęły słowa zupełnie inne niż te, które miała na myśli, więc ugryzła się w język.  
- Nieładnie jest śledzić gospodarza - stwierdził Benedict, kładąc ręce na biodrach.  
- Trafiłam tu przypadkiem - bąknęła.  
- Wierzę, ale chociaż nie zamierzała pani mnie podglądać, skorzystała pani z okazji.  
- To zarzut? Uśmiechnął się szeroko.  
- Ależ skąd. Zrobiłbym dokładnie to samo.  
Otworzyła usta.  
- O, proszę nie udawać obrażonej.  
- Nie udaję.  
Ruszył w jej stronę.  
- Prawdę mówiąc, czuję się mile polectany.  
-Zerknęłam z czystej ciekawości, zapewniam pana.  
Po jego ustach przemknął chytry uśmiech.  
- Więc podglądałaby pani każdego nagiego mężczyznę, na którego by się pani natknęła?  
- Oczywiście, że nie!  
- Jestem zaszczycony.  
- Skoro już to ustaliliśmy, wracam do domu - oświadczyła Sophie.  
Nie uszła nawet trzech kroków, gdy chwycił ją za spódnice.

- Nie sędzę - powiedział.  
Westchnęła z rezygnacją.  
- Już i tak wprawił mnie pan w zażenowanie. Jeszcze panu mało?  
Powoli obrócił ją do siebie.  
- Ciekawe pytanie - mruknął.  
Sophie próbowała stawić mu opór, ale potknęła się i raptem znalazła zaledwie kilka cali od Bridgertona. Oblął ją zar, po plecach przebiegły ciarki, serce zaczęło łomotać.  
A ten nieznośny człowiek tylko przeszywał ją wzrokiem.  
- Benedykcje - szepnęła.  
Na widok jego uśmiechu zmiękły jej kolana.  
- Podoba mi się, jak wymawiasz moje imię.  
- Przepraszam, nie chciałam.  
Palcem zamknął jej usta.  
- Cii. Nie wiesz, że nie to mężczyzna pragnie usłyszeć?  
- Nie mam dużego doświadczenia z mężczyznami.  
- A to jak najbardziej.  
- Naprawdę? - zapytała z powątpiewaniem. Mężowie wprawdzie oczekiwali niewinności od żon, ale przecież Benedict nigdy nie poślubiłby służącej.  
- Tak.  
Dotknął jej policzka.  
Sophie gwałtownie wciągnęła powietrze. Zamierzał ją pocałować. Od tak dawna o tym marzyła. Wiedziała, że jutro będzie żałować, ale nie chciała żyć tylko wspomnieniem.  
Przesunął opuszką po owalu jej twarzy.  
- Śliczna jak królewna z bajki - powiedział cicho. - Czasami myślę, że nie możesz istnieć w rzeczywistym świecie.

Jej jedyną odpowiedzią był przyspieszony oddech.

- Chyba cię pocałuję - wyszeptał.

- Chyba?

- Muszę cię pocałować.

Delikatnie niczym piórkiem musnął wargami jej usta, tam i z powrotem. Sophie zakręciło się w głowie. Było jak wtedy, na balu maskowym. Po dwóch latach snów na jawie na nowo przeżywała najwspanialszą chwilę w swoim życiu.

- Płaczesz - stwierdził Benedict, wycierając jej łzy. -

Mam przestać?

Potrząsnęła głową. Pragnęła, żeby ją całował, wpierw łagodnie, potem coraz bardziej namiętnie.

Wiedziała, że tym razem zegar nie wybije północy. Nie będzie musiała uciekać.

Chciała, by się zorientował, że to ona jest tajemniczą damą w srebrnej sukni, a jednocześnie modliła się, żeby jej nie rozpoznał.

Znowu ją pocałował z takim pożądaniem, że poczuła się piękna, jedyna, wyjątkowa. Traktował ją jak kobietę, a nie służącą. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo za tym tęskniła.

Jego usta stawały się natarczywe, duże i silne ręce obejmowały jej plecy z siłą, która pozbawiała ją tchu, żar przenikał przez ubranie, docierał do samej duszy.

Oszołomiona wręcz topniała w jego ramionach.

Zapagnęła mu się oddać, choć przysięgła sobie, że nie zrobi tego bez ślubu.

- Och, Sophie, jeszcze nigdy...

Zesztywniała. Pochlebiali jej, że budzi w nim niepohamowaną żądzę, ale z drugiej strony, już kiedyś całował. I nie czuł wtedy takiej samej rozkosznej męki jak teraz?

Dobry Boże, czyżby była zazdrosna o samą siebie?  
Benedict odsunął się nagle.  
- Co się stało?  
Lekko potrzęsnęła głową.  
-Nic.  
Wziął ją pod brodę.  
- Nie kłam, Sophie. Co się stało?  
- Ja... po prostu jestem zdenerwowana - wykrztusiła.  
Podejrzliwie zmrużył oczy.  
- Na pewno?  
- Tak. - Wywinęła się z jego objęć, cofnęła o kilka kroków i stanęła do niego plecami. - Nigdy czegoś takiego nie robiłam.  
- Wiem.  
Zaśmiała się krótko i choć nie widział jej twarzy, mógł sobie wyobrazić jej wyraz.  
- Skąd?  
- To widać.  
Nic nie odpowiedziała.  
- Kim jesteś, Sophie? - wyrwało mu się nieoczekiwanie. - Kim jesteś naprawdę?  
Nie odwróciła się, tylko spytała prawie szeptem:  
- Co pan ma na myśli?  
- Za dobrze się wysławiasz jak na pokojówkę.  
Nerwowo poprawiła spódnicę.  
- Czy to źle? W tym kraju daleko się nie zajdzie z prostacką wymową.  
- Nie wydaje się, żebyś daleko zaszła - stwierdził łagodnym tonem.  
Czekał, aż coś powie, ale ruszyła przed siebie sztywnym krokiem, z zaciśniętymi pięściami.  
- Poczekaj! - Dogonił ją w trzech susach, chwycił

za nadgarstek, przyciągnął do siebie i odwrócił. - Nie odchodź.

- Nie mam zwyczaju pozostawać w towarzystwie ludzi, którzy mnie obrażają.

Omal się nie cofnął pod jej spojrzeniem i zrozumiał, że wyraz tych oczu już zawsze będzie go przesładował.

Dobrze wiesz, że nie zamierzałem cię obrazić, Mówiłem prawdę. To oczywiste, że nie powinnaś być pokojówką. Roześmiała się nieprzyjemnie.

- Więc co powinnam robić, panie Bridgerton? Zo- stać guwernantką?

Benedict chciał odpowiedzieć, że to świetny pomysł, ale go uprzedziła.

- A kto mnie zatrudni?

- Cóż...

- Nikt. Nie mam referencji i wyglądam zbyt młodo.

- I jesteś zbyt ładna - dodał ponuro.

Nie znał się na przyjmowaniu guwernantek do pra- cy, bo ten obowiązek brała na siebie jego matka, ale zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że żadna pani domu nie zechce przyjąć pod swój dach uroczej młodej osóbk. Poza tym dobrze pamiętał, co Sophie groziło ze strony Philipa Cavendera.

Mogłabyś być towarzyszką starszej damy. Westchnęła z takim smutkiem, że zabołało go serce.

- To miłe, że próbuje mi pan pomóc, ale już spraw- dziłam wszystkie możliwości. Zresztą nie jest pan za mnie odpowiedzialny.

Ale chciałbym. Spojrzała na niego zaskoczona.

I Benedict zrozumiał, że musi ją mieć. Łączyła ich



dziwna więź. Podobną czuł tylko raz w życiu, z tajemniczą damą z balu maskowego, lecz ona zniknęła jak zjawą, natomiast Sophie była realna. Mógł ją podziwiać, dotykać, pieścić.

A ona go potrzebowała, nawet jeśli na razie nie zdawała sobie z tego sprawy. Wziął ją za rękę, pociągnął ku sobie i chwycił w objęcia.

- Panie Bridgerton!
- Benedykcie - poprawił ją, przysuwając usta do jej ucha.
- Proszę mnie...
- Wymów moje imię.

Potrafił być bardzo uparty i nie zamierzał jej puścić, póki nie spełni jego życzenia. A i wtedy nie wiadomo.

- Benedykcie - powiedziała w końcu. - Ja...
- Cii.

Uciszył ją, skubiąc wargami kącik jej ust. Kiedy zmiękała w jego ramionach, odsunął się, żeby spojrzeć jej w oczy. Były intensywnie zielone w popołudniowym słońcu, i tak głębokie, że można w nich było utonąć.

- Pragnę, żebyś wróciła ze mną do Londynu - wyszeptał, nim zdążył pomyśleć. - I zamieszkała u mnie.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Bądź moja - rzekł ochrypłym głosem. - Dam ci wszystko, co zechcesz, a w zamian chcę tylko ciebie.

*Trwają spekulacje co do zniknięcia Benedicta Bridgentona. Ze słów Eloise Bridgenon wynika, że brat powinien zjawić się w mieście już kilka dni temu. Ale dziewczyna sama zapewne przyzna, że mężczyzna w tym wieku nie musi meldować się młodszej siostrze.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 9 maja*

Chce pan, żebym została jego kochanką – stwierdziła Sophie.

Na twarzy Benedicta odmalowało się zmieszanie, ale nie wiedziała, czy z powodu jej bezpośredniości, czy użytego przez nią określenia.

- Chcę, żebyś była ze mną - powiedział.

Mimo bólu zdobyła się na uśmiech.

- A czym się to różni od bycia kochanką? ?,

- Sophie...

- Czym? - powtórzyła głosem, w którym brzmiało napięcie.

- Nie wiem - odparł trochę zniecierpliwiony. -A czy to ma znaczenie?

- Dla mnie ma.

- Więc dobrze. Zostań moją kochanką.

Ledwo zaczerpnęła tchu, gdy wpił się w jej usta z taką gwałtownością, że zmiękły pod nią kolana. W jego pocałunku była żądza i zarazem gniew. Wręcz pożerał jej wargi, błdził dłońmi po całym ciele, ścisnął, pieścił i głaskał. Jednocześnie tulił ją do siebie tak mocno, że ledwo mogła oddychać.

- Pragnę cię - szepnął, muskając ustami jej szyję. - Tu i teraz.

- Benedykcje...

- Jutro. I pojutrze.

Przebiegły ją dreszcze. Była zepsuta do cna i słaba. Odchyliła głowę do tyłu, rozkoszując się dotykiem jego warg na skórze. W tym momencie należał całkowicie do niej. Nie wiadomo jak znalazła się na ziemi i poczuła na sobie jego ciężar. Słabnący głos rozsądku mówił jej, żeby powstrzymała się od szalonego kroku, ale nie mogła. Jeszcze nie.

Przez tyle czasu wspomnienia i fantazje o ponownym spotkaniu były dla niej jedyną radością i pociechą. I teraz, kiedy po raz pierwszy w życiu spełniło się jej marzenie, nie chciała go stracić. Jeszcze nie.

- Benedykcje - szepnęła, wplatając palce w jego włosy.

Jej reakcja wyraźnie go ośmieliła. Rękę, którą pieścił jej kolano, przesunął w górę, na jedwabiste udo. Lata ciężkiej pracy sprawiły, że była szczupła, a nie apetycznie zaokrąglona, ale Benedictowi chyba to nie przeszkadzało, bo jego serce przyspieszyło, oddech stał się urywany.

- Sophie, Sophie, Sophie - zamruczał, błędząc ustami po jej twarzy. - Pragnę cię.

- Ja też cię pragnę.

Ogień, który tlił się w niej od lat, rozgorzał na nowo pod jego dotykiem.

Benedict sięgnął do guzików jej sukni.  
- Spalę ją i ubiorę cię w jedwabie. - Skubnął wargami  
płatek jej ucha. - Albo najlepiej w nic.  
Sophie zeszytywniała w jego ramionach. Uświadomiła sobie,  
że nie kieruje nim miłość, o której marzyła, a pożądanie.  
Chciał zrobić z niej swoją utrzymankę. Taką, jaką kiedyś  
była jej matka.  
Z drugiej strony perspektywa wspólnego życia z  
Benedictem, w luksusie, kusila jak zakazany owoc.  
Nie miałyby oporów przed zostaniem kochanką, nawet za  
cenę własnej duszy, lecz nie mogła decydować za własne  
dziecko. A przecież wszystkie utrzymanki w końcu rodziły  
bękartę.  
Odepchnęła go ze zduszonym jękiem i wstała pośpiesznie,  
dyszząc ciężko. - Nie mogę tego zrobić, Benedykcie -  
powiedziała, nie patrząc mu w oczy.  
- Nie rozumiem, dlaczego.  
- Nigdy nie zostanę twoją kochanką.  
Benedict również podniósł się z ziemi.  
- Dlaczego?  
- Bo nie chcę - odparła krótko, rozdrażniona jego tonem.  
Ściągnął brwi.  
- Jeszcze przed chwilą chciałaś.  
- Wtedy nie myślałam jasno.  
- I bardzo dobrze.  
Oblała się rumieńcem i pośpiesznie zapięła guziki.  
Oczywiście doskonale udało mu się pozbawić ją zdol-  
ności rozumowania. Po jednym pocałunku niemal za-  
oomniała o wszystkich swoich zasadach i przysięgach.  
- Nie zostanę twoją kochanką - powtórzyła, jakby  
pragnęła utwierdzić się w oporze.

- I co zrobisz? Znowu zaczniesz pracować jako pokojówka?

- Jeśli będę musiała.

- Wolisz usługiwać ludziom, czyścić ich srebra i szorować nocniki, zamiast żyć ze mną.

-Tak.

W jego oczach zapłonął gniew.

- Nie wierzę ci. Nikt nie dokonałby takiego wyboru.

- Ja dokonałam.

- Jesteś głupia.

Nic nie odpowiedziała.

- Rozumiesz, z czego rezygnujesz?

Mówiąc, gwałtownie gestykulował. Zraniła jego uczucia i uraziła dumę, dlatego szalał jak ranny niedźwiedź.

Skinęła głową.

- Dałbym ci wszystko, czego byś zapragnęła. Stroje, biżuterię... Do diabła, zapewniłbym ci dach nad głową!

- To prawda - przyznała cicho.

Przysunął się i wpił w nią płonące spojrzenie.

- Mógłbym dać ci wszystko.

Jakim cudem udało się jej nie rozplakać i wydobyć z siebie głos.

-Jeśli tak sądzisz, to znaczy, że nie rozumiesz, dlaczego muszę odmówić.

Ruszyła w stronę domu, ale zatrzymał ją, pytając ostrym tonem:

- Gdzie idziesz?

- Spakować rzeczy.

- A potem?

Sophie zaniemówiła. Chyba nie oczekiwał, że zostanie w Moim Domu.

- Masz pracę? Miejsce, gdzie mogłabyś się zatrzymać?  
- Nie, ale...  
- I sądzisz, że pozwolę ci odejść bez pieniędzy i perspektyw?  
- Nie myślałam...  
- Właśnie.  
Patrzyła na niego w osłupieniu. - Ty głuptasie, wiesz, jak niebezpieczny jest świat samotnej dziewczyny?  
- W... wiem.  
Benedict chyba jej nie dosłyszał, bo mówił dalej o „mężczyznach, którzy wykorzystują okazję”, „bezbronnych kobietach”, i „losach gorszych niż śmierć”.  
W połowie tyrady Sophie stwierdziła, że nie potrafi się skupić na jego słowach. Wpatrywała się jego usta, na próżno usiłując zrozumieć, dlaczego troszczy się o jej dobro, mimo że go odrzuciła.  
- Słuchasz mnie? - zapytał w pewnym momencie.  
Nie kiwnęła ani nie pokręciła głową, tylko wykonała pośredni gest.  
- To przesądza sprawę - oznajmi! Benedict. - Wracasz ze mną do Londynu.  
Dopiero wtedy oprzytomniała,  
-Nie!  
- Nie musisz być moją kochanką, ale nie zostawię cię własnemu losowi.  
- Radziłam sobie sama, zanim cię spotkałam.  
- Zwłaszcza z Philipem Cavenderem!  
- Jesteś niesprawiedliwy!  
- A ty niemądra.  
Sophie najwyraźniej nie zgadzała się z jego opinią, Bo nagle runął na ziemię, trafiony przez imponujący prawy sierpowy.

- Nigdy nie nazywaj mnie głupią!

Benedict zamrugał oszołomiony.

- Ja nie...

- Owszem - rzuciła zagniewanym tonem.

Określiła się na pięcie i ruszyła przed siebie dumnym krokiem. Niewiele się namyślając, Benedict chwycił ją za kostkę i pociągnął w dół. Nie zachował się jak dżentelmen, ale był zdesperowany. Poza tym ona pierwsza go uderzyła.

- Nigdzie nie pójdziesz - warknął.

Sophie spiorunowała go wzrokiem.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś - rzuciła z po gardą.

Benedict puścił jej nogę i dźwignął się do pozycji siedzącej.

- Więc uwierz.

-Ty...

Uciszył ją gestem ręki.

- Nic nie mów, błagam. Sophie

wytrzeszczyła oczy.

- Błagasz mnie?

- Słyszę twój głos, co znaczy, że mówisz.

- Ale...

- Jeśli chodzi o błaganie, zapewniam cię, że był to jedynie zwrot retoryczny.

Już miała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się i zacisnęła usta z miną obrażonej trzylatki. Benedict westchnął i podał jej rękę. Sophie popatrzyła na nią z odrazą, a następnie przeniosła palający wzrok na jego twarz. Bez słowa odrzuciła ofertę pomocy i sama wstała z ziemi.

- Jak sobie życzysz - mruknął pod nosem.

Pomaszerowała przed siebie.

Benedict tym razem jej nie zatrzymywał, tylko poszedł za nią. Po jakiejś minucie obejrzała się zirytowana i rzuciła przez ramię:

- Zostaw mnie w spokoju, proszę.

- Niestety nie mogę.

- Nie możesz czy nie chcesz?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie mogę. Łypnęła na niego groźnie i ruszyła dalej.

- Równie trudno mi w to uwierzyć, jak tobie - za wołał za nią Benedict.

Przystanęła i odwróciła głowę.

- To niemożliwe.

- Nic na to nie poradzę - odparł, wzruszając ramionami. - Nie mam najmniejszej ochoty zostawić cię w spokoju.

- „Nie mieć ochoty”, a „nie móc” to duża różnica. - Nie po to uratowałem cię przed Cavenderem, żebyś teraz zmarnowała sobie życie. - Nie twoja sprawa. Nie zamierzał przyznać jej racji. - Tak czy inaczej wracasz ze mną do Londynu i koniec dyskusji.

- Próbujesz ukarać mnie za to, że cię odrzuciłam. - Wcale nie. Rzeczywiście chciałbym cię ukarać, i w moim obecnym stanie posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że zasłużyłaś na karę, ale nie dlatego to wszystko robię. - Więc dlaczego?

- Dla twojego dobra.

- Bardzo protekcjonalne stwierdzenie i...

- Zapewne, ale w tym szczególnym wypadku i w tej chwili wiem, co jest dla ciebie najlepsze, a ty najwy-



rażniej nie, więc... Tylko mnie znowu nie uderz!

Sophie dopiero teraz spostrzegła, że już uniosła do ciosu zaciśniętą pięść. Przy tym człowieku zmieniała się w potwora. Przez całe życie nikogo nie uderzyła, a teraz była gotowa zrobić to po raz drugi w ciągu jednego dnia. Powoli rozprostowała palce.

- Jak zamierzasz mnie powstrzymać od pójścia w swoją stronę? - zapytała cicho.

- Na pewno coś wymyślę - odparł, nonszalancko wzruszając ramionami.

- Zwiążesz mnie i...

- Nic takiego nie powiedziałem, ale pomysł ma swój urok - stwierdził z lekkim uśmiechem.

- Jesteś godny pogardy!

- Mówisz jak heroina z bardzo kiepskiej powieści. Co czytałaś dzisiaj rano?

Sophie omal nie zazgrzytała zębami. Jak to możliwe, że Benedict był jednocześnie najcudowniejszym i najokropniejszym mężczyzną na świecie? Teraz brała w nim górę jego gorsza strona.

- Idę! - oznajmiła zdecydowanie. W jej opinii.

Bridgerton uśmiechnął się chytrze.

- Ja za tobą.

Nieznosny osobnik przez całą drogę do domu trzymał się dwa kroki za nią.

Nieczęsto wyprowadzał ludzi z równowagi (nie licząc rodzeństwa), ale Sophie Beckett wyzwała w nim najgorsze instynkty. Stał teraz w drzwiach jej pokoju, niedbale oparty o framugę. Ręce skrzyżował na piersi w sposób, który zawsze ją drażnił, czubkiem buta stukał w podłogę.

- Nie zapomnij sukni - poradził.

Sophie spiorunowała go wzrokiem.

- Tą brzydką - dodał tonem wyjaśnienia.
- Obie są brzydkie - syknęła.
- Wiem.
- Weź sobie coś na pamiątkę. Wyprostowała się i położyła ręce na biodrach.
- Srebrny serwis do herbaty? Za pieniądze z jego sprzedaży mogłabym żyć kilka lat.
- Możesz wziąć serwis, bo i tak będziemy razem z niego korzystać.
- Przecież ci mówiłam, że nie zostanę twoją kochanką. Nie mogę.

Uderzyły go jej ostatnie słowa. Dumał nad nimi przez, chwilę, podczas gdy wrzucała do torby resztę rzeczy.

- Właśnie - mruknął.

Sophie podeszła do drzwi i zmierzyła go wzrokiem. Benedict nie usunął się jej z drogi, tylko w zamyśleniu głąskał brodę.

- Jesteś z nieprawego łoża - stwierdził i o dziwo, poczuł ulgę, bo zrozumiał, dlaczego go odtrąciła. - I nic mnie to nie obchodzi.

Z trudem powściągnął szeroki uśmiech. Teraz już nie będzie żadnych przeszkód, żeby pojechała z nim do Londynu i została jego kochanką.

- Nic nie rozumiesz - powiedziała Sophie. – Nie w tym rzecz, czy jestem dostatecznie dobra, by zostać twoją utrzymanką.
- Zadbaliśmy o dzieci - zapewnił Benedict uroczyście. Ona jeszcze bardziej zeszywniała, jeśli to w ogóle możliwe.
- A co z twoją żoną?
- Nie mam żony.
- I nigdy się nie ożenisz?

W tym momencie przed oczami stanęła mu dama z balu maskowego. Wiele razy wyobrażał ją sobie w różnych sytuacjach. W srebrnej sukni lub w niczym.

A czasami w ślubnym welonie.

Sophie przez chwilę mierzyła go spojrzeniem, a następnie prychnęła z pogardą i wyszła na korytarz.

Ruszył za nią do schodów.

- To podchwytliwe pytanie.

- Doprawdy?

Zbiegł po kilku stopniach i zastąpił jej drogę.

- Kiedyś muszę się ożenić.

- Ale ja nie muszę być niczyją kochanką.

- Kim był twój ojciec?

- Nie wiem.

- A matka?

- Umarła przy porodzie.

- Mówiłaś, że była ochmistrzynią.

- Widać źle mnie zrozumiałaś.

- Gdzie się wychowywałaś?

- To nieistotne - odparła, próbując przecisnąć się obok niego.

Benedict chwycił ją za ramię i unieruchomił.

- A ja uważam, że bardzo.

- Puść mnie!

Jej krzyk przeszył ciszę panującą w domu. Na szczęście pani Crabtree wybrała się do wioski, a jej mąż krzątał się w ogrodzie. Nikt nie mógł przybiec jej na pomoc. Była zdana na jego łaskę.

- Nie mogę cię puścić - wyszeptał. - Nie jesteś stworzona do służby. Takie życie cię zabije.

- Gdyby miało mnie zabić, dawno bym nie żyła - odparowała.

- Już nie musisz nikomu usługiwać.

- Nie waż się za mnie decydować - powiedziała, drżąc z gniewu. - Wcale nie obchodzi cię moje dobro. Po prostu nie umiesz się pogodzić z odmową.

- To prawda - przyznał. - Ale nie pozwolę również, żebyś harowała.

- Haruję od lat - wykrztusiła.

Do jej oczu napłynęły łzy. O Boże, nie chciała się rozpłakać. Nie teraz, kiedy czuła się wytrącona z równowagi i słaba.

Benedict ujął ją pod brodę.

- Pozwól mi się tobą zaopiekować.

Sophie zamknęła oczy. Bez namysłu przyjęłaby jego propozycję i związała swój los z tym wspaniałym, irytującym mężczyzną, o którym od dawna marzyła, ale cierpienia dzieciństwa były w niej jeszcze zbyt świeże, dusza trwale naznaczona piętnem nieprawego pochodzenia. Nie mogła skazać innego dziecka na taki sam los.

- Nie mogę - wyszeptała. - Chciałabym...

- Co byś chciała?

Potrząsnęła głową. Znowu zacząłby ją naciskać, a wtedy jeszcze trudniej byłoby jej odmówić.

- W takim razie nie zostawiasz mi wyboru - stwierdził posępnie.

Sophie zamarła.

- Albo pojedziesz ze mną do Londynu... - Uciszył ją gestem ręki. - I znajdę ci pracę u mojej matki.

-Albo? - Będę musiał donieść władzom, że mnie okradłaś.

Sophie nagle poczuła w ustach gorycz. - Nie zrobisz tego - szepnęła.

- Nie chcę, ale zrobię.

- Powieszą mnie albo ześlą do Australii.

- Nie, jeśli poproszę o inny wyrok.

-Jaki?

Spojrząwszy w brązowe oczy Benedicta, Sophie zrozumiała, że wcale go nie bawi ta rozmowa.

- Poproszę, żeby oddano cię pod moją pieczęć.

- Dogodne rozwiązanie. Położył dłoń na jej ramieniu.

- Ja tylko próbuję uratować cię przed samą sobą. Sophie ruszyła do okna, ale tym razem jej nie zatrzymał.

- Doprowadzisz do tego, że cię znienawidzę.

- Jakoś to przeżyję.

- Poczekam w bibliotece. Chciałabym wyjechać jeszcze dzisiaj.

Benedict odprowadził ją wzrokiem i stał bez ruchu, póki nie zamknęły się za nią drzwi. Wiedział, że mu nie ucieknie. Nie należała do osób, które łamią dane słowo.

Nie mógł pozwolić jej odejść. Przy niej czuł się tak jak wtedy, na balu maskowym. Jedyna kobieta, która poruszyła jego serce, zniknęła bez śladu. Usychał z tęsknoty do tajemniczej damy, a możliwe, że ona nigdy nie istniała. Natomiast panna Beckett była pod ręką i działała na niego równie mocno jak tamta.

Sophie mnie nie zostawi, pomyślał z determinacją.

- Zniosę twoją nienawiść - powiedział do zamkniętych drzwi biblioteki. - Natomiast bez ciebie nie wytrzymam.

*Niedawno przewidywano w tej rubryce związek panny Rosamundy Reiling i pana Philipa Cavcndera. Teraz pisząca te słowa uważa, że raczej do niego nie dojdzie. Lady Penwood podobno oświadczyła, że nigdy nie zgodzi się na nieutyłowanego zięcia, choć ojciec panny Reiling, mimo że dobrze urodzony, nie należał do arystokracji.*

*W dodatku pan Carender zaczął okazywać duże zainteresowanie pannie Cressidzie Cowper.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 9 maja 1817*

Sophie czuła się niedobrze, odkąd karoca wyruszyła sprzed Mojego Domu. Gdy zatrzymali się na noc w gospodzie w Oxfordshire, miała mdłości. Na przedmieściach stolicy wydawało się jej, że zaraz zemdleje, a kiedy powóz wjechał na londyńskie ulice, ogarnął ją strach.

Był maj, sezon w pełni, co oznaczało, że Aramina przebywa w swojej miejskiej rezydencji.

A to z kolei oznaczało, że przyjazd do Londynu był bardzo złym pomysłem.

- Bardzo złym - mruknęła pod nosem.

Bridgerton uniósł wzrok.

- Mówiłeś coś?

Sophie buntowniczym gestem skrzyżowała ramiona na piersi.

- Ze jest pan bardzo złym człowiekiem.

Roześmiał się, po czym odsunął zasłonkę i wyjrzał przez okno.

- Za chwilę dotrzemy na miejsce.

Sophie doskonale pamiętała wielki dom przy Grosvenor Square, ogromną salę balową oświetloną setkami kinkietów, mniejsze pokoje o pastelowych ścianach i zdobionych sufitach.

Marząc o wspólnej przyszłości z Benedictem, zawsze widziała się w tym domu. Równie dobrze mogłaby fantazjować o zamieszkaniu w pałacu Kensington, pomyślała z ironicznym grymasem.

- Co cię tak rozśmieszyło? - zainteresował się Benedict.

Nie zaszczyliła go spojrzeniem.

- Knuję twoją śmierć.

Choć na niego nie patrzyła, wiedziała, że się uśmiechnął.

Denerwowało ją to wyczulenie na każdy jego gest czy reakcję. W dodatku podejrzewała, że z nim jest podobnie.

- W takim razie baw się dobrze, bo ja raczej nie będę.

W końcu oderwała wzrok od zasłonki, w którą wpatrywała się od wielu godzin.

- Jest pan szalony.

- Pewnie tak. - Niedbale wzruszył ramionami, rozparł się na siedzeniu, nogi położył na przeciwległej ławce. - Prawie cię porwałem. To najbardziej szalona rzecz, jaką w życiu zrobiłem.

- Może mnie pan wypuścić.  
- W Londynie? Żeby cię napadł jakiś rzeźmieszek? To byłoby bardzo nieodpowiedzialne z mojej strony, nie sądzisz?  
- W porównaniu z uprowadzeniem?  
- Wcale cię nie uprowadziłem, tylko szantażowałem, a to wielka różnica.  
W tym momencie powóz zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem, co wybawiło ją od odpowiedzi.  
- Jesteśmy na miejscu - stwierdził Benedict.  
Gdy wysiadł i podał jej rękę, Sophie zastanawiała się przez chwilę, czy nie odrzucić jego pomocy. Ale kiedy sobie wyobraziła, że się potyka, skręca kostkę i ląduje w rynsztoku, z westchnieniem przyjęła jego dłoń. - Bardzo mądrze - mruknął Bridgerton. Zerknęła na niego zaskoczona. Skąd wiedział, czym myślała? - Prawie zawsze wiem, o czym myślisz. Potknęła się.  
- Uwaga! - krzyknął.  
Chwycił ją zręcznie, ratując przed upadkiem, przytrzymał chwilę dłużej, niż to było konieczne. Sophie zacisnęła zęby, rezygnując z ironicznej uwagi.  
- Nie bawi cię komizm sytuacji? - zapytał Benedict kpiącym uśmiechem.  
- Ani trochę - warknęła.  
Drań się roześmiał.  
- Chodź, przedstawię cię matce. Na pewno da ci posadę.  
- A jeśli nikogo nie potrzebuje?  
Wzruszył ramionami.  
- Kocha mnie, więc ciebie przyjmie.



Sophie nie ruszyła się z miejsca.

- Nie zostanę pańską kochanką. Bridgerton

zachował kamienną twarz.

- Już to mówiłaś.

- Chodziło mi o to, że pański plan się nie powie  
dzie.

Zrobił niewinną minę.

- A mam jakiś plan?

- Och, proszę nie udawać. Chce mnie pan osaczyć i  
zmęczyć, aż wreszcie się poddam.

- Nawet o tym nie pomyślałem.

- Akurat.

Gdy zaśmiał się cicho, Sophie skrzyżowała ramiona, nie  
dbając o to, że nie wygląda dystyngowanie w tej postawie.  
Choć znajdowali się na ulicy, nikt nie zwracał uwagi na  
służącą w sukni ze zgrzebnej wełny. Nie zamierzała silić się  
na pogodny wyraz twarzy, żeby zrobić dobre wrażenie na  
nowej pracodawczyni. Do licha, jeśli ktoś miał prawo być  
ponury i zawzięty, to właśnie ona.

- Możemy tu stać przez cały dzień - powiedział Be-  
nedict z lekkim sarkazmem.

Już otwierała usta, gdy nagle spostrzegła, że to nie dom  
przy Grosvenor Square, gdzie odbywał się bal maskowy.

- To Bridgerton House? - zapytała.

- Skąd znasz tę nazwę?

- Od pana.

Na szczęście podczas ich rozmów kilka razy wspomniał  
o londyńskiej rezydencji i o rodowej siedzibie w Aubrey  
Hall.

- Moja matka wyniosła się z Bridgerton House dwa  
lata temu. Wydała ostatni bal i przekazała dom mo-

mu bratu i jego żonie. Zawsze mówiła, że tak zrobi gdy syn założy własną rodzinę. Jego pierwsze dziecko urodziło się miesiąc po jej wyprowadzce.

- Chłopiec czy dziewczynka? - zainteresowała się Sophie, choć dzięki lady Whistledown знаła odpowiedź.

- Chłopiec. Edmund. A w tym roku urodził się Miles.

- To miłe - bąknęła Sophie.

Serce się jej ścisnęło, bo wiedziała, że sama nigdy nie będzie mieć dzieci. Musiałaby znaleźć sobie męża co

wydawało się zupełnie nierealne. Nie została

wychowana na służącą, dlatego nic ją nie łączyło

z mężczyznami, których spotykała na co dzień.

Oczywiście wielu z nich było dobrych i uczciwych,

ale nie wyobrażała sobie życia z kimś, kto, na przykład, nie umie czytać.

Nie musiała wychodzić za człowieka wysoko urodzonego,

ale nie mogła nawet liczyć na kogoś ze średniej klasy.

Żaden szanujący się mężczyzna nie wzięby

za żonę pokojówki. Benedict dał jej znak i ruszył w

stronę marmurowych schodów. Sophie potrząsnęła głową.

- Pójdę do bocznego wejścia - oświadczyła. Wejdiesz od frontu.

- Nie. Nikt nie zatrudni bezczelnej pokojówki. - Jesteś ze

mną. Wejdiesz głównymi drzwiami. Sophie skwitowała

jego słowa gorzkim śmiechem. - Nie dalej jak wczoraj

chciałeś, żebym została twoja kochanką, Benedykcie.

Ośmieliłbyś się z honorami wprowadzić taką osobę do

domu swojej matki? - usmiechnęła się z satysfakcją na

widok jego miny dała, żeby go jeszcze podręczyć: - W

ogóle przedstawiłbyś jej swoją utrzymankę?

- Nie jesteś moją utrzymanką.

- Istotnie.

Wpił w nią spojrzenie, w którym malowała się ledwo powstrzymana furia.

- Jesteś pokojówką, bo się przy tym upierasz, ale tak czy inaczej nadal zasługujesz na szacunek. Przy najmniej w oczach mojej matki.

Sophie spowaźniała. Chyba jednak przesadziła.

- Chodźmy - powiedział Benedict.

Tym razem nie protestowała. Może jednak lady Bridgerton nie zatrudni służącej, która ma czelność korzystać z frontowych drzwi, dumając za nim po schodach. A Benedict pogodzi się z porażką i odeśle ją na wieś.

Gdy tylko przekroczyli próg, natychmiast zjawił się kamerdyner.

- Wickham, powiadom łaskawie moją matkę, że już jestem.

- Dobrze, panie Bridgerton. Ale chciałbym uprzedzić, że hrabina przez cały tydzień zastanawiała się nad miejscem pańskiego pobytu.

- Byłbym zawiedziony i wstrząśnięty, gdyby jej to nie interesowało - odparł Benedict.

Sługa zerknął na Sophie z ciekawością i odrobiną lekceważenia.

- Czy mogę ją zawiadomić o przybyciu gościa?

- Tak, proszę.

- A kogo mam zaanonsować?

- To panna Beckett. Szuka zatrudnienia.

Wickham uniósł brew, co bardzo zaskoczyło Sophie. Nie sądziła, że kamerdynerzy mogą wyrażać swoje zdanie, choćby mimiką.

-Jako pokojówka? - spytał.

- Tak - odparł Benedict z nutą zniecierpliwienia  
głosie.

Dobrze, panie Bridgerton - powiedział sługa i ruszył w  
górze po schodach.

Chyba mu się nie spodobałam - szepnęła Sophie z  
ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

- Nie on tutaj rządzi.

- Myślę, że Wickham by się z panem nie zgodził.

Benedict spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Jest kamerdynerem.

- A ja pokojówką i śmiem twierdzić, że znam ka-  
merdynerów o wiele lepiej niż pan.

- Niektóre moje znajome prędzej niż ciebie można by  
wziąć za pokojówki.

Sophie wzruszyła ramionami.

- Wydobywa pan ze mnie najgorsze cechy, panie  
Bridgerton.

Benedikcie.

Zaraz przyjdzie pańska matka, a panu zależy na tym,  
żeby dała mi posadę. Ile służących mówi panu po imieniu?

Spiorunował ją wzrokiem, ale nic nie odpowiedział.

- Nie można mieć wszystkiego, panie Bridgerton -  
dodała Sophie z lekką ironią,

- Ja chcę tylko jednego.

- Benedict!

Na szczycie schodów zjawiała się elegancka, drobna  
kobieta o włosach jaśniejszych niż u syna, ale o po-  
dobnych rysach twarzy.

-Mamo, jak dobrze cię widzieć!

Ja też bym się cieszyła, gdybym wiedziała, gdzie też  
podziewałeś przez ostatni tydzień. Wybrałeś się do  
Cavendera i zniknąłeś bez śladu.

- Opuściłem przyjęcie i pojechałem do Mojego Domu.

Lady Bridgerton westchnęła.

- No tak, masz już trzydzieści lat, więc nie mogę oczekiwać, że będziesz zawiadamiał mnie o każdym swoim kroku.

Syn tylko się uśmiechnął pobłaźliwie. Wicehrabina przeniosła wzrok na gościa.

- A to zapewne panna Beckett.

- Tak. Uratowała mi życie.

- Ja nie...

- Owszem - przerwał jej Benedict. - Rozchorowałem się od jazdy w deszczu, a panna Beckett mnie pielęgnowała.

- Sam pan by wyzdrowiał - wtrąciła Sophie.

- Ale nie tak szybko.

- Państwa Crabtree nie było w domu? - zapytała lady Bridgerton.

- Wrócili następnego dnia rano. - Dostrzegłszy wzrok matki, Benedict pospieszył z wyjaśnieniem: -Panna Beckett pracowała u Cavenderów, ale pewne okoliczności sprawiły, że nie mogła tam dłużej zostać.

- Rozumiem - powiedziała Violet niepewnym tonem.

- Pani syn obronił mnie przed pijanym Philipem Cavenderem i jego kolegami - powiedziała Sophie spokojnie. - Jestem mu bardzo wdzięczna.

Benedict spojrział na nią zaskoczony. Z drugiej strony powinien znać ją już na tyle, by wiedzieć, że ma swoje zasady i nie pozwoli, żeby gniew wziął górę nad uczciwością. To była jedna z rzeczy, które mu się w niej podobały.

- Rozumiem - powtórzyła -wicehrabina, tym razem z większym przekonaniem.

- Pomyślałem sobie, że znajdziesz jej jakieś zajęcie -  
rzekł syn.  
- Jeśli to nie będzie za duży kłopot - wtrąciła Sophie.  
- Oczywiście, że nie - zapewniła lady Bridgerton, patrząc na  
nią z dziwnym wyrazem twarzy. - Ale... Czy my się znamy?  
- Nie sądzę - odparła Sophie. Była pewna, że na  
balu maskowym ich ścieżki się nie przecięły. - Nie,  
to niemożliwe.  
- Zapewne. Jest w pani coś znajomego, ale chyba po prostu  
spotkałam kogoś o podobnych rysach. To często się zdarza.  
- Zwłaszcza mnie - powiedział Benedict z krzy-  
wym uśmiechem.  
Lady Bridgerton spojrzała na syna z wyraźną czułością.  
- To nie moja wina, że moje dzieci wyglądają jak  
bliźnięta.  
- A czyja?  
- Twojego ojca - odrzekła wesoło matka i dodała,  
zwracając się do panny Beckett: - Wszystkie są kopiami  
mojego nieżyjącego męża.  
Sophie powinna milczeć, ale nie wytrzymała:  
- Ja myślę, że syn jest podobny do pani.  
- Naprawdę? - Wicehrabina z radości klasnęła w dłoń. -  
A ja zawsze uważałam się za dodatek do rodziny  
Bridgertonów.  
- Mamo!  
Violet westchnęła.  
- Mówię zbyt otwarcie? Coraz częściej się to zdarza w  
moim wieku.  
- Nie jesteś stara, mamo.

Uśmiechnęła się.

- Może odwiedzisz siostry, a ja tymczasem wezmę twoją pannę Bennett...

- Beckett.

- Tak, oczywiście, Beckett. Zabiorę ją na górę i znajdę dla niej pokój.

- Wystarczy, że zaprowadzi mnie pani do ochmistrzyni - powiedziała Sophie.

Zdziwiło ją, że pani domu osobiście się nią interesuje. Cała sytuacja była niezwykła.

- Pani Watkins jest zajęta - wyjaśniła lady Bridgerton. - Ale zdaje się, że potrzebujemy na górze jeszcze jednej pokojówki. Ma pani jakieś doświadczenie?

Sophie skinęła głową.

- Doskonale. Tak myślałam. Bardzo ładnie pani mówi.

- Moja matka była ochmistrzynią u bardzo hojnej rodziny i...

Urwała przerażona. Benedictowi powiedziała, że jej matka umarła przy porodzie. Zerknęła na niego spłoszona, ale on lekko uniósł podbródek, dając znak, że nie zamierza ujawnić jej kłamstwa.

- Państwo, u których pracowała, wspaniałomyślnie pozwolili mi uczestniczyć w lekcjach ich córek - do kończyła z ulgą.

- Rozumiem. To wiele wyjaśnia, bo aż trudno uwierzyć, że była pani pokojówką. Jest pani dostatecznie wykształcona, żeby szukać lepszych posad.

- Ładnie czyta - dodał Benedict. Sophie spojrzała na niego zaskoczona, ale ją zignorował. - Przekonałem się o tym w czasie rekonwalescencji.

- A jak u pani z pisaniem? - zapytała lady Bridgerton.

- Mam ładne pismo.  
- Świetnie. Bardzo przydają się dodatkowe ręce, gdy trzeba adresować zaproszenia. Latem urządzam bal. W tym roku mam dwie córki na wydaniu i liczę a to, że choć jedna z nich znajdzie męża, nim sezon się skończy.  
- Nie sądzę, żeby Eloise paliła się do zamażpójścia - wtrącił syn.  
- Zamilcz! - powiedziała krótko wicehrabina.  
- W naszym domu takie stwierdzenie to świętokradztwo - wyjaśnił Benedict, zwracając się do Sophie.  
- Proszę go nie słuchać, panno Beckett - powiedziała lady Bridgerton. - Chodźmy na górę. Jak pani na imię?  
- Sophia. Sophie.  
- Chodź ze mną, Sophie. Przedstawię ci dziewczętom. I znajdziemy ci coś do ubrania - dodała, mierząc ją wzrokiem. - Nie mogę pozwolić, żeby nasza pokojówka tak wyglądała. Jeszcze ktoś pomyśli, że ci źle płacimy.  
Sophie zaskoczyła i poruszyła wspaniałomyślność lady Bridgerton. Nie przypuszczała, że istnieją arystokraci, którzy troszczą się o służbę.  
- A ty zaczekaj na mnie na dole - rzekła wicehrabina do syna. - Mamy dużo do omówienia.  
- Już nie mogę się doczekać.  
- Nie wiem, który wcześniej mnie zabije, on czy jego brat - mruknęła lady Bridgerton.  
- Który brat? - zapytała Sophie.  
- Wszyscy trzej. Dranie, co do jednego.  
Lecz ton jej głosu i wyraz oczu świadczyły, że są to kochane dranie. Sophie nagle poczuła się samotna



i zazdrosna. Jakże inne byłoby jej życie, gdyby matka nie umarła przy porodzie. Jako kochanka hrabiego nie zapewniłaby im obu szacunku otoczenia, ale przynajmniej obdarzyłaby córkę miłością, której zawsze jej brakowało.

Westchnęła cicho i ruszyła po schodach za lady Bridgerton, zastanawiając się, dlaczego ma wrażenie, jakby wchodziła do nowej rodziny, a nie podejmowała pracę.

Od bardzo dawna nie czuła się tak dobrze.

*Rosamunda Reiling przysięga, że widziała Benedicta Bridgertona w Londynie. Pisząca te słowa jest skłonna jej uwierzyć; panna Reiling potrafi dojrzeć kawalera z odległości pięćdziesięciu kroków.*

*Niestety żadnego nie udaje się jej usidlić.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 12 maja 1817*

Benedict zrobił dwa kroki w stronę salonu, gdy do holu wpadła jego siostra Eloise. Jak wszyscy Bridgertonowie miała gęste kasztanowate włosy i szeroki uśmiech, natomiast oczy zielone jak u Colina, a nie brązowe jak u niego.

O takim samym odcieniu jak tęczówki Sophie, uświadomił sobie nagle.

Benedict! - zawołała, rzucając mu się na szyję. -Gdzie byłeś przez cały tydzień? Mama się o ciebie niepokoiła.

Zabawne, że kiedy z nią rozmawiałem dwie minuty temu, martwiła się, kiedy wreszcie wyjdiesz za mąż. Eloise się skrzywiła.

- Gdy spotkam odpowiedniego mężczyznę. Chciałabym, żeby ktoś nowy pojawił się w mieście. Odnoszę wrażenie, że widuję wciąż tę samą setkę osób.

- Bo tak jest.  
- Właśnie. W Londynie nie ma już żadnych sekretów.  
Wszyscy się znają i wszystko o sobie wiedzą.  
- Naprawdę? - zapytał Benedict z sarkazmem.  
- Kpij sobie ze mnie, jeśli chcesz, ale ja wcale nie przesadzam - odparła, celując w niego palcem, który to gest matka uznałaby za niekobiecy.  
- Nawet odrobinę?  
Łypnęła na niego groźnie.  
- Gdzie się podziewałeś przez ten tydzień?  
Zaraz po wejściu do bawialni Benedict opadł na kanapę.  
Powinien zaczekać, aż siostra usiądzie, ale nie lubił ceremonii, kiedy byli sami.  
- Pojechałem na przyjęcie do Cavendera - odparł, kładąc nogi na niskim stoliku. - Prawdziwy koszmar.  
- Mama cię zabije za te nogi - ostrzegła Eloise, siadając w fotelu. - A co ci się nie podobało w tamtym przyjęciu?  
- Towarzystwo. - Postanowił nie zmieniać pozycji. - Banda najnudniejszych durniów i obiboków, jakich w życiu spotkałem.  
- Nie przebierasz w słowach.  
Benedict uniósł brew na jej sarkazm.  
- Zabraniam ci wychodzić za mąż za któregoś z typów obecnych u Cavendera.  
Eloise uderzyła dłońmi w poręcz fotela.  
- Nie będę miała trudności z podporządkowaniem się temu zakazowi.  
Brat się uśmiechnął. Tę dziewczynę zawsze rozpierała energia.  
- Lecz nadal nie wiem, co robiłeś przez cały tydzień - przypomniała, mrużąc oczy.  
- Czy ktoś ci mówił, że jesteś wyjątkowo wścibska?

- Wiele razy. Gdzie byłeś?

- I uparta.

- To na ciebie jedyny sposób. Gdzie byłeś?

- Czy wspomniałem, że zastanawiam się nad produkcją kagańców dla ludzi?

Siostra cisnęła w niego poduszką.

- Gdzie byłeś?

- Tak się składa, że odpowiedź wcale nie jest ciekawa. - Odrzucił poduszkę. - W Moim Domu. Kurowałem się z paskudnego przeziębienia.

- Myślałam, że już dawno wyzdrowiałeś.

Zerknął na nią z ukosa.

- Skąd wiesz?

Eloise uśmiechnęła się szeroko.

- Wiem wszystko. Jeszcze tego nie zauważyłeś?

Przeziębienia rzeczywiście bywają paskudne. Mia-  
leś nawrót choroby?

Skinął głową.

- Po jeździe otwartym powozem w czasie ulewy.

- To nie było rozsądne z twojej strony.

- Ciekawe, dlaczego pozwalam się obrażać niezdolnej młodszej siostrze? - zapytał Benedict, rozglądając się po pokoju.

- Pewnie dlatego, że robię to dobrze. - Kopnęła jego nogi, próbując strącić je ze stolika. - Mama zjawi się lada chwila.

- Jest zajęta.

- Czym?

- Oprowadza nową służącą. Eloise usiadła prosto.

- Mamy nową służącą? Nikt mi o tym nie wspomniał. - O, niebiosa, coś się wydarzyło, a Eloise o tym nie wie! - zakpił brat.

Dziewczyna odchyliła się na oparcie fotela i znowu trąciła go butem.

- Sprzątaczką? Pokojówką? Pomywaczką?
- Tak cię to interesuje?
- Lubię być dobrze poinformowana.
- Chyba pokojówką.

Eloise milczała przez ułamek sekundy.

- Skąd wiesz?

Benedict uznał, że równie dobrze może jej powiedzieć prawdę. Do wieczora i tak poznałaby całą historię.

- Sam ją tu przywiozłem.
- Pokojówkę?
- A kogóż by innego?
- Od kiedy to zawracasz sobie głowę szukaniem służących?

- Odkąd ta młoda dama uratowała mi życie, pielęgnując mnie w chorobie.

Eloise rozdziawiła usta.

- Byłeś aż taki chory?

Nie zaszkodzi postraszyć, że otarł się o śmierć, uznał Benedict. Przyda mu się odrobina współczucia i troski.

- Rzeczywiście nie czułem się najlepiej. Dokąd idziesz?

Siostra już zerwała się z fotela.

- Poznać nową pokojówkę. Pewnie będzie usługiwała Francesce i mnie, skoro Marie odeszła.

- Odeszła?

Eloise spochmurniała.

- Do tej okropnej lady Penwood.

Brat uśmiechnął się mimo woli. Dobrze pamiętał swoje jedyne spotkanie z hrabiną. Jemu też nie przypadła do gustu.

- Lady Penwood jest znana ze złego traktowania służących. W tym roku wymówiły jej już trzy poko-

jowki. Potem ukradła jedną pani Featherington, ale biedaczka wytrzymała u niej tylko dwa tygodnie. Benedict cierpliwie słuchał siostry, zdziwiony, że interesuje go ten temat.

Marie za tydzień przyjdzie do nas na kolanach, prosząc, żebyśmy ją przyjęły z powrotem, zapamiętaj moje słowa.

- Zawsze pamiętam, ale nie zawsze się nimi przejmuję.

- Będiesz żałował tego, co powiedziałeś - ostrzegła

Eloise, celując w niego palcem.

- Nie sądzę. Idę na górę. Baw się dobrze. Siostra, dwudziestojednoletnia panna, pokazała mu język i opuściła salon. Benedict niedługo cieszył się samotnością, bo w holu rozbrzmiały kroki i chwile później w drzwiach stanęła matka. Natychmiast zerwał się z kanapy. - Widziałam nogi na stoliku - powiedziała Violet. Ja tylko polerowałem blat.

Wicehrabina uniosła brwi i ruszyła do fotela zwolnionego przez córkę.

No dobrze, kto to jest? - spytała z powagą. Chodzi ci o pannę Beckett? Lady Bridgerton skinęła głową.

Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że pracowała u Cavenderów i ich syn bardzo niestosownie się wobec niej zachowywał. Violet zbladła. Czy on... O, Boże! Czy ona...

- Nie przypuszczam - odparł Benedict posępnym snem. - Właściwie jestem pewien, że nie. Nie żeby nie próbował.

- Biedactwo. Jak to dobrze, że ją obroniłeś.

Benedict nie chciał na nowo przeżywać tamtego incydentu. Wszystko skończyło się szczęśliwie, ale wciąż zadawał sobie pytanie, co by było, gdyby nie zjawił się w porę. Albo gdyby Cavender i jego towarzysze okazali się mniej pijani i bardziej zdeterminowani? Odpowiedź mroziła mu krew w żyłach.

- Ona nie jest tym, za kogo się podaje - stwierdziła wicehrabina.

Benedict usiadł prosto.

- Dlaczego tak uważasz?

- Jest za dobrze wykształcona jak na służącą. Pracodawcy matki może pozwalali jej uczestniczyć w lekcjach córek, ale żeby we wszystkich? Wątpię. Ta dziewczyna zna francuski!

- Naprawdę?

- Cóż, nie mam całkowitej pewności, ale przytapałam ją, jak zaglądała do książki leżącej na biurku Franceski.

- Zagłądanie to jeszcze nie czytanie.

- Widziałam, jak porusza oczami. Czytała.

- Skoro tak twierdzisz.

Violet zmrużyła oczy.

- Czyżbym słyszała sarkazm w twoim głosie?

- Tym razem mówiłem poważnie - odparł syn z uśmiechem.

- Może jest wydziedziczoną córką jakiegoś arystokraty.

- Wydziedziczoną?

- Z powodu bękarta - wyjaśniła matka.

- E... n... nie, nie sędzę - wyjąkał Benedict, nieprzyzwyczajony do takiej bezpośredniości.

Dobrze pamiętał zdecydowaną odmowę Sophie na

jego propozycję. Ale z drugiej strony, kto wie? Może go odtrąciła dlatego, że nie chciała powtórzyć błędu. Nagle poczuł gorycz w ustach. Jeśli miała dziecko, to znaczy, że miała kochanka.

- Albo sama jest nieślubnym dzieckiem jakiegoś szlachcica - ciągnęła matka z coraz większym zapałem.

To wytłumaczenie było dużo bardziej prawdopodobne... i łatwiejsze do zniesienia.

- I nie zostawił jej pieniędzy, żeby nie musiała pracować jako służąca?

- Wielu mężczyzn nie interesuje się swoimi nieślubnymi dziećmi - odparła Violet, krzywiąc się z niesmakiem. - To skandal.

- Większy niż posiadanie bękarta? - zapytał Benedict, a widząc irytację na twarzy matki, dodał: - Poza tym dlaczego ojciec zadbał o wykształcenie córki, skoro nie pomyślał o jej przyszłości?

- Słuszna uwaga. - Lady Bridgerton ściągnęła usta i zaczęła stukać palcem po policzku. W końcu oświadczyła: - W ciągu miesiąca odkryję jej tożsamość.

- Zwróć się o pomoc do Eloise - doradził syn.

- Dobry pomysł. Ta dziewczyna wyciągnęłaby sekret nawet ze szpiega.

Benedict wstał.

- Idę do domu. Jestem zmęczony po podróży.

- Zawsze możesz odpocząć tutaj.

- Muszę wrócić do siebie - odparł z półśmiechem, nachylił się i cmoknął matkę w policzek. - Dziękuję, że znalazłaś zajęcie dla Sophie.

- Dla panny Beckett, chciałeś powiedzieć?

- Sophie, panna Beckett, co za różnica? - rzucił z udawanym zniecierpliwieniem.



Idąc do drzwi, nie widział, że matka uśmiecha się szeroko.

Sophie doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinna zadomawiać się w Bridgerton House, ale gdy rozejrzała się po swoim pokoju, najładniejszym, jaki kiedykolwiek przydzielono służącej, i wspomniała przyjazne zachowanie lady Bridgerton...

Uświadomiła sobie, że pragnie tu zostać na zawsze.

Wiedziała jednak, że to niemożliwe.

Po pierwsze i najważniejsze, istniało niebezpieczeństwo, że natknie się na lady Penwood, gdyż jako pokojówka wicehrabiny mogła pełnić rolę przyzwoitki lub damy do towarzystwa w czasie spacerów albo zakupów. I nie wątpiła, że Araminta znajdzie sposób, by uczynić z jej życia piekło. Czuła do niej głęboką nienawiść i gdyby zobaczyła ją w Londynie, dla zemsty nie cofnęłaby się przed największą podłością.

Lecz prawdziwym powodem, dla którego musiała opuścić stolicę, nie była Araminta, tylko Benedict.

Mieszkając u jego matki, nie mogłaby go przecież unikać. Bała się, że kiedy minie jej wściekłość, nie potrafi mu się oprzeć, skoro na sam jego widok miękną jej kolana. Któregoś dnia pośle jej swój krzywy uśmiech, a ona padnie mu w ramiona.

Zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie. Nie chciała przystać na jego warunki, a na swoich nie mogła go mieć.

Sytuacja była beznadziejna.

Od przygnębiających rozmyślań wybawiło ją pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała.

Na widok lady Bridgerton zerwała się na równe nogi i dygnęła.

Jakieś polecenia, milady? - spytała. - Nie, nie. Tylko sprawdzam, czy już się urządziłaś. Potrzebujesz czegoś?

Sophie osłupiała.

- Nie, dziękuję - wykrztusiła po chwili. - Będę szczęśliwa, jeśli wprowadzi mnie pani w obowiązki.

Wicehrabina machnęła ręką.

- Dzisiaj się rozgość i poznaj dom.

Sophie zerknęła na swoją torbę.

- Nie mam wiele do rozpakowywania. Prawdę mówiąc, chętnie od razu zacząłabym pracę.

Nonsens. Już prawie koniec dnia, a wieczorem nigdzie się nie wybieramy. Przez ostatni tydzień miałyśmy tylko jedną pokojówkę, więc chyba przeżyjemy jeszcze kilka godzin.

Ale...

Żadnych ale - przerwała jej z uśmiechem lady Bridgerton. - Jeden dzień wolnego to niewiele za uratowanie mojego syna. - Nic takiego nie zrobiłam. Wyzdrowiałby beze mnie.

Pomogłaś mi w potrzebie i teraz mam wobec ciebie dług.

To była dla mnie przyjemność - odparła Sophie. Zresztą tylko tak mogłam odwdziżyć się pani synowi za ratunek.

Ku jej zaskoczeniu lady Bridgerton usiadła przy biurku.

Skąd pochodzisz, Sophie? - zapytała z ujmującym uśmiechem... który natychmiast przywiódł jej na myśl Benedicta. - Ze wschodniej Anglii. - Nie widziała powodu, że

by kłamać. Wicehrabina pochodziła z Kentu i wydawało się mało prawdopodobne, żeby znała Norfolk. Niedaleko Sandringham, jeśli pani wie, gdzie to jest.

- Wiem. Słyszałam, że to piękny pałac.

- Tak. Oczywiście nigdy nie byłam w środku, ale z zewnątrz wygląda imponująco.

- Gdzie pracowała twoja matka?

- W Blackheath Hall. - Na tyle często zadawano jej to pytanie, że skłamała całkiem gładko. - Zna pani to miejsce? Leży na północ od Swaffham.

Lady Bridgerton zmarszczyła czoło.

- Nie sądzę. Masz braci albo siostry?

Pracodawczynie raczej nie wypytywały służących o rodzinę. Zwykle interesowały się tylko referencjami. -Nie.

- Więc dobrze, że przynajmniej mogłaś się uczyć i bawić z córkami tamtych państwa.

- Istotnie.

W rzeczywistości lekcje z Rosamundą i Posy były torturą. Wołała, kiedy guwernantka poświęcała jej cały czas, zanim obie przyjechały do Penwood Park.

- Podziwiam wspaniałomyślność pracodawców twojej matki... Zaraz, zaraz, jak oni się nazywają?

- Grenville.

Lady Bridgerton ściągnęła brwi.

- Nie miałam przyjemności ich poznać.

- Rzadko przyjeżdżają do Londynu.

- No, tak, w każdym razie to dobrzy ludzie. Czego się uczyłaś?

Sophie się zawahała, niepewna, czy lady Bridgerton ją przesłuchuje czy naprawdę jest zainteresowana jej przeszłością.

Ee, zwykłych przedmiotów. Arytmetyki, literatury, historii, mitologii, francuskiego...

- Tak? Nauczyciele języków bywają bardzo drodzy.

- Guwernantka mówiła po francusku, więc nauka nic dodatkowo nie kosztowała.

- I jak twoje umiejętności?

Sophie nie zamierzała się przyznać, że kiedyś doskonale. Zresztą przez ostatnie lata trochę wyszła z wprawy.

Znośnie. Wystarczająco jak na francuską pokojówkę, jeśli takiej sobie pani *życzy*.

O, nie - powiedziała wicehrabina ze śmiechem. -Wiem, że w modzie jest zatrudnianie francuskich pokojówek, ale nie będę od ciebie wymagać, żebyś wykonywała obowiązki i jednocześnie pamiętała o odpowiednim akcencie.

- Dziękuję.

- Cóż... O, dzień dobry, Eloise. Co cię tu sprowadza?

W drzwiach stała dziewczyna o kasztanowatych włosach związanych na karku i wydatnych ustach.

- Benedict powiedział, że mamy nową pokojówkę.

- To jest Sophie Beckett. Właśnie sobie gawędziłyśmy. Myślę, że dojdziemy do porozumienia.

Eloise rzuciła na matkę podejrzliwe spojrzenie. Przynajmniej takie wrażenie odniosła Sophie.

- Mój brat twierdzi, że uratowałaś mu życie.

- Przesadza. Dziewczyna na nią też lypnęła z ukosa, jakby próbowała ocenić, czy nowa służąca żartuje sobie z jej brata. Po chwili uśmiechnęła się szeroko. - Mama ma rację. Na pewno świetnie się dogadamy. Sophie doszła do wniosku, że właśnie zdała jakiś sprawdzian.

- Poznałaś już Franceskę i Hyacinth? - zapytała Eloise.

-Jeszcze nie - odpowiedziała za nią wicehrabina. - Francesca wybrała się z wizytą do Daphne, a Hyacinth do Featheringtonów. Ona i Felicity ostatnio znowu są nierozłączne.

Eloise się zaśmiała.

- Biedna Penelope. Niedługo odpoczęła od mojej siostry. A już był taki spokój.

- Moją najmłodszą córkę najczęściej można zastać u jej najlepszej przyjaciółki Felicity Featherington -wyjaśniła lady Bridgerton. - Albo na odwrót.

Sophie z uśmiechem skinęła głową, zastanawiając się, dlaczego nowa pracodawczyni i jej córka dzielą się z nią ploteczkami. Nawet własna rodzina tak jej nie traktowała.

Bardzo dziwne.

Dziwne i cudowne.

I jednocześnie smutne, bo nie mogło trwać wiecznie.

A gdyby jednak została choć na trochę? Niedługo. Parę tygodni, miesiąc. Tyle, żeby uporządkować swoje myśli i sprawy. Poudawać, że jest kimś więcej niż służącą. Na pewno nie członkiem rodziny, ale może przyjaciółką.

- Coś się stało, Sophie? - zapytała lady Bridgerton. -Masz łzy w oczach.

- To tylko paproch - bąknęła i pospiesznie wzięła się za rozpakowywanie swoich rzeczy.

Nie wiedziała, co będzie dalej, ale ogarnęło ją dziwne przeczucie, że właśnie zaczyna nowe życie.

*Półowa męskich czytelników raczej nie będzie zainteresowana poniższymi doniesieniami, dlatego od razu może przejść do następnej części artykułu. Jeśli chodzi o damy, pisząca te słowa pierwsza je informuje, że rodzina Bridgertonów została ostatnio wciągnięta do wojny o służące, która przez cały sezon toczy się między Jady Penwood a panią Featherington. Otóż pokojówka sióstr Bridgerton zastąpiła dziewczynę, która uciekła z powrotem do Featheringtonów i o tym, jak hrabina Penwood zmusiła ją do czyszczenia trzystu par butów.*

*Skoro już mowa o Bridgertonach, wiadomo na pewno, że Benedict wrócił do Londynu. Podobno się rozchorował i dlatego musiał przedłużyć swój pobyt na wsi. Szkoda, że nie ma ciekawszego wyjaśnienia jego nieobecności (zwłaszcza że pisząca te słowa zarabia na życie sensacyjnymi historyjkami), ale niestety to cała tajemnica.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 14 maja 1817*

Następnego ranka Sophie poznała pięcioro z siedmiorga rodzeństwa Benedicta. Eloise, Francesca i Hyacinth mieszkały z matką, Anthony wpadł z synkiem

na śniadanie, a Daphne, obecnie księżna Hastings, została wezwana do pomocy przy organizowaniu balu, który Bridgertonowie zaplanowali na koniec sezonu.

Gregory uczył się w Eton, natomiast czwarty brat, według słów hrabiego, podziwiał się Bóg wie gdzie.

Właściwie Colina już spotkała przed dwoma laty na balu maskowym i choć wątpiła, czy by ją rozpoznał, poczuła ulgę na wieść, że nie ma go w mieście.

Nie zdziwiła się, kiedy Benedict też przyszedł na rodzinne śniadanie, ale gorzej, że kręcił się w holu, gdy szła do kuchni, żeby zjeść z resztą służby.

- Jak pierwsza noc przy Bruton Street sześć? - za pytał ze swobodnym uśmiechem.

- Doskonale - odparła Sophie, próbując go ominąć.

Niestety zastąpił jej drogę.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona - powiedział. Zrobiła krok w prawo.

- Byłam.

Benedict okręcił się płynnym ruchem i oparł o stolik, znowu zagradzając jej przejście.

- Ktoś już oprowadził cię po domu?

- Ochmistrzyni.

- A po terenie posiadłości?

- Nie ma żadnego terenu.

- Jest ogród.

- Wielkości banknotu funtowego.

- Niemniej...

- Niemniej jednak muszę zjeść śniadanie.

Usunął się szarmancko.

- Do następnego razu - szepnął.

Sophie miała przeczucie, że nie będzie długo czekać na ten następny raz.

Pół godziny później ostrożnie wyjrzała z kuchni, jakby się spodziewała, że zza rogu wyskoczy Benedict. Właściwie, sądząc po łomotaniu serca, była tego pewna.

Nie zobaczyła go jednak, więc ruszyła dalej, rozglądając się czujnie. Przecież mógł w każdej chwili zbiec po schodach.

W holu również się na niego nie natknęła.

Otworzyła usta i... czym prędzej ugryzła się w język, gdy sobie uświadomiła, że omal go nie zawołała.

- Głupia dziewczyna - skarciła się pod nosem.

- Kto jest głupi? Chyba nie ty.

Sophie aż podskoczyła.

- Skąd się pan tu wziął? - zapytała, z trudem łapiąc oddech.

Wskazał na otwarte drzwi.

- Stamtąd - odparł z niewinną miną.

- Więc czai się pan na mnie w zakamarkach?

- Oczywiście, że nie - powiedział z urazą. - To klatka schodowa.

No, tak, to były schody. Dla służby. Z pewnością zaden członek rodziny nie mógł tamtędy iść przypadkiem.

Często pan z niej korzysta? - spytała, krzyżując ramiona.

Przysunął się tak blisko, że ogarnął ją niepokój... i lekkie podniecenie, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

- Tylko wtedy, gdy chcę do kogoś się podkraść.

Spróbowała go wyminąć.

- Muszę iść do pracy.

- Teraz?



Zgrzytnęła zębami.  
- Tak, teraz.  
- Hyacinth je śniadanie. Chyba nie będziesz układać jej włosów przy stole.  
- Usługuję również Francesce i Eloise.  
Benedict uśmiechnął się nieznacznie.  
- Również są w jadalni. Naprawdę nie masz nic do roboty.  
- Widać, jak mało pan wie o zarabianiu na życie - odparowała. - Czekam na prasowanie, szycie, czyszczenie...  
- Każą ci czyścić srebro?  
- Buty! - prawie krzyknęła.  
- Aha. - Skrzyżował ramiona i oparł się o ścianę. - To strasznie nudne.  
- Owszem.  
Zamrugała szybko, usiłując powstrzymać łzy, które raptem napłynęły jej do oczu.  
- Możesz mieć inne życie, przecież wiesz.  
Znowu próbowała przejść.  
- Wolę, żeby było nudne.  
Bridgerton szerokim gestem pokazał, że droga wolna.  
- Skoro tego chcesz.  
- Tak. - Jej głos zabrzmiał bardzo niepewnie, więc powtórzyła: - Chcę.  
- Starasz się przekonać mnie czy samą siebie? - zapytał cicho Benedict.  
- Nie zamierzam odpowiadać na takie pytania - oświadczyła, nie patrząc mu w oczy.  
- W takim razie lepiej idź na górę. - Gdy się nie ruszyła, uniósł brew. - Na pewno masz dużo butów do wyczyszczenia.

Sophie pobiegła do schodów dla służby. Nie obejrzała się ani razu.

Następnym razem znalazł ją w ogrodzie, z którego wielkości bardzo trafnie zakpiła. Siostry Bridgerton pojechały z wizytą do sióstr Featherington, a lady Bridgerton udała się na drzemkę. Sophie przygotowała suknie na wieczorne przyjęcie, dobrała do nich wstążki i wyczyściła górę butów, chyba na cały tydzień.

Uporawszy się z pracą, postanowiła zrobić sobie krótką przerwę. Wicehrabina pozwoliła jej swobodnie korzystać z biblioteki, więc Sophie wzięła sobie nową powieść i zasiadła na małym patio. Przeczytała dopiero jeden rozdział, gdy nagle usłyszała kroki zbliżające się od strony domu, ale nie podniosła wzroku, póki nie padł na nią cień.

- Mieszka pan tutaj? - zapytała sucho.

Bridgerton opadł na krzesło obok niej.

- Nie, choć matka wciąż mi powtarza, żebym czuł się jak w domu.

Sophie bez słowa wsadziła nos w książkę.

Benedict położył nogi na małym stoliku.

- Co dzisiaj czytasz?

- Chciałabym, ale niestety nie mogę, kiedy pan tu siedzi - odparła, z trzaskiem zamykając książkę.

- Moja obecność tak mocno na ciebie działa?

- Raczej przeszkadza.

- To lepsze niż nuda.

- Lubię swoje nudne życie.

- Co oznacza, że nie znasz dreszczu emocji.

Sophie tak mocno ścisnęła książkę, że zbieleły jej kostki.

- Miałam w życiu dość emocji, zapewniam pana -rzuciła przez zęby.

- Chętnie zgłębiłbym ten temat, ale nie uznałaś za stosowne podzielić się ze mną swoją przeszłością.

- To nie było przeoczenie z mojej strony.

Benedict cmoknął z dezaprobatą.

- Co za wrogość!

- Porwał mnie pan...

- Nakłoniłem do przyjazdu. Czy rzeczywiście tak źle zrobiłem? Przecież lubisz moją rodzinę, prawda?

- Tak, ale...

- Wszyscy traktują cię dobrze?

- Tak, ale...

- Więc o co chodzi?

Sophie omal nie straciła panowania nad sobą. Miała ochotę chwycić go za ramiona i potrząsnąć z całej siły, ale w ostatniej chwili się zorientowała, że właśnie takiej reakcji oczekiwał. Prychnęła z lekceważeniem.

- Skoro sam pan nie rozumie, nie potrafię tego wy tłumaczyć.

Roześmiał się, łotr.

- Do licha, sprytny unik. Sophie otworzyła powieść.

- Czytam.

- W każdym razie próbujesz - mruknął. Przewróciła stronę, choć jeszcze nie przeczytała poprzedniej. W rzeczywistości usilnie starała się ignorować Benedicta.

- Trzymasz książkę do góry nogami - zauważył.

- Nieprawda! Uśmiechnął się chytrze.

- Ale na wszelki wypadek sprawdziłaś, co?

Sophie zerwała się z krzesła i oznajmiła:  
- Wracam do domu. Bridgerton też się podniósł.  
- I nie żal ci tego cudownego wiosennego powietrza?  
- Nie żal mi pańskiego towarzystwa - odparowała, choć jej uwagi nie umknął gest szacunku. Dżentelmeni raczej nie wstawali przy zwykłych służących. - Szkoda. Tak dobrze się bawiłem. Sophie zaskoczyło to, jak łatwo Benedict potrafi ją rozzłościć. Kochała go bardzo - odkąd przestała się okłamywać - ale jednym słowem potrafił sprawić, że cała się trzęsła. - Żegnam, panie Bridgerton. - Do zobaczenia. Zatrzymała się, poirytowana jego niedbałym tonem.  
- Sądziłem, że wracasz do domu - stwierdził z rozbawieniem w głosie.  
- Bo wracam.  
Przekrzywił głowę, ale nic nie powiedział. Nie musiał. Kpiący wyraz oczu mówił wystarczająco dużo.  
Sophie odwróciła się i ruszyła do drzwi, ale w połowie drogi usłyszała wołanie:  
- Twoja nowa suknia jest całkiem ładna.  
Przystanęła z westchnieniem. Dobre maniery nie pozwalały jej zlekceważyć komplementu. Obejrzała się przez ramię.  
- Dziękuję. To prezent od twojej matki. Kiedyś chyba należała do Franceski.  
- Benedict oparł się o pergolę.  
- Panie domu zwykle dają ubrania pokojówkom?  
- Tak, ale oczywiście używane.  
- Rozumiem.  
Sophie zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem, za-

stanawiając się, co, u licha, obchodzi Bridgertona jej strój.

- Nie idziesz do domu? - zapytał.

- Co pan knuje?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo inaczej nie byłby pan sobą.

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Przypuszczam, że to był komplement.

- Niezupełnie.

- Mimo wszystko dziękuję.

Nie była pewna, co odpowiedzieć, więc się nie odezwała.

Nie ruszyła się również z miejsca. Ostatnio jedno mówiła, a drugie robiła. W głębi serca tęskniła za tym mężczyzną, marzyła o wspólnym życiu.

Niepotrzebnie się na niego gniewała. Wprawdzie nie powinien zmuszać jej do przyjazdu do Londynu, ale nie mogła winić go za to, że zaproponował jej, by została jego kochanką. Inni mężczyźni z jego sfery postąpiliby tak samo. Nie żywiła złudzeń co do swojej pozycji. Jediną rzeczą, która różniła ją od innych służących, było dzieciństwo spędzone w luksusie. Wychowywana jako osoba szlachetnie urodzona, na zawsze utknęła pomiędzy dwoma światami i w żadnym nie miała swojego miejsca.

- Spoważniałaś - stwierdził Benedict cicho.

Sophie usłyszała jego uwagę, ale nie mogła otrząsnąć się z niewesołych myśli.

Bridgerton zrobił krok w jej stronę i wyciągnął rękę, ale zaraz ją cofnął. W tym momencie panna Beckett wydawała się bardzo nieprzystępna.

- Nie mogę znieść, kiedy jesteś taka przygnębiona - powiedział.

Zaskoczyły go własne słowa. Nie zamierzał nic mówić

- Nie jestem przygnębiona - odparła.  
Potrzęsła głową.  
- W twoich oczach widać smutek, który rzadko znika.  
Podniosła rękę, jakby chciała odpędzić tę melancholię.  
Benedict ujął jej dłoń.  
- Szkoda, że nie chcesz podzielić się ze mną swoimi sekretami.  
- Nie mam...  
- Masz więcej sekretów niż... - Urwał raptownie na wspomnienie tajemniczej damy z balu maskowego. -  
niż inne kobiety, które znam.  
Sophie uciekła wzrokiem.  
- A co jest złego w posiadaniu tajemnic?  
- Nic, póki cię nie zżerają - odparł tonem ostrzejszym, niż zamierzał. - Możesz zmienić swoje życie, chwycić szczęście, ale tego nie robisz.  
- Nie mogę - powiedziała z takim bólem w głosie, że ścisnęło mu się serce.  
- Bzdura! Po prostu nie chcesz- Nie dręcz mnie.  
W tym momencie coś w nim pękło. - Myślisz, że mnie nie jest ciężko? - wybuchnął.  
- Tego nie mówiłam!  
Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. -Ja płonę - wyszeptał jej do ucha. - Co noc, leżąc łóżku, myślę o tobie, zastanawiam się, dlaczego jesteś tutaj, a nie ze mną.  
- Nie chciałam...  
- Sama nie wiesz, czego chcesz.  
Wiedział, że jest niesprawiedliwy, ale przestał zważać na słowa. Sophie głęboko go zraniła, wybierając los służącej zamiast wspólnego życia. W dodatku musiał

co dzień ją widywać, co tylko podsycalo jego ządę.

Oczywiście sam sobie był winien. Gdyby pozwolił jej zostać na wsi, oszczędziłby sobie tortur. Uparł się jednak, wbrew rozsądkowi, żeby przyjechała z nim do Londynu. Bał się analizować swoje postępowanie, ale stwierdził, że bardzo mu zależy na jej losie, że nie kierują nim tylko egoistyczne pobudki.

Widział, że nie jest jej obojętny. Jeszcze nie całkiem rozumiała, co to znaczy pragnąć mężczyzny, ale mimo wszystko go pragnęła.

Sięgnął ustami do jej warg, przysięgając sobie, że jeśli napotka opór, natychmiast się wycofa, choć będzie to dla niego najtrudniejsza rzecz na świecie.

Nie odepchnęła go jednak, nie próbowała się wyrwać i uciec. Przeciwnie. Objęła go za szyję, wplotła palce w jego włosy, rozchyliła usta. Zaskoczyła go kompletnie, ale nie zamierzał odrywać się od jej warg, żeby spytać, skąd ta nagła zmiana.

Rozkoszował się chwilą. Nie był pewien, czy zdoła przekonać Sophie, żeby została jego kochanką, więc w pocałunek włożył całą duszę. Uciszył głos, który mu przypominał, że już kiedyś, tańcząc z pewną kobietą, próbował w jednej nocy zmieścić całe życie, choć nie wierzył jej, że już się nie zobaczą. Lecz ona naprawdę zniknęła i od tamtej pory nie poznał żadnej kobiety, z którą chciałby się zestarzeć.

Do czasu, aż spotkał pannę Beckett.

Wprawdzie nie mógł się z nią ożenić, ale postanowił, że zrobi wszystko, by jej nie stracić.

Czuł się jak w niebie, wdychając delikatny zapach jej włosów, pieszcząc miękką skórę. Urodził się po to, żeby trzymać ją w ramionach.

- Chodź do mnie - szepnął jej do ucha.

Sophie zeszywniała.

- Chodź ze mną - powtórzył.
- Nie mogę.
- Możesz.

Potrząsnęła głową, ale nie odsunęła się, więc wykorzystał moment i znowu przywarł wargami do jej ust. Sięgnął dłonią do jej piersi i ścisnął ją delikatnie, wstrzymując oddech. Zaprzagnął więcej, lecz znajdowali się w ogrodzie jego matki i w każdej chwili ktoś mógł ich nakryć. Przez niego Sophie straciłaby pracę.

Z drugiej strony, gdyby wszyscy ich zobaczyli, nie miałyby innego wyjścia, jak zostać jego kochanką.

Przecież właśnie tego pragnął.

Zaraz jednak odpędził tę myśl. Pechowo dla niego panna Beckett była osobą, która trzyma się zasad i wie, czego chce, ale między innymi dlatego tak mu na niej zależało.

Gdyby zhańbił ją publicznie, przed ludźmi, których podziwiała i szanowała, popełniłby niewybaczalną zbrodnię.

Odsunął się niechętnie. Wciąż jej pożądał, lecz nie zamierzał narażać na szwank jej reputacji. Jeśli do niego przyjdzie, zrobi to z własnej woli.

On może jedynie starać się o jej względy, nakłaniać...

- Coś się stało? - spytała zaskoczona.
- To nie jest odpowiednie miejsce.

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem i dopiero po chwili na jej twarzy odmalowało się przerażenie, oczy zognomniały, usta gwałtownie wciągnęły powietrze.

- O tym nie pomyślałam - wyszeptła, bardziej do siebie niż do niego.



- Wiem. - Uśmiechnął się krzywo. - Nienawidzą kiedy myślisz. Zawsze się to dla mnie źle kończy.

- Nie wolno nam już nigdy...

- Tutaj z pewnością.

- Miałam na myśli...

- Wszystko psujesz.

- Ale...

- Bądź taka miła i nie rozwiewaj moich nadziei.

- Ale...

Dotknął palcem jej ust.

- Sprawiasz mi zawód.

- Ale...

- Nie zasługuję na marzenia?

W końcu na jej drżących wargach pojawił się uśmiech.

- O, tak - powiedział Benedict. - Mniej więcej o to chodziło. Teraz sobie pójdę, a ty zostaniesz i będziesz się uśmiechać, bo twój smutek łamie mi serce.

- Nie będziesz mnie widział.

Dotknął jej podbródka.

- Ale będę czuł.

Oddalił się pospiesznie, zanim z jej twarzy zniknął wyraz oszołomienia i adoracji.

*U Featheringtonów odbyło się wczoraj małe przyjęcie i choć pisząca te słowa nie miała zaszczytu wziąć w nim udziału, może zapewnić, że było udane. Ród Bridgertonów reprezentowały trzy siostry. Niestety mimo zaproszeń nie zjawił się żaden z braci. Natomiast zawsze miły Nigel Berbrooke poświęcał wiele uwagi pannie Philippie Featherington.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 19 maja 1817*

Gdy minął tydzień, Sophie stwierdziła, że praca u Bridgertonów jest bardzo absorbująca. Jako pokojówka usługiwała trzem niezamężnym dziewczętom, więc jej dni były wypełnione układaniem włosów, szyciem, prasowaniem i czyszczeniem butów. Nie licząc chwil spędzanych w ogrodzie.

Lecz w przeciwieństwie do Penwood House, u Bridgertonów panowała radosna atmosfera i śmiech. Siostry oczywiście się przekomarzały, ale nigdy złośliwie, jak Rosamunda i Posy. Jeśli wicehrabina i jej córki piły popołudniową herbatę w gronie rodzinnym, zapraszały ją do towarzystwa. Sophie zwykle przynosiła koszyk z szyciem. Pracując, przysłuchiwała się pogawędkom, sączyła doskonały napój i pogryzała świeże ciasteczka.

Po kilku dniach poczuła się na tyle swobodnie, żeby czasem -włączyć się do rozmowy.

Podwieczorek stał się jej ulubioną porą dnia.

- Jak myślicie, gdzie jest Benedict? - zapytała kiedyś Eloise.

-Au!

Cztery głowy odwróciły się w stronę pokojówki. Pani domu zamarła z filiżanką podniesioną do ust.

- Nic ci się nie stało?

- Ukłułam się w palec.

Po wargach lady Bridgerton przemknął ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Mama mówiła ci tysiąc razy... - zaczęła czternastoletnia Hyacinth.

- Tysiąc razy? - przerwała jej Francesca.

- Sto razy, żebyś nie przynosiła szycia - poprawiła się dziewczynka, posyłając siostrze groźne spojrzenie.

- Miałabym wrażenie, że się lenię - odparła Sophie.

- Ja nie zamierzam przynosić swoich robótek -oznajmiła Hyacinth, nie pytana.

- I nie czujesz się leniem? - spytała Francesca.

- Ani trochę.

- Widzisz, Sophie, przez ciebie Hyacinth dręczą wyrzuty sumienia.

- Wcale nie!

- O ile sobie przypominam, już od lutego biedzisz się nad jakimś haftem - zauważyła matka.

- Pamięć zawsze mamie dopisuje - powiedziała Francesca do Sophie.

Hyacinth spiorunowała ją wzrokiem, a siostra uśmiechnęła się do niej znad filiżanki.

- Nikt nie odpowiedział na moje pytanie - przypo-

niała Eloise. - Gdzie Benedict? Nie widziałam go od wieków.

- Minał zaledwie tydzień od jego ostatniej wizyty - twierdziła lady Bridgerton.

-Au!

- Nie potrzebujesz naparstka? - spytała Hyacinth.

- Zwykle nie jestem aż taka niezdarna - bąknęła Sophie. Wicehrabina tym razem wyjątkowo długo popijała herbatę małymi łyżkami.

Sophie zacisnęła zęby i wróciła do szycia. Benedict nie zjawił się od ich pocałunku w ogrodzie. Już kilka razy przyłapała się na tym, że wygląda przez okna, nasłuchuje jego kroków albo głosu.

Sama nie wiedziała, czy jest zdruzgotana, czy czuje ulgę. Może jedno i drugie.

Westchnęła. Tak, zdecydowanie jedno i drugie.

- Mówiłaś coś, Sophie? - zapytała Eloise.

Pokręciła głową, obserwując, jak na pokłutym puszkach zbiera się kropla krwi.

- Gdzie on się podziewa?

- Benedict ma trzydzieści lat i nie musi nas o wszystkim powiadamiać - oświadczyła wicehrabina.

Eloise prychnęła.

- To wielka odmiana od zeszłego tygodnia, mamó.

- Co masz na myśli?

- „Gdzie ten Benedict?” - zaczęła ją przedrzeźniać córka. - „Jak śmiał wyjechać bez słowa? Zupełnie jakby zapadł się pod ziemię”.

- Wtedy była inna sytuacja.

- Jak to? - zdziwiła się Francesca.

- Powiedział, że wybiera się na przyjęcie do Cavenra, i nie wrócił, a teraz... Chwileczkę, dlaczego ja się mecze?

- Właśnie - mruknęła Sophie.  
Eloise, która siedziała obok niej, zakrzuszyła się herbatą. Francesca uderzyła siostrę w plecy.  
Sophie wbiła igłę w materiał, ale nie trafiła w obrebek sukni, którą podwijają. Eloise typnęła na nią z ukosa.  
Lady Bridgerton odchrząknęła.  
- Cóż, myślę... - Nagle umilkła i przekrzywiła głowę. - Ktoś jest w holu?  
Sophie stłumiła jęk i zerknęła na drzwi. Sądziła, że zobaczy w nich kamerdynera, który zawsze przy takich okazjach mierzył ją surowym wzrokiem. Nie pochwałał tego, że służąca pije herbatę z paniami, i choć nic na ten temat nie mówił, swoją dezaprobatę wyrażał spojrzeniem.  
Lecz tym razem zamiast Wickhama w progu stanął ktoś inny.  
- Benedict! - zawołała Eloise, zrywając się z krzesła. - Właśnie o tobie rozmawialiśmy.  
Bridgerton zerknął na pokojówkę.  
- Naprawdę?  
- Au!  
- Chyba muszę zabrać ci to szycie - stwierdziła lady Bridgerton z uśmiechem. - Jeszcze nam się wykrwawisz.  
Sophie wstała pospiesznie.  
- Pójdę po naparstek.  
- Nie wzięłaś go od razu? - zdziwiła się Hyacinth. -Ja nawet nie pomyślałabym o szyciu bez naparstka.  
- A ty kiedykolwiek myślisz o szyciu? - wtrąciła Francesca.  
Dziewczynka próbowała ją kopnąć i omal nie strąciła na podłogę talerza z ciasteczkami.

- Hyacinth! - skarciła ją matka.

Tymczasem Sophie starała się nie patrzeć na Benedicta. Przez cały tydzień miała nadzieję, że zobaczy go chociaż przelotnie, lecz teraz pragnęła jedynie uciec. Gdyby na niego spojrzała, niechybnie powędrowałaby wzrokiem ku jego ustom. I natychmiast wróciłaby myślami do pocałunku w ogrodzie. A gdyby zaczęła go rozpamiętywać...

- Idę po naparstek - oświadczyła.

- Zdaje się, że już to mówiłaś - zauważył Benedict, unosząc brew.

- Jest na dole. W moim pokoju.

- Twój pokój znajduje się na górze - przypomniała Hyacinth.

Sophie najchętniej by ją udusiła.

- Tak powiedziałam.

- Wcale nie.

- Owszem - powiedziała lady Bridgerton. - Sama słyszałam.

Sophie zerknęła na nią ze zdziwieniem.

- Muszę iść po naparstek - powtórzyła po raz kolejny i ruszyła do drzwi.

Bridgerton usunął się jej z drogi, ale szepnął:

- Tchórz.

Oblała się rumieńcem i popędziła w dół po schodach. Dopiero w połowie drogi uświadomiła sobie, że przecież miała iść do swojego pokoju. Niech to diabli! Nie chciała znowu przechodzić obok Benedicta. Pewnie nadal stał w progu i na jej widok wykrzywiłby kąciaki ust w lekko kpiącym, uwodzicielskim uśmiechu, który zawsze pozbawiał ją tchu.

Nie mogła zostać u Bridgertonów, skoro w obecności Benedicta miękły jej kolana. Przy nim gotowa

była zapomnieć o wszystkich swoich zasadach i przysięgach. Musiała odejść. Nie miała innego wyjścia.

Wielka szkoda, bo bardzo lubiła tę pracę. Panny Bridgerton traktowały ją jak ludzką istotę, a nie jak popychadło. Zadawały jej pytania i słuchały odpowiedzi.

Wiedziała, że nie jest i nigdy nie będzie jedna z nich, lecz przy nich niemal mogła udawać, że ma rodzinę, o której zawsze marzyła.

- Zabłądziłaś?

Na podeście, opierając się o ścianę, stał Benedict.

- Wychodzę.

- Kupić naparstek?

- Tak - rzuciła wyzywającym tonem.

- Nie potrzebujesz pieniędzy?

Gdyby powiedziała prawdę, wyszłaby na żalną idiotkę. Z kolei ucieczka byłaby tchórzostwem, ale...

- Muszę iść.

Przebiegła foyer, pchnęła ciężkie frontowe drzwi i zbiegła po marmurowych stopniach. Znalazłszy się na ulicy, skręciła w lewo. Bez żadnego szczególnego powodu, po prostu musiała gdzieś pójść. Nagle usłyszała znajomy głos.

Dobry Boże, Araminta!

Serce w niej zamarło. Przywarła do muru, wstrzymała oddech.

Co ona tutaj robi? Penwood House dzieliło od tego miejsca co najmniej osiem przecznic...

I wtedy sobie przypomniała. W jednym z egzemplarzy „Kroniki”, które wpadły jej w ręce, kiedy pracowała u Cavenderów, przeczytała, że nowy hrabia Penwood w końcu postanowił przejąć londyńską rezydencję. Araminta, Rosamunda i Posy musiały znaleźć sobie inny dom.

Obok Bridgertonów? Trudno o większy koszmar!

- Gdzie ta nieznośna dziewczyna?

Sophie zrobiło się żal biedaczki, która zastąpiła ją w roli niewolnicy lady Penwood.

- Posy! - zawołała hrabina, idąc do powozu.

Sophie natychmiast zrozumiała, co się stało po jej wyjeździe. Araminta zatrudniła nową pokojówkę, lecz nie mogła aż tak poniżyć ją i gnębić jak pasierbicę, więc na następną ofiarę upatrzyła sobie młodszą córkę, przysadzistą i nieładną.

W tym momencie Posy wypadła z domu, ale tuż za drzwiami przystanąła i schyliła się, żeby zawiązać sznurowadła.

- Pospiesz się! - krzyknęła Rosamunda, wystawiając głowę przez okno karocy.

- Idę!

Dziewczyna zbiegła po schodach, ale na ostatnim stopniu pośliznęła się i jak długa runęła na chodnik. Niewiele brakowało, żeby Sophie rzuciła się jej na pomoc. Na szczęście w porę się zreflektowała. Za nic w świecie nie chciała, żeby Araminta dowiedziała się o jej obecności w Londynie, i to w sąsiedztwie.

Posy dźwignęła się z ziemi i pokręciła szyją. Najpierw w prawo, potem w lewo i... Wytrzeszczyła oczy.

Już otwierała usta, ale Sophie rozpaczliwie potrząsnęła głową, śląc jej błagalne spojrzenie.

- Posy! - wrzasnęła hrabina z irytacją.

- Idę, mam! - odkrzyknęła córka.

Po chwili karoca ruszyła. Sophie oparła się o ścianę i stała bez ruchu przez całą wieczność.

Kiedy Sophie wybiegła z bawialni, Benedict nagle stracił zainteresowanie herbatą i rozmową.



- Zastanawiałam się, gdzie byłeś - powiedziała Eloise.

- Hm?

Benedict wyciągnął szyję, Żeby sprawdzić, czy ze swojego miejsca zobaczy ulicę.

- Właśnie się zastanawiałam...

- Nie wrzeszcz tak, Eloise - wtrąciła lady Bridgerton.

- Ale on nie słucha.

- Jeśli nie słucha, krzyk nie ściągnie jego uwagi.

- A trafienie herbatnikiem? - podsunęła Hyacinth.

- Ani się waż...

Lecz dziewczynka już wprowadziła swój zamiar w czyn. Brat uchylił się w ostatniej chwili i spojrział na ścianę, gdzie powstała plama, a następnie na dywan, gdzie ciastko wylądowało, o dziwo, w jednym kawałku.

- To chyba znak, żebym sobie poszedł - stwierdził, obdarzając siostrę szerokim uśmiechem.

- Dopiero przyszedłeś - zauważyła wicehrabina.

Benedict zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

Zwykle skarżyła się, że syn wpada do niej jak po ogień, ale tym razem w jej głosie nie było śladu rozczarowania.

Co oznaczało, że matka coś knuje.

- Mogę zostać - powiedział.

- O, nie! - rzuciła lady Bridgerton pospiesznie i uniosła pustą filiżankę do ust. - Nie będziemy cię zatrzymywać, skoro jesteś zajęty.

Benedict z trudem ukrył zaskoczenie. Ostatnim razem, kiedy oznajmił, że „jest zajęty, spytała: „Nie masz czasu dla matki?”

W pierwszym odruchu chciał oświadczyć, że jednak zostanie, ale w porę się zreflektował.

- W takim razie idę.

- Idź i baw się dobrze.

Czym prędzej wstał z krzesła, sięgnął po ciastko i rzucił nim w Hyacinth. Siostra złapała je z uśmiechem. Benedict uklonił się damom i ruszył do drzwi. Idąc korytarzem, usłyszał głos matki:

-Już myślałam, że nigdy nie wyjdzie.

Bardzo dziwne, doprawdy.

Zbiegł po schodach i przeciął hol. Jeśli Sophie rzeczywiście wybrała się na zakupy, mogła pójść tylko w jedną stronę. Skręcił w prawo i po trzech krokach zobaczył ją przyciśniętą do muru. "Wyglądała, jakby i zobaczyła ducha. - Sophie? Dobrze się czujesz? Drgnęła na jego widok.

- Cała się trzęsiesz - stwierdził. - Powiedz, co się stało. Ktoś cię zdenerwował?

- Nie - odparła niepewnym głosem. -Ja tylko... Potknęłam się na schodach i po prostu się przestraszyłam. - Uśmiechnęła się słabo. - Na pewno znasz to wrażenie.

Benedict skinął głową, ale to nie znaczyło, że jej uwierzył. - Chodź ze mną.

Gdy podniosła na niego spojrzenie i zobaczył wyraz jej zielonych oczu, ścisnęło mu się serce.

- Dokąd? - szepnęła.

- Gdziekolwiek.

-Ja-

- Mieszkam pięć kamienic dalej.

- Naprawdę? Nie wiedziałam.

- Obiecuję, że twoja cnota nie będzie zagrożona. -I nie mógł się powstrzymać, żeby nie dodać: - Chyba że zmienisz zdanie.

Była oszołomiona, więc nie zaprotestowała, kiedy wziął ją pod ramię i ruszył do swojego domu.

Gdy usiedli w salonie, chciał ją spytać, co naprawdę się stało, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. I tak by nie odpowiedziała, a w dodatku całkiem zamknęłaby się w sobie. Tak więc przybrał obojętną minę i zagaił rozmowę:

- Jak podoba ci się praca u mojej matki i sióstr?
- Są wyjątkowo miłe - odparła.
- Miłe? Mnie doprowadzają do szalu.
- Ja bardzo je polubiłam.

Benedict uśmiechnął się na te słowa, ale zaraz spoważniał, bo zrozumiał, że im bardziej Sophie przywiąże się do jego rodziny, tym mniej będzie skłonna okryć się hańbą w ich oczach, zostając jego kochanką.

Do diabła! Chyba popełnił błąd, przywożąc ją do Londynu. Dlaczego nie zmusił jej do zrobienia czegoś, co pchnęłoby ją w jego ramiona?

- Powinieneś dziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie - rzekła Sophie silniejszym głosem. - Ja oddałabym wszystko...

- Za co? - spytał Benedict, zaskoczony własną niecierpliwością.

W zadumie spojrzała za okno.

- Zeby mieć rodzinę taką jak twoja.

- Nie masz nikogo - stwierdził raczej, niż zapytał, i czym prędzej dodał lekkim tonem: - Czasami nie jest łatwo być jednym z Bridgertonów.

Odwróciła głowę.

- Co masz na myśli?

Nagle zapragnął podzielić się z nią uczuciami, o których nie mówił nikomu, nawet - a może zwłaszcza - rodzinie.

- Dla ludzi nie jestem Benedictem, Benem, zamoż

nym i chyba inteligentnym dżentelmenem, tylko po prostu Bridgertonem. A właściwie Numerem Dwa. Usta Sophie zadrgały, a następnie rozciągnęły się w uśmiechu.

- Jesteś przede wszystkim sobą.
- Większość ludzi tak nie uważa.
- Większość ludzi to głupcy. Roześmiał się na widok marsowej miny.
- Tym razem nie zaprzeczę.
- Różnisz się od pozostałych Bridgertonów - stwierdziła nieoczekiwanie.

-Jak to? - zapytał, unikając jej wzroku. Nie chciał, by zobaczyła, że w napięciu czeka na odpowiedź.

- Cóż, twój brat Anthony... Jako najstarszy czuje się odpowiedzialny za rodzinę, w przeciwieństwie do ciebie.

- Zaczekaj...

- Nie przerywaj. Nie powiedziałam, że ich nie kochasz albo że nie zrobiłbyś dla nich wszystkiego. Ale gdyby któreś z rodzeństwa było nieszczęśliwe, twój brat chyba uznałby to za swoją klęskę.

- Ile razy widziałaś Anthony'ego?

- Tylko raz, ale to mi wystarczyło. Jeśli chodzi o twojego młodszego brata Colina... cóż, nie spotkałam go, ale dużo o nim słyszałam...

- Od kogo?

- Od wszystkich. Nie wspominając o „Kronice towarzyskiej lady Whistledown”, którą, muszę się przyznać, czytuję od lat.

- Więc sporo o mnie wiedziałaś, zanim się poznaliśmy.

Skinęła głową.

- Tak, ale lady Whistledown nie jest wszechwiedząca.

- Powiedz mi, co widzisz? - zapytał, kładąc rękę na jej dłoni.

Sophie popatrzyła w jego ciemnobrązowe oczy i zobaczyła w nich coś, czego się nie spodziewała: wrażliwość i podatność na zranienie.

Temu silnemu i pewnemu siebie mężczyźnie wyraźnie zależało na jej opinii, aprobacie. Może na niej samej.

Palcem wskazującym zaczęła kreślić kółka na jego rękawicze.

- Nie jesteś taki, na jakiego starasz się wyglądać - zaczęła ostrożnie. - Lubisz uchodzić za ironicznego i dowcipnego światowca, ale pod tą pozą kryje się coś więcej. Dbasz o najbliższych i nawet o mnie, choć Bóg wie, że wcale na to nie zasługuję.

- Bardziej niż ktokolwiek. - Uniósł jej dłoń i pocałował ją z żarem.

- I... - Trudno jej było mówić, kiedy wpatrywał się w nią płonącym wzrokiem.

- I co? - wyszeptał.

- Twój charakter to w dużej mierze zasługa rodziny. Otoczony miłością, musiałeś wyrosnąć na dobrego człowieka. Ale jesteś nie tylko czyimś synem czy bratem, lecz przede wszystkim sobą.

Benedict chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów, więc tylko patrzył na nią w milczeniu.

- Masz duszę artysty - dodała Sophie.

-Nie.

- Tak. Widziałam twoje rysunki. Są doskonałe. Przekonałam się o tym, kiedy poznałam twoją rodzinę. Świetnie oddałeś chytry uśmieszek Franceski i psotność Hyacinth.

- Nikomu nie pokazywałem swoich prac.

-Chyba nie mówisz poważnie.

- Naprawdę.

- Przecież są znakomite. Twoja matka na pewno byłaby zachwycona.

- Nie wiem, dlaczego, ale nigdy nic chciałem się nimi dzielić - wyjaśnił z niepewną miną. - Podzieliłeś się ze mną. - I nie żałuję. I nagle pojął, że ją kocha.

Nie dlatego, że była pod ręką. Mógł mieć wiele kobiet na jedno skinienie. Sophie wprawiała go w dobry nastrój, on też lubił ją rozweselać. Pragnął jej jak szalenie, ale kiedy udawało mu się powściągnąć żądze... Czuł zadowolenie.

Dziwne, ale ta kobieta potrafiła go uszczęśliwić samą swoją obecnością. Nie musiał jej widzieć, słyszeć głosu ani nawet czuć zapachu. Wystarczyła mu świadomość, że ona istnieje.

Jeśli to nie była miłość, to nie wiedział, co nią jest.

Spojrzał w jej oczy i zobaczył, że zmieniły kolor : na jaśniejszy, usta rozchyliły się i złagodniały.

Musiał ją pocałować.

Łaknął jej jak powietrza.

Tu i teraz.

*Pisząca te słowa wie z najlepszego źródła, że dwa dni temu na podwieczorku u Gunterów lady Penwood dostała w głowę herbatnikiem.*

*Nie wiadomo, kto nim rzucił, ale poszlaki wskazują na najmłodszych gości: pannę Felicity Featherington i pannę Hyacinth Bridgerton.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 21 maja 1817*

Sophie zakręciło się w głowie. Benedict drażnił wargami jej usta, muskał je, skubał delikatnie, pieścił, wznecając w niej płomień i potrzebę odwzajemnienia miłości.

Wyszeptał jej imię, ale tak szumiało jej w uszach, że ledwo je usłyszała. Jak w ogóle mogła myśleć, że potrafi mu się oprzeć, że zdoła poskromić namiętność.

- Sophie, Sophie - powtarzał, wodząc ustami po jej policzku, szyi, uchu.

Mimo przysięg nie protestowała, gdy zaczął rozpinać guziki sukni. A kiedy zsunął jej gorset z ramion i obnażył ją bezwstydnie, wygięła plecy w łuk, ofiarując siebie jak zakazany owoc.

Benedictowi zapało dech na jej widok. Tyle razy

wyobrażał sobie tę chwilę, śnił o niej co noc, ale rzeczywistość przerosła marzenia.

-Jesteś piękna - szepnął, choć słowa nie były w stanie opisać tego, co czuł.

Gdy drżącą ręką objął krągłą pierś, z jego gardła wyrwał się drżący jęk. Pożądanie wręcz odebrało mu mowę. I zdolność myślenia.

Nie pojmował, jak to możliwe, że Sophie, jeszcze niedawno prawie obca, raptem tyle zaczęła dla niego znaczyć. Lecz miłość nie spadła na niego jak grom jasnego nieba, tylko z wolna, niepostrzeżenie obejmowała nad nim władzę, aż nagle sobie uświadomił, że bez niej jego życie nie ma sensu.

Wziął ją pod brodę i uniół jej twarz. Zielone oczy jarzyły się wewnętrznym blaskiem, lśniły od nieprzelanych łez, wargi drżały. Benedict zrozumiał, że Sop hie jest równie przejęta jak on.

Nachylił się wolno, żeby dać jej czas na oprzytomnienie. Wiedział, że odmowa go zabije, ale jeszcze gorzej byłoby wysłuchiwać jej żalów następnego ranka. Ale ona nie cofnęła się, tylko zamknęła oczy i lekko przechyliła głowę, zapraszając go do pocałunku. Ciekawe, że za każdym kolejnym razem jej usta wydawały się coraz słodsze, zapach bardziej zniewalający. Resztkami silnej woli hamował się, żeby nie zedrzeć z niej ubrania.

Na wszystko przyjdzie czas, pomyślał ze skrywanym uśmiechem, jej pierwszy raz powinien być delikatny i pełen czułości, lepszy niż w marzeniach. No, niezupełnie. O połowie rzeczy, które zamierzał z nią zrobić, nawet jej się nie śniło. - Z czego się śmiejesz? - zapytała. Odsunął się i ujął w dłoń jej twarz.



- Skąd wiedziałaś?

- Poczułam.

Przesuną! opuszkiem po jej nabrzmiątych wargach

- Ty sprawiasz, że się uśmiecham. O ile nie doprowadzasz mnie do krzyku.

Wziął jej dłoń, powiódł smukłym palcem po swoich ustach, połaskotał go zębami i językiem.

Sophie głośno wciągnęła powietrze.

Chciał ją zapytać, co czuje, ale bał się, że kiedy zacznie myśleć, oprzytomnieje i ucieknie. Dlatego zamiast pytaniami wołał zasypać ją pocałunkami.

Kładąc ją na sofie, powtarzał jej imię jak modlitwę.

- Pragnę cię. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Jedyną odpowiedzią był zduszony dźwięk, który podzielał na niego jak oliwa dolana do ognia. Sunąc ustami po jej szyi i dekolcie, niemal wypalał ślad na jedwabistej skórze. Zatrzymał się dopiero na łagodnej wypukłości piersi. Uniósł głowę i spostrzegł, że jej oczy są zamglone pożądaniem. Było dużo lepiej niż w marzeniach.

Z głuchym pomrukiem chwycił wargami różową brodawkę. Sophie jęknęła cicho i napięła mięśnie.

- Cii, pozwól mi...

- Ale...

Zamknął jej usta dłonią, może ciut za mocno, bo z coraz większym trudem nad sobą panował.

- Nie myśl, tylko zdaj się na mnie.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, ale kiedy zajął się drugą piersią, opadła na poduszki.

- Podoba ci się to? Tylko

skinęła głową.

- A to?

Powtórzyła gest. Oddychała płytko i szybko.

- A to?

Zsunął niżej jej suknię, przesunął językiem po nagim brzuchu aż do pępka. Tym razem nie zdobyła się nawet na kiwnięcie. Dobry Boże, leżała przed nim prawie naga, a była w stanie jedynie wzdychać i błagać o więcej.

- Pragnę cię - wyszeptwała.

- Wiem - powiedział, nie odrywając ust od jej ciała. W

Sophie narastało coś bardzo dziwnego, zupełnie

jakby po dwudziestu dwóch latach wreszcie miała ożyć.

Rozpięła płócienną koszulę Benedieta i wyciągnęła ją ze spodni. Mięśnie jego obnażonych pleców zadrgały pod jej dotykiem. Ośmielona tą reakcją, zaczęła pieścić jego szerokie ramiona.

To diabelstwo tylko przeszkadza - mruknął Benedict.

Ściągnął z siebie koszulę i cisnął ją przez pokój. Sophie tylko przez moment widziała jego tors, zanim znowu nakrył ją własnym ciałem. Choć było twarde i umięśnione, jego skóra okazała się miękka i ciepła, pachniała drzewem sandałowym i mydłem. Gdy zaczął muskać wargami jej szyję, sięgnęła do jego gęstych włosów.

Och, Benedikcie. Jest cudownie. Nie wyobrażam sobie niczego lepszego.

Gdy podniósł głowę, jego oczy błyszczwały, po ustach błąkał się swawolny uśmiech.

- Tylko poczekaj - powiedział.

- Ale... Och! Pisnęła, kiedy zsuł jej buty i zaczął sunąć dłońią po nodze.

A to sobie wyobrażałaś? - zapytał, muskając skórę pod kolanem.

Gwałtownie potrząsnęła głową.  
- Naprawdę? Więc na pewno tego również sobie nie wyobrażałaś.  
Zdjął jej podwiązki.  
- Och, Benedykcie, nie powinieneś...  
- Ale muszę. Naprawdę muszę.  
Bardzo wolno ściągnął pończochy i cisnął je nad głowę. Pofrunęły przez pokój, po czym jedna wyladowała na lampie, druga na dywanie. Benedict przesunął obiema rękami po jej nogach, aż dotarł do ud.  
- Przypuszczam, że tutaj nikt cię nie dotykał.  
Sophie pokręciła głową.  
- Zaryzykuję twierdzenie, że nawet sobie tego nie wyobrażałaś.  
Powtórzyła gest.  
- I tego... - Wygięła się w łuk. - W takim razie jestem pewien, że o tym ci się nawet nie śniło.  
- Och, nie! Nie możesz...  
- Mogę. Zapewniam cię, że mogę.  
- Ale... Ochchch.  
Całkiem straciła zdolność myślenia. No, niezupełnie. Wiedziała, że zachowują się bardzo niegrzecznie, ale wcale nie chciała przestać.  
- Co robisz? - wykrztusiła.  
- Wszystko. Co tylko zapragniesz.  
- Ja... Och!  
- Podoba ci się to? - zamruczał z ustami na jej policzku.  
- Sama nie wiem, czego pragnę.  
-- Ja wiem. - Skubnął płatek jej ucha. - Zaufaj mi Zdała się na niego całkowicie i uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu zamierza zrobić coś dzikiego, szalonego, zupełnie niezgodnego z jej charakterem.

Benedict chyba czytał w jej myślach, bo odsunął się i spojrzał na nią z powagą.

- Powiedz, jeśli mam przestać. Nie za dziesięć minut ani nawet za jedną, lecz teraz.

Poruszona jego delikatnością zdołała jedynie wyszeptać:

- Proszę.

Benedict w jednej chwili zmienił się z łagodnego i kochanka w mężczyznę ogarniętego żądzą. Nim Sophie się zorientowała, rzucił suknię na dywan obok pończochy. Potem sam zaczął się rozbierać, ale nie przestawał jej pieścić. Wszędzie czuła jego dłonie.

Gdy w końcu pozbył się ubrań, przez chwilę sycił wzrok jej widokiem. Płonął z pożądania, ale starał się nad sobą panować. Jej pierwszy raz musiał być doskonały.

A jeśli nie doskonały, to przynajmniej piękny.

Wsunął rękę pomiędzy ich ciała i uśmiechnął się z satysfakcją, gdy Sophie wyprężyła się pod nim.

- To było bardzo... - Głos miała zachrypnięty, odychała ciężko. - Bardzo...

- Dziwne?

Skinęła głową.

- Przyzwyczaisz się. W każdym razie taki mam plan. W

Sophie narastało dziwne napięcie, jakby coś dogmagalo się uwolnienia, ale jednocześnie czuła się cudownie.

- Och, Benedikcie - westchnęła. - Ukochany.

Zamarł na moment, ale nic nie powiedział, tylko umieścił się między jej udami.

Zesztywniała.

- Nie bój się - powiedział łagodnie, jak zwykle czytając w jej myślach.

- Ale...
- Zaufaj mi.

Poczuła, że wchodzi w nią powoli, ale nie było to nieprzyjemne doznanie...

Benedict dotknął jej policzka.

- Wyglądasz bardzo poważnie.
- Próbuję określić swoje wrażenie.
- jeśli jesteś w stanie się nad tym zastanawiać, znaczy, że nie spisuję się najlepiej.

Spojrzała na niego zaskoczona i zobaczyła, że kącki jego ust wykrzywia charakterystyczny uśmiezek.

- Przestań myśleć - wyszeptał.
- Ale... Och!

Wygięła się pod nim w łuk, a Benedict ukrył twarz na jej szyi, żeby nie zobaczyła jego rozbawionej miny. Nie chciał, żeby analizowała własne odczucia w chwili, kiedy powinny rządzić zmysły.

Wsunął się w nią głębiej i uniósł głowę. Widok na zapłonionej twarzy i szklistych oczu rozpałił go jeszcze bardziej.

- To może zabołec - uprzedził.
- Nie szkodzi. Pragnę cię.

Pocałował ją z żarem i jednocześnie pchnął mocniej biodrami. Poczul, że nieruchomieje pod nim, i zacisnął zęby, żeby nie eksplodować w tej sekundzie, zupełnie jak szesnastolatek, a nie doświadczony trzydziestoletni mężczyzna.

Żadna inna kobieta tak na niego nie działała. Tylko ona.

Walcząc z pierwotnymi instynktami, zaczął się wolno poruszać, szepcząc jej imię. Musiał pamiętać, że tym razem chodzi nie o niego, lecz o nią.

Powinno być doskonałe. Chciał, żeby go pokochała.

Sophie wiała się pod nim, błędząc rękami po jego włosach, plecach, ramionach. Jej żywa reakcja sprawiła, że ledwo się hamował. Wiedział, że już długo nie wytrzyma. Nie był dość silny. Ani szlachetny. Ani...

- Ochchch!

Wygięła się w łuk, wstrząsana spazmami, wpiła palące w jego barki, rozorała paznokciami skórę, ale nie dbał o to. Nareszcie mógł...

- Achchch!

Wypreżył się, zadrżał gwałtownie i opadł na nią bez sił, niezdolny do poruszenia choć jednym mięśniem, niepomny na to, że przygniata ją własnym ciężarem. Chciał powiedzieć, że było wspaniale, ale nie zdołał nawet otworzyć oczu, a co dopiero wydobyć z siebie głos. Czułe słowa musiały trochę zaczekać.

- Benedykcie? Ścisnął jej rękę, dając w ten sposób znak, że ją usłyszał.

- Zawsze tak jest?

Pokręcił głową i musnął wargami jej ucho, bo tylko tam sięgnął. Nie, nie zawsze tak było. Marzył o tej chwili wiele razy, ale rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania.

Mimo niewygody chyba zasnęła, bo obudził ją chłód, gdy Benedict wstał. Szybko okrył kocem jej nagość. Sophie uśmiechnęła się sploniona. Nie żeby żalowała tego, co zrobiła, lecz była trochę zakłopotana. A on zachował się wyjątkowo delikatnie, choć sam najwyraźniej nie podzielał jej skrępowania. Nawet nie próbując się załonić, przeszedł przez pokój i zebrał rozrzucone ubrania. Gdy spostrzegł, że mu się przygląda, posłał jej ciepły uśmiech. Boże, jakże go kochała!

- Jak się czujesz? - spytał.  
- Dobrze. Świetnie. Cudownie.  
- Poślę kogoś po twoje rzeczy.  
Sophie wytrzeszczyła oczy.  
- Co masz na myśli?  
- Nie martw się. Zadbam o dyskrecję. Wiem, że sytuacja może być dla ciebie kłopotliwa, teraz kiedy znasz moją rodzinę.

Sophie szczelniej otuliła się kocem, nagle ogarnięta wstydem. Złamała przysięgi, więc Benedict uznał, że zostanie jego kochanką. I nic dziwnego, że tak pomyślał.

- Nie wysyłaj nikogo -- poprosiła cicho. Spojrzał na nią zaskoczony.  
- Wolisz pójść sama?  
- Wolę, żeby moje rzeczy zostały tam, gdzie są - odparła.

Nie umiała oświadczyć mu wprost, że nie zostanie jego kochanką. Jeden raz jakoś sobie wybaczy a w przyszłości nawet będzie pielęgnować wspomnienie. Ale życie z mężczyzną bez ślubu... Spojrzała z lękiem na swój brzuch.

- Co próbujesz mi powiedzieć? - zapytał Benedict, przewiercając ją wzrokiem.

Do licha! Nie pozwoli jej tak łatwo się zbyć.

- Nie mogę być twoją kochanką.  
- A jak określisz to, co właśnie zrobiliśmy?  
- Chwilowym zapomnieniem - odparła, unikając jego spojrzenia.

- Bardzo mi miło. Takiego komplementu jeszcze nie słyszałem.

- Wiesz, że nie o to mi chodziło.

- Tak? Szczerze mówiąc, moja droga, nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Nie powinnam była...

Zar, który zapłonął w jego oczach, przeczył chłodnemu uśmiechowi błakającemu się na ustach. - Nie powinnaś? To brzmi jeszcze lepiej niż chwilowe zapomnienie.

- Nie musisz tak się zachowywać.

Przekrzywił głowę, jakby zastanawiał się nad jej słowami.

- A jak się zachowuję? Sądziłem, że przyjaźnie i wyrozumiale. Nie krzyczę, nie dramatyzuję...

- Wolę krzyk niż zimną ironię.

Rzucił jej suknię, wcale nie delikatnie.

- Nie zawsze dostajemy to, co chcemy, prawda, panno Beckett? Mogę to potwierdzić.

Schowała się pod koc i zaczęła ubierać.

-Jeśli ci się uda, dokonasz wielkiej sztuki - stwierdził pobłażliwym tonem.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Nie oczekuję przeprosin.

- Co za ulga! Nie znajduję słów.

- Nie bądź sarkastyczny.

Uśmiechnął się kpiąco.

- Nie możesz niczego ode mnie oczekiwać.

- Benedykcje...

- Oprócz tego, że się do ciebie przyłączę, co chętnie zrobię.

Sophie milczała.

- Wiesz, jak to jest zostać odtrąconym? - zapytał, łagodniejąc. - Ile razy jeszcze mam próbować?

- Ja naprawdę...

- Przestań, dość wymówek. Gdybyś chciała, byłabyś ze mną. Jeśli nie, powiedz to wprost.

- Nic nie rozumiesz. Ty zawsze mogłeś robić to,



co chciałeś. Niektórzy z nas są pozbawieni tego luksusu.

- Ależ ze mnie głupiec! Sądziłem, że proponuje jej luksus.

- Luksus bycia twoją kochanką - stwierdziła z goryczą.

Benedict wykrzywił usta w lekkim grymasie.

- Nie musiałabyś robić nic innego oprócz tego, co już zrobiłaś.

- Dałam się ponieść namiętności - odparła bez urazy; zasłużyła na ten przytyk. - Popelniłam błąd, lecz to nie oznacza, że mam go powtórzyć.

- Mogę ci zapewnić lepsze życie.

Potrząsnęła głową.

- Nie będę twoją kochanką. Niczyją.

- Wiesz, że nie mogę się z tobą ożenić.

- Oczywiście. Jestem służącą, ale nie idiotką. Benedict przez chwile próbował postawić się w jej sytuacji.

- Byłoby ci trudno, nawet gdybym cię poślubił. Nigdy nie zostałabyś zaakceptowana w towarzystwie. Ludzie z wyższych sfer są zdolni do okrucieństwa.

Sophie zaśmiała się głucho.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Wiec dlaczego...

- Wyświadczyć mi przysługę i znajdź kobietę, która uczyni ci szczęśliwym - przerwała mu, odwracając twarz. - Ożeń się i zostaw mnie w spokoju.

W tym momencie przypomniała mu się dama z balu maskowego. Ona pochodziła z jego świata, z jego klasy. Patrząc na Sophie skuloną na kanapie, uświadomił sobie, że to nie ją miał przed oczami, gdy rozmyślał o przyszłości. Kiedy wyobrażał sobie żonę i dzieci.

Przez, ostatnie dwa lata zerkał na każde drzwi, oczekując, że do pokoju wejdzie kobieta w srebrnej sukni. Nie mógł uwolnić się od fantazji, w których oboje składali sobie przysięgę małżeńską, a potem żyli długo i szczęśliwie. Beształ się w duchu za ten sentymentalizm, niegodny mężczyzny o jego reputacji, zaraz jednak tłumaczył sobie, że człowiek, który dorasta w licznej i kochającej się rodzinie, pragnie założyć taką samą.

Lecz dama z balu maskowego pozostała tylko mirażem. Nie znał nawet jej imienia. A Sophie była realna i znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Nie mógł się z nią ożenić, co nie znaczyło, że są skazani na rozłąkę. Wspólne życie wymagałoby kompromisu, przede wszystkim z jej strony, ale...

- Sophie, wiem, że sytuacja nie jest idealna...
- Istotnie.
- Gdybyś mnie wysłuchała...
- Nic nie mów, proszę.
- Ale...
- Przestań!

Nie zamierzał się poddać. Kochał ją i musiał przekonać.

- Sophie, wiem, że się zgodzisz, jeśli...
- Nie urodzę nieślubnego dziecka! - krzyknęła, zrywając się z kanapy. - Kocham cię, ale tego nie zrobię.

Nigdy!

Zerknął na jej brzuch.

- Możliwe, że jest za późno.
- Dlatego już się boję - powiedziała cicho.
- Ze strachem zwykle łączy się żal.

Odwróciła wzrok.

- Nie żałuję tego, co zrobiliśmy. Powinam, ale nie potrafię.

Patrzył na nią bez słowa, na próżno usiłując ją zrozumieć. Jak mogła mówić, że go kocha? Ból przez to był jeszcze silniejszy.

-Nie będę więcej kusić losu - dodała.

- Na razie kusisz tylko mnie - powiedział, nienawidząc się za sarkastyczny ton.

Sophie otuliła się kocem i utkwiała puste spojrzenie w malowidło wiszącym na ścianie. -Zachowam piękne wspomnienie. Ono nie ogrzeje cię w nocy.

- Nie, ale przynajmniej będę miała o czym marzyć odparła ze smutkiem.

-Jesteś tchórzem, bo wolisz snuć marzenia zamiast dążyć do ich spełnienia. Odwróciła się.

- Nie. Jestem bękartem. I nie mów, że cię to nie obchodzi. Najważniejsze, obchodzi innych. Nie było dnia, żeby mi nie przypomniano o moim pochodzeniu

- Sophie...

- Własne dziecko kochałabym nad życie - powiedziała łamiącym się głosem. - Jak mogłabym je skrzywdzić, tak jak mnie skrzywdzono? Narazić na takie samo cierpienie?

- Odrzuciłabyś swoje dziecko?

- Oczywiście, że nie!

- Ja też nie, więc nie cierpiałyby tak jak ty.

- Nie rozumiesz.

- Mam rację, zakładając, że rodzice się ciebie wyrzekli? Uśmiechnęła się z ironią.

- Niezupełnie. Raczej ignorowali. Podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

- Nie musisz powtarzać ich błędów.

Nie odwzajemniła uścisku, ale nie próbowała się wyrwać z jego objęć.

- Wiem - rzekła ze smutkiem. - dlatego nie moje zostać twoją kochanką. Nie powtórzę losu mojej matki.

- Nie...

- Podobno bystry człowiek uczy się na swoich błędach, ale naprawdę mądry na cudzych. - Odsunęła się i spojrzała mu w oczy. - Chciałabym uważać się za mądrą osobę.

W jej wzroku malował się taki ból i rozpacz, że Benedict aż się cofnął o krok.

- Muszę się ubrać - stwierdziła. - Chyba powinien nieś zostawić mnie samą.

Patrzył na nią przez chwilę.

- Mógłbym cię skłonić do zmiany decyzji. Pocałowałbym cię, a ty...

- Nie zrobisz tego. Nie jesteś taki.

- Jestem.

- Wtedy byś się znienawidził.

Nic nie odpowiedział, tylko wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Sophie opadła na kanapę i zalała się łzami.

*Minione dwa tygodnie były ciężkie dla panien na wydaniu i ich mam. W tym sezonie grono kawalerów jest nieliczne, jako że dwaj najbardziej pożądani, diak Ashbourne i ksiązę Macclstield, zostali usidleni w zeszłym roku.*

*Co gorsza, dwaj nieżonaci Bridgertonowie (nielicząc Gregory'ego, który ma dopiero szesnaście lat i nie może pospieszyć na ratunek biednym młodym damom) rzadko się ostatnio pokazują, Colin wyjechał z miasta, prawdopodobnie do Walii lub Szkocji, choć nie wiadomo, co można tam robić w środku sezonu. Benedict jest jeszcze bardziej tajemniczy. W prawdzie-, przebywa w Londynie, ale unika wszelkich spotkań towarzyskich na rzecz innych rozrywek.*

*Prawdę mówiąc, pisząca te słowa nie sądzi, żeby pan Bridgerton oddawał się rozpuście. Jeśli pogłoski są prawdziwe, dnie i noce spędza głównie w swym apartamencie przy Bruton Street.*

*Ponieważ nie słyhać, żeby był chory, pisząca te słowa przypuszcza, że uznał londyński sezon za wyjątkowo nudny i nie warty jego czasu.*

*Mądry człowiek.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 9 czerwca 1817*

Sophie nie widziała Benedicta przez całe dwa tygodnie. Nie wiedziała, czy ma być zadowolona czy rozczarowana. Nie wiedziała, czy jest zadowolona czy rozczarowana. Nie wiedziała nic. Nawet siebie nie poznawała.

Jednego tylko była pewna: że powzięła właściwą decyzję, odrzucając jego propozycje, choć go kochała. Tyle wycierpiała przez nieślubne pochodzenie, że nie chciała na taki sam los skazać żadnego dziecka, Zwłaszcza swojego.

Nieprawda. Raz zaryzykowała, ale przeżycie okazało się tak cudowne, że niczego nie żałowała.

Więc dlaczego pękało jej serce? Każdego dnia po trochu. A co noc płaczem kołysała się do snu, tęskniąc za Benedictem.

W dodatku bała się opuszczać dom. Nie żeby nie ufała Posy. Wiedziała, że dziewczyna nie złamie obietnicy, jeśli za taką można uznać jej kiwnięcie głową, lecz zawsze mogło się jej coś wymknąć niechcący. Z łatwością potrafiła sobie wyobrazić sytuację, w której Posy przypadkiem napomyka, że widziała ją sąsiedztwie.

Tak więc Sophie przechodziła od melancholii do zdenerwowania, od rozpaczki do strachu.

Starannie ukrywała tę huśtawkę nastrojów, ale wiedziała, że lady Bridgerton i dziewczęta zauważyły jej roztargnienie. Patrzyły na nią z troską, przemawiały do niej ze szczególną łagodnością i wciąż się zastanawiały, dlaczego nie przychodzi na herbatę.

- Sophie! Tu jesteś!

Właśnie spieszyła do swojego pokoju, gdzie czeka na nią szyć, kiedy usłyszała okrzyk wicehrabiny. Zatrzymała się i dygnęła.

- Dzień dobry, lady Bridgerton.
- Dzień dobry. Wszędzie cię szukałam.

Sophie spojrzała na nią pustym wzrokiem. Ostatnio nie potrafiła się na niczym skupić.

- Tak?
- Od tygodnia nie zjawiasz się na podwieczorkach.

Poczuła, że krew napływa jej do twarzy. Unikała południowych herbatek, bo w obecności tyłu Bridgertonów nie mogła nie myśleć o Benedykcie. Wszyscy byli do siebie niezwykle podobni i tworzyli wspaniałą rodzinę. W takich chwilach z całą ostrością uświadamiali sobie, że nigdy nie będzie miała własnej. Podejrzewała, że dla miłości wiele kobiet zrezygnowałoby z szacunku otoczenia, ale nie ona.

- Byłam bardzo zajęta - odparła w końcu.
- Wicehrabina tylko się uśmiechnęła.
- Cerowaniem - wyjaśniła Sophie.
  - To straszne. Nie wiedziałam, że podarłyśmy tyle pończoch.

- O, nie! Naprawiałam swoje rzeczy.

Umilkła raptownie, gdy się zorientowała, jak brzmią jej wymówki. Lady Bridgerton dobrze wiedziała, że Sophie ma tylko te ubrania, które sama jej dała, wszystkie w doskonałym stanie. Poza tym pokojówka nie powinna w ciągu dnia zajmować się swoimi sprawami, lecz usługiwać pannom Bridgerton, nawet jeśli jej pracodawczyni była bardzo wyrozumiała.

- Rozumiem - rzekła lady Bridgerton z tajemniczym uśmiechem. - Ale zawsze możesz wziąć szycie ze sobą.

- Och, nigdy bym się nie ośmieliła.

- Zapewniam cię, że możesz - powtórzyła z naciskiem wicehrabina.

- Oczywiście - bąknęła Sophie i ruszyła za nią po schodach.

Dziewczęta już siedziały w salonie na swoich stałych miejscach, przekomarzały się i śmiały. Zjawila się również Daphne, obecnie księżna z młodszą córką Caroline.

Sophie! - zawołała Hyacinth. - Myślałam, że jesteś chora.

- Rano czesałam ci włosy.

- Tak, ale nie byłeś sobą.

Nie mogła temu zaprzeczyć, więc usiadła na krześle i skinęła głową na pytanie Franceski, czy chce herbaty.

- Penelope Featherington dzisiaj wpadnie - powie działa Eloise, zwracając się do matki.

Sophie nie znała Penelope osobiście, ale nieraz czytała o niej w „Kronice”, stąd wiedziała, że są z Floise przyjaciółkami.

- Czy ktoś zauważył, że Benedict nie odwiedza nas od jakiegoś czasu? - spytała Hyacinth.

Sophie dźgnęła się igłą w palec, ale na szczęście powstrzymała syk bólu.

- U nas też dawno nie był - odezwała się Daphne.

- Obiecał, że pomoże mi w arytmetyce i nie dotrzymał słowa - poskarżyła się Hyacinth.

- Na pewno wypadło mu to z głowy - stwierdziła dyplomatycznie lady Bridgerton. - Może gdybyś mu posłała liścik...

- Albo zabębniła do jego drzwi - podsunęła Francesca. - Nie mieszka daleko.

Nie mogę odwiedzać kawalera, jestem niezamężna--  
oburzyła się dziewczynka.

Masz dopiero czternaście lat - przypomniała siostra z lekceważeniem.



- Minio wszystko!  
- Zwróć się o pomoc do Simona - poradziła Daphne.  
- Racja. - Hyacinth posłała ostre spojrzenie Francesce i przeniosła wzrok na matkę. - Teraz Benedikt na nic mi się nie przyda.

Wszystkie zachichotały. Z wyjątkiem Sophie, która już nie umiała się śmiać.

- Ale mówiąc poważnie, to właściwie w czym jest dobry? - zastanowiła się Hyacinth. - Simon jest lepszy w rachunkach, Anthony w historii, Colin zabawniejszy, a...

- W sztuce - odezwała się Sophie nieco poirytowanym głosem.

- Słucham?

- Jest dobry w sztuce - powtórzyła Sophie.

Zwróciła na siebie powszechną uwagę.

- Nawet nie wiedziałam, że maluje - stwierdziła Daphne z zainteresowaniem. - A może rysuje?

Sophie szybko zrozumiała, że popełniła błąd. Słabo знаła księżną Hastings, ale od razu dostrzegła inteligencję w jej oczach. Najstarsza siostra była ciekawa ukrytych talentów brata. I jednocześnie chciała wy badać, skąd panna Beckett o nich wie, skoro Benedict nawet rodzinie nie powiedział o swojej pasji.

- Rysuje - odparła tonem na tyle zdecydowanym, żeby uciąć dalsze pytania. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Rzeczywiście nikt nie odezwał się słowem, ale wyraźnie czuła na sobie pięć par oczu.

- Szkicuje - dodała.

W końcu odważyła się podnieść wzrok znad szycia. Eloise mrugała szybko, lady Bridgerton wpatrywała się w nią nieruchomym spojrzeniem.

Całkiem dobrze mu idzie - bąknęła Sophie, żeby przerwać kłopotliwe milczenie.

Po długiej chwili wicehrabina odchrząknęła i powiedziała:

- Chętnie obejrzałabym jego rysunki. Oczywiście pod warunkiem, że zechce mi je pokazać.

Sophie wstała.

- Muszę iść. Lady Bridgerton przeszyła ją wzrokiem.

- Zostań, proszę - rzekła łagodnie. W tym momencie Eloise zerwała się z krzesła.

- Chyba słyszysz Penelope.

- Zdaje ci się - stwierdziła Hyacinth.

- Tak sądzisz? W drzwiach stanął kamerdyner.

- Panna Penelope Featherington - zaanonsował.

- Widzisz - syknęła Eloise.

- Zjawiam się nie w porę? - spytała Penelope. -

W takim razie przyjdę później.

- Ależ nie! - zapewniła gospodyni. - Napij się z nami herbaty.

Penelope usiadła na kanapie obok Franceski. Nie była piękna, ale sympatyczna. Włosy miała rudawe, policzki naznaczone piegami, cerę trochę bladawą, ale Sophie podejrzewała, że winna jest temu żółta suknia. Kilka razy czytała w „Kronice” o brzydkich strojach panny Featherington. Biedna dziewczyna powinna przekonać matkę, że lepiej jej będzie w niebieskim. Obserwując ją ukradkiem, nagle spostrzegła, że Penelope otwarcie się jej przygląda.

Spotkałyśmy się kiedyś? - zapytała w pewnym momencie.

Nie sądzę - odparła szybko Sophie.

Panna Featherington nie odrywała wzroku od jej twarzy.

- Na pewno?
- Nie wiem, gdzie mogłybyśmy się poznać.
- Istotnie, ale wydaje mi się pani znajoma.
- Sophie jest naszą nową pokojówką - wyjaśniła Hyacinth. - Pija z nami herbatę, kiedy nie przyjmujemy gości.

Tak! Widziała ją przelotnie na balu maskowym, niedługo po wejściu na salę. Zwróciła uwagę na dziwaczny zielony kostium i zabawny kapelusik młodej kobiety stojącej przy stole z przekąskami. Gdy próbowała dociec, co to za przebranie, na samotną dziewczynę wpadł jakiś młody człowiek. Sophie uratowała ją przed upadkiem i w tym momencie podeszło do niej kilku dżentelmenów. Chwilę potem zjawił się Benedict i wtedy zapomniała o całym świecie. Ale widać tamten incydent utkwiał w pamięci panny Featherington.

- Na pewno się pomyliłam - stwierdziła Penelope, biorąc filiżankę od Franceski. - Chodziło nie tyle o pa ni wygląd, co o postawę, sposób trzymania głowy.

Sophie uśmiechnęła się czarująco.

- Potraktuję pani słowa jako komplement. Bardzo miło *coś* takiego usłyszeć.

Natychmiast zrozumiała, że przesadziła. Francesca spojrzała na nią zdziwiona, lady Bridgerton wykrzywiła kącki ust i stwierdziła:

- Cóż, to chyba najdłuższe zdanie, jakie wypowiedziałaś od dwóch tygodni.
- Ostatnio nie czułam się dobrze - wymamrotała Sophie.
- Och, a ja liczyłam na to, że mi dzisiaj pomożesz! - zawołała Hyacinth.

- Już wszystko w porządku. Co mam zrobić? - Obiecałam, że będę zabawiać; moich kuzynów. - Właśnie! - wykrzyknęła lady Bridgerton, odstawiając talerzyk. - Omal nie zapomniałam.

- Więc mi pomożesz? - spytała Hyacinth. - Jest ich czworo.

- Oczywiście - zapewniła Sophie. - W jakim są wieku?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.--

Powinnaś to wiedzieć - stwierdziła lady Bridgerton, patrząc na nią z dezaprobatą. -

Od sześciu do pięciu lat. - I dodała tonem wyjaśnienia, zwracając się do pokojówki: - To dzieci mojej najmłodszej siostry.

- Zawołaj mnie, kiedy przyjdą - powiedziała Sophie do Hyacinth. - Kocham dzieci i chętnie ci pomogę.

- Wspaniale - ucieszyła się dziewczynka, klaszcząc w dłonie. - Na pewno by mnie wykończyły. Są strasznie ruchliwe.

- Ty też nie jesteś stateczna - zauważyła Francesca. Kiedy ostatnio spędziłaś dwie godziny z czwórka dzieci w *tym* wieku?

- Przestańcie! - Sophie roześmiała się po raz pierwszy od dwóch tygodni. - Nie bój się, Hyacinth, pomogę ci. Ty też powinnaś przyjść, Francesko. Będzie miło. - Czy pani... - zaczęła Penelope i machnęła ręką. -

niejsza o to. - Nadal jednak wpatrywała się w nią z dziwną miną. Kilka razy otworzyła i zamknęła usta, w końcu stwierdziła: - Wiem, że skądś panią znam, panno Beckett.

- Penelope nigdy nie zapomina twarzy - wtrąciła Eloise z wesołym uśmiechem.

Sophie zbladła.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z troską lady Bridgerton. - Nie wyglądasz dobrze.

- Chyba coś mi zaszkodziło - odparła pospiesznie Sophie, łapiąc się za brzuch. - Może mleko było nieświeże.

- Och, a ja dałam je Caroline! - wykrzyknęła Daphne, patrząc z niepokojem na córeczkę.

- Smakowało normalnie - powiedziała Hyacinth.

- Tak czy inaczej lepiej się położę - stwierdziła Sophie i wstała z krzesła. - Jeśli pani pozwoli, milady.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej.

- Na pewno.

Wiedziała, że poczuje się lepiej, gdy tylko zejdzie z oczu Penelope Featherington.

- Przyjdę po ciebie, kiedy zjawią się moi kuzynowie - zawołała za nią Hyacinth.

- Jeśli do tego czasu wydobrejesz - dodała wicehrabina.

Sophie skinęła głową i pospiesznie wyszła z pokoju, ale zdążyła jeszcze dostrzec baczne spojrzenie panny Featherington.

Benedict od dwóch tygodni był w złym nastroju. I wiedział, że w rodzinnym domu jego humor jeszcze się pogorszy. Unikał odwiedzin, bo nie chciał natknąć się na Sophie. Poza tym obawiał się, że matka od razu wyczuje jego przygnębienie i zasypie go pytaniami, a Eloise pójdzie w jej ślady i sama spróbuje go wy badać. Nie chciał widzieć...

Do diabła, nie chciał się widzieć z nikim. A zważywszy na to, jak ostatnio zmywał głowy służącym i na

wszystkich burczał, inni też woleliby go nie oglądać. Ale, pechowo, gdy postawił nogę na pierwszym stopniu, usłyszał swoje imię, a kiedy się odwrócił, zobaczył idących chodnikiem braci. Jęknął cicho. Nikt nie znał go lepiej niż oni, więc było mało prawdopodobne, żeby przeoczyli taki drobiazg jak złamane serce.

- Nie widziałem cię od wieków - stwierdził Anthony - - Gdzie się podziewałeś?

- Tu i tam - odparł wymijająco. - Przeważnie w domu. - Spojrzał na Colina. - A ty gdzie się ukrywałeś?

- W Walii.

- W Walii? Po co tam pojechałeś?

Colin wzruszył ramionami.

- Naszła mnie ochota. Nigdy wcześniej tam nie byłem.

- Ludzie zwykle potrzebują ważniejszego powodu, żeby wyjechać w środku sezonu.

- Ale nie ja.

Benedict zmierzył go wzrokiem. Anthony z kolei patrzył na niego.

- No, dobrze - burknął Colin. - Musiałem uciec, bo mama zaczęła mnie naciskać w sprawie cholernego małżeństwa.

- Cholernego? - powtórzył Anthony z uśmiechem rozbawienia. - Zapewniam cię, że małżeństwo nie jest takie straszne. Benedict nie zmienił wyrazu twarzy, a jeśli nawet się zarumienił - czuł ciepło na policzkach - bracia też nie dostrzegli, bo nic nie powiedzieli, a jak świat światem żaden Bridgerton nie przepuścił okazji, żeby dręczyć drugiego Bridgertona.

- Wciąż napomykała o Penelope Featherington - wyjaśnił Colin z posępną miną. - Znałem tę dziewczynę, kiedy jeszcze biegaliśmy w krótkich spoden-

kach. - Gdy bracia się roześmiali, sposepniał jeszcze bardziej. - Niech wam będzie. Ona nosiła to, co noszą małe dziewczynki.

- Sukienkę? - podsunął Anthony.

- Fartuszek? - pomógł Benedict.

- Rzecz w tym, że znam ją od zawsze i na pewno się w niej nie zakocham.

- Pobiorą się w ciągu roku - stwierdził najstarszy brat. - Zapamiętaj moje słowa.

- Anthony!

- Albo dwóch lat - powiedział Benedict. - Jest jeszcze młody.

- W przeciwieństwie do ciebie - odparował Colin. - Dlaczego matka akurat na mnie się uwzięła, skoro ty masz już trzydzieści jeden...

- Trzydzieści.

- Tak czy inaczej to na tobie powinny się skupić ataki.

Benedict zmarszczył brwi. Przez kilka ostatnich tygodni matka była niezwykle powściągliwa w kwestii jego małżeństwa. Co prawda unikał jej domu jak plagi, ale wcześniej też nie wspomniała na ten temat ani słowem.

Bardzo dziwne.

- W każdym razie ja nie zamierzam rychło się ożenić - oświadczył Colin. - A już na pewno nie z Penelope Featherington.

- Och!

Gdy rozległ się cichy kobiecy okrzyk, Benedict nie musiał się odwracać, by stwierdzić, że jest to jeden z najbardziej niezręcznych momentów w jego życiu. We frontowych drzwiach stała panna Featherington z otwartymi ustami i bólem w oczach.

I dopiero wtedy zrozumiał to, czego wcześniej

w swojej męskiej głupocie nie zauważył: że dziewczyna jest zakochana w jego bracie. Colin odchrząknął.

- Penelope - wykrztusił skrzeczącym głosem dora stającego chłopca. - Eee... miło cię widzieć.

Rzucił błagalne spojrzenie na braci, lecz żaden nie kwapił się z pomocą.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś - bąknął.

- Najwyraźniej - powiedziała panna Featherington, ale w jej tonie nie było słyhać urazy.

Colin przełknął ślinę.

- Odwiedziłaś Eloise?

- Zaprosiła mnie na herbatę.

- Oczywiście. Jesteś jej przyjaciółką.

Zapadła martwa cisza.

Penelope próbowała się uśmiechnąć, niestety bez powodzenia. Wreszcie, zamiast uciec, spojrzała na Colina i oświadczyła:

- Nigdy nie prosiłam, żebyś się ze mną ożenił.

Winowajca otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Po raz pierwszy i chyba jedyny w życiu zapomniał języka, a jego twarz przybrała ciemnoczerwoną barwę.

- I nigdy... - Dziewczynie załamał się głos. - Nikomu nie mówiłam, że tego chcę.

- Przepraszam - wykrztusił w końcu Colin.

- Nie ma za co.

- Zraniłem twoje uczucia i...

- Nie wiedziałeś, że tu jestem.

- Mimo wszystko...

- Nie zranię uczuć twojego brata, jeśli oświadczę, że nie zamierzam za niego wyjść. - Przeniosła wzrok na Benedicta.

- Prawda, panie Bridgerton?



- Oczywiście - pospiesznie odparł zagadnięty.  
- Zatem nic się nie stało. A teraz, wybaczenie, panowie, muszę iść do domu.  
Gdy ruszyła w dół po schodach, Bridgertonowie się rozstąpili.  
- Nie wzięłaś pokojówki do towarzystwa? - spytał Colin.  
- Mieszkam za rogiem.  
- Wiem, ale...  
- Odprowadzę panią - wtrącił gładko Anthony.  
- Nie trzeba, milordzie.  
- Proszę sprawić mi przyjemność.  
Penelope skinęła głową i przyjęła jego ramię. Gdy wyszli na ulicę, Benedict zwrócił się do Colina:  
- Ładnie postąpiłeś.  
- Nie wiedziałem, że za mną stoi!  
- Bez wątplenia.  
- Nie musisz mnie dobijać. I tak czuję się okropnie.  
- I słusznie.  
- A ty nigdy nie uraziłeś niechcący żadnej kobiety?  
Od odpowiedzi wybawiło go pojawienie się matki we frontowych drzwiach.  
- Wasz brat jeszcze nie przyszedł? - zapytała lady Bridgerton.  
Benedict wskazał głową na róg.  
- Odprowadza pannę Featherington do domu.  
- To bardzo uprzejme z jego strony. Ja... Dokąd się wybierasz, Colinie?  
Syn przystanął, ale nawet nie odwrócił głowy, tylko burknął:  
- Muszę się napić.  
- Trochę wcześniej na... - Urwała w pół zdania, gdy Benedict położył dłoń na jej ramieniu.

- Pozwól mu iść.

Lady Bridgerton już chciała zaprotestować, rozmyśliła się jednak i z westchnieniem skinęła głową.

- Miałam nadzieję, że razem wysłuchacie nowiny, ale trudno. Może chociaż ty wejdiesz na herbatę?

Benedict spojrział na zegar stojący w holu.

- Nie za późno?

- Mniejsza o herbatę - powiedziała wicehrabina, wzruszając ramionami. - Szukałam pretekstu, żeby z tobą porozmawiać.

Benedict uśmiechnął się z przymusem. Nie był w nastroju do rozmowy z matką. Szczerze mówiąc, nie był w nastroju do rozmowy z kimkolwiek, o czym mogli zaświadczyć wszyscy, którzy ostatnio się z nim zetknęli.

- To nic poważnego - zapewniła Violet. - Na niebiosy, wyglądasz, jakbyś szedł na ścięcie.

Rzeczywiście tak się czuł, ale nie chciał być niegrzeczny, więc nachylił się i cmoknął matkę w policzek.

- Jaka miła niespodzianka - rozpromieniła się wicehrabina. - A teraz chodź. Muszę ci o kimś opowiedzieć.

- Mamo!

- Wysłuchaj mnie. To urocza dziewczyna...

*Panna Posy Reiling, młodsza pasierbica nieżyjącego hrabiego Penwood, rzadko pojawia się na łamach naszego pisemka (podobnie jak na towarzyskich spotkaniach, co pisząca te słowa stwierdza z żalem), ale nie można było nie zauważyć, że na wtorkowym wieczorze muzycznym urządzonym przez jej matkę zachowywała się nader dziwnie. Uparła się, żeby siedzieć przy oknie i przez większość czasu wyglądała na ulicę, jakby na coś... albo na kogoś czekała.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 11 czerwca 1817*

Po czterdziestu minutach rozmowy Benedict musiał przywoływać na pomoc całą siłę woli, żeby nie zasnąć na siedząco.

Matka opowiedziała mu nie o jednej, lecz siedmiu młodych damach, z których każda następna była jej zdaniem lepsza od poprzedniej.

Wydawało mu się, że jeszcze chwila i oszaleje. Zerwie się z fotela, zacznie miotać po pokoju, toczyć pianę z ust...

- Słuchasz mnie, synu?

Gwałtownie oprzytomniał. Do diabła! Teraz będzie musiał skupić się na zaletach panien na wydaniu

Perspektywa utraty zmysłów nagle wydała mu się całkiem kusząca.

- Właśnie mówiłam o Mary Edgeware. - O dziwo, Violet wyglądała raczej na rozbawioną niż zirytowaną.

Benedict od razu nabrał podejrzeń. Matka nigdy nie traktowała lekko tak poważnej sprawy jak małżeństwa własnych dzieci.

- Mary jaka?

- Edge... Mniejsza o to. Widzę, że coś innego za prząta twoje myśli.

- Mamo...

Lekko przekrzywiła głowę, wyraźnie zaintrygowana. -

Tak?

- Kiedy poznałeś ojca...

- To stało się w jednej chwili - powiedziała cicho, domyśliwszy się, o co zamierza spytać.

- I od razu wiedziałaś, że to ten jedyny?

Uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawił się nie obecny wyraz.

- Nie chciałam się do tego przyznać. Zawsze byłam rozsądną osobą i burzyłam się, słysząc o miłości od pierwszego wejrzenia. - Umilkła na dłuższą chwilę, przenosząc się w myślach na bal, na którym po raz pierwszy spotkała jego ojca. Benedictowi już się wydawało, że o nim zapomniała, lecz w końcu na niego spojrziała. - Ale wiedziałam.

- Od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłaś?

- Od pierwszej chwili, kiedy zaczęliśmy rozmawiać.

Wzięła od niego chustkę i wytarła łzy, uśmiechając się z lekkim zakłopotaniem.

Benedictowi ścisnęło się gardło. Pospiesznie odwrócił wzrok. Nie chciał, żeby zobaczyła, że jemu też wilgotnieją oczy. Czy dziesięć lat po jego śmierci ktoś

też będzie po nim płakał? Nagle poczuł się zazdrosny... o własnych rodziców.

Znaleźli miłość i okazali się na tyle mądrzy, żeby ją sobie wyznaczyć i pielęgnować. Niewielu ludzi spotykało takie szczęście.

- Miał ciepły, kojący głos. Kiedy mówił, czułam się, jakbym była jedyną osobą w pokoju.

- Pamiętam - powiedział Benedict ze smutnym uśmiechem. - To dopiero wyczyn przy ósemce dzieci.

- Siódemce, bo nie zdążył poznać Hyacinth.

- Mimo wszystko...

Violet skinęła głową.

- Mimo wszystko.

Benedict spontanicznie pogłaskał ją po rękę. Matka lekko uściśniła jego dłoń.

- Czy jest jakiś szczególny powód, że zapytałeś o ojca?

- Nie - skłamał. - Przynajmniej... Cóż...

Czekała cierpliwie z tym łagodnym wyrazem twarzy, który sprawiał, że trudno było zatrzymać dla siebie własne uczucia.

- Co się dzieje, kiedy ktoś zakochuje się w nieodpowiedniej osobie?

Natychmiast pożałował swoich słów, ale... Westchnął cicho. Z drugiej strony matka zawsze umiała słuchać. I, prawdę mówiąc, mimo irytujących nawyków swatki bardziej nadawała się do udzielania rad w sprawach sercowych niż ktokolwiek inny.

- Co masz na myśli, mówiąc „nieodpowiednia”?

- To osoba, z którą ktoś taki jak ja raczej nie powinien się zenić.

- Chodzi ci o osobę nie z naszej klasy?

Benedict przeniósł wzrok na obraz wiszący nad kominkiem.

- Coś w tym rodzaju.

- Rozumiem. Cóż... - Violet lekko zmarszczyła czoło. - To zależy, na którym szczeblu drabiny społecznej stoi ta kobieta.

Benedict był przekonany, że żaden mężczyzna w jego wieku i o jego reputacji nie rozmawia z matką w taki sposób, ale mimo to odpowiedział:

- Na niskim.

-Rozumiem. Powiedziałabym... - Przygryzła dolną wargę.

Powiedziałabym... że bardzo cię Kocham i popieram we wszystkim, co robisz - dokończyła pewniejszym tonem. - Jeśli rzeczywiście mówimy o tobie. Nie było sensu zaprzeczać, więc kiwnął głową. -Ostrzegłabym cię jednak, żebyś się zastanowił nad swoją decyzją. Miłość to oczywiście bardzo ważna rzecz w każdym związku, ale nie można pominąć wpływu otoczenia. Gdybyś ożenił się z kimś, powiedzmy, ze służby, naraziłbyś się na plotki i ostracyzm, a to byłoby trudne do zniesienia dla kogoś takiego jak ty.

- Takiego jak ja?

- Nie chciałam cię obrazić, ale ty i twoi bracia prowadzicie światowe życie. Jesteś przystojny, inteligentny, miły. Wszyscy cię lubią. Nawet nie wiesz, jak się cieszę z tego powodu. Nie wiesz jednak, co to znaczy podpierać ściany.

Benedict nagle zrozumiał, dlaczego matka zmusza go do tańczenia z młodymi pannami takimi jak Penelope Featherington.

Ona sama kiedyś siała pietruszkę. Zadziwiające, bo teraz miała liczne grono przyjaciół, była powszechnie lubiana i wpływową. A jego ojca, uważano, zdaje się, za najlepszą partię sezonu.

- Sam musisz powziąć tę decyzję - powiedziała,

sprowadzając go do terażniejszości. - I obawiam się, że nie będzie ona łatwa. Lecz jeśli postanowisz związać się z kimś spoza naszej klasy, oczywiście cię poprę.

Benedict przyjrzał się jej uważnie. Niewiele kobiet z wyższych sfer zdobyłoby się na taką wspaniałomyślność.

- Oddałabym za ciebie życie. I na pewno nie wyrzekłabym się własnego syna dlatego, że poślubił nie odpowiednią osobę.

- Dziękuję - wykrztusił. Violet westchnęła ze smutkiem.

- Szkoda, że nie ma tu twojego ojca.

- Rzadko to mówisz.

- Zawsze mi go brakuje. - Na chwilę przymknęła oczy. - Zawsze.

Patrząc na jej smutną twarz, Benedict zrozumiał, że w życiu liczy się tylko miłość.

Myślał, że kocha tajemniczą damę z balu maskowego. Sądził, że pragnie się z nią ożenić, ale teraz stwierdził, że to było jedynie marzenie o kobiecie, którą ledwo znalazł.

Tak naprawdę kochał Sophie i właśnie jej potrzebował.

Sophie nie wierzyła w przeznaczenie, ale po godzinie spędzonej z Nicholasem, Elizabeth, Johnem i Alice Wentworthami przyszło jej do głowy, że może istnieje powód, dla którego nigdy nie udało się jej zdobyć posady guwernantki.

Była wyczerpana.

Nie, to zbyt łagodne określenie, pomyślała z desperacją. Ta czwórka omal nie doprowadziła jej do szaleństwa.

Nie, nie, nie! To moja lalka! - zawołała Elizabeth.

Moja! - krzyknęła Alice.

Nie!

Tak!

Ja to rozstrzygnę - oznajmił z diabelskim błyskiem w oku dziesięcioletni Nicholas, który uważał się za pirata. - Przystaniecie się kłócić, jeśli po prostu oderwę jej...

- Nic z tego, Nicholasie Wentworth - przerwała mu Sophie.

- Ale wtedy przestaną...

- Nie!

Chłopiec zmierzył ją wzrokiem, najwyraźniej oceniając jej determinację, po czym burknął coś pod nosem i odmaszerował w drugi koniec pokoju.

Chyba trzeba wymyślić nową zabawę - powiedziała cicho Hyacinth.

O, tak - szepnęła Sophie.

Puść mojego żołnierzyka! - wrzasnął John. - Puszczaj!

Nigdy nie będę miała dzieci - oświadczyła z przekonaniem najmłodsza panna Bridgerton. - Może nawet nigdy nie wyjdę za mąż.

Sophie zrezygnowała z uwagi, że kiedy Hyacinth wyjdzie za mąż i urodzi dzieci, będzie miała całą armię nianie do pomocy.

W tym momencie John pociągnął Alice za włosy, a siostra uderzyła go głową w brzuch.

- Robi się niebezpiecznie - stwierdziła Hyacinth.

- Pobawmy się w ślepca! - zawołała Sophie. - Co wy na to?

Alice i John z entuzjazmem pokiwali głowami, Elizabeth po namyśle rzuciła niechętnie:



- W porządku.  
- A ty, Nicholasie?  
- Może być wesoło - odparł chłopiec z chytrą miną. - Ty będziesz ślepcem.

Już miała zaprotestować, ale w tym momencie pozostała trójka zaczęła skakać i pisać z radości. Jej los został przypieczętowany, kiedy Hyacinth orzekła ze złośliwym uśmiechem:

- Musisz.

Sophie zrozumiała, że protest jest bezcelowy, więc westchnęła teatralnie i dała zawiązać sobie oczy.

- Widzisz? - spytał Nicholas.

-Nie.

Chłopiec z powątpiewaniem spojrzał na kuzynkę.

- Widzi. Szalik jest przezroczysty. Trzeba wziąć drugi.

- Obrza - mruknęła Sophie pod nosem, ale posłusznie schyliła się przed Hyacinth.

- Teraz jest ślepa! - zawołał John.

- Dobrze - stwierdził Nicholas. - Odczekaj dziesięć sekund, aż zajmiemy miejsca.

Sophie skinęła głową, a gdy w pokoju rozległ się rumor, krzyknęła:

- Nie poniszczcie wszystkiego! Gotowi? Cisza.

- Ślepiec! - zawołała.

- Tutaj! - odpowiedziało chórem pięć głosów. Jedna z dziewczynek ukryła się za kanapą. Sophie zrobiła kilka kroków na prawo.

- Ślepiec!

- Tutaj!

Chichoty.

- Ślepiec! Auuu!

Głośny śmiech. Sophie rozmasowała gołęń i wykrzyknęła z dużo mniejszym entuzjazmem:

- Ślepiec!
- Tutaj!
- Tutaj!
- Tutaj!
- Mam cię, Alice - mruknęła Sophie pod nosem. –I już jesteś moja.

Gdy Benedict został sam w salonie, wychylił szklaneczkę brandy, której bardzo potrzebował, i ruszył do drzwi, żeby ukradkiem wymknąć się z domu, ale w holu przyłapała go Eloise i oznajmiła, że Daphne chce ogłosić pewną nowinę.

- Kolejne dziecko?
- Udawaj zaskoczonego.
- Niczego nie będę udawał. Wychodzę.
- Siostra złapała go za rękaw.
- Nie możesz. Benedict westchnął z rezygnacją i próbował się uwolnić, lecz Eloise trzymała go mocno.
- Zrobię jeden krok, potem następny...
- Obiecałeś, że pomożesz Hyacinth w arytmetyce i nie zjawiałeś się przez dwa tygodnie.
- Nie grozi jej wyrzucenie ze szkoły.
- Jesteś okropny! - zbesztła go siostra.
- Wiem.
- To, że nie pozwala się nam studiować w Eton czy Cambridge, nie oznacza, że nasza edukacja jest mniej Wartościowa - oświadczyła Eloise. - Zresztą...
- Benedict oparł się o ścianę.
- Moim zdaniem nie dopuszcza się nas do tych szkół, bo byłybyśmy od was lepsze we wszystkich przedmiotach!

- Na pewno masz rację.  
- Nie traktuj mnie protekcyjnie.  
- Uwierz, Eloise, że nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

Siostra zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem.

- Nie zawieź Hyacinth.  
- Dobrze - powiedział ze znużeniem.  
- Jest chyba w pokoju dziecięcym.

Benedict z roztargnieniem skinął głową i ruszył do schodów.

Nie zauważył, że Eloise odwraca się do matki, wyglądającej z pokoju muzycznego, mruga do niej okiem i posyła jej triumfalny uśmiech.

Rzadko wchodził na drugie piętro. Sypialnie jego rodzeństwa znajdowały się na pierwszym, a tylko dwójki najmłodszych obok pokoju dziecięcego. Ponieważ jednak Gregory większość roku spędzał w Eton, zaś Hyacinth nie lubiła samotności i zwykle przebywała w innych częściach domu, Benedict nie miał powodów, żeby wdrapywać się tak wysoko.

Nie umknęło jego uwagi, że na tym piętrze mieszka również służba wyższej rangi. Między innymi pokojówki.

Sophie.

Pewnie siedziała teraz w jakimś kącie i cerowała.

- Cha, cha, cha!

Benedict uniósł brew, słysząc dziecięcy śmiech.

No, tak. Matka wspominała, że dzisiaj przychodzą z wizytą jego mali kuzynowie. Nie widział ich od miesięcy, a nawet ich lubił, choć jak na jego gust byli trochę zbyt żywi.

Gdy zbliżył się do drzwi, ze środka dobiegły radosne piski. Uśmiechnął się, sięgnął do klamki i...

Zobaczył Ją-...

Sophie.

Miała zawiązane oczy i po omacku szukała chichoczących dzieci. Widział tylko dolną część jej twarzy. Od razu rozpoznał uśmiech i maleńki doleczek w podbródku. To była kobieta z balu maskowego, tajemnicza dama w srebrnej sukni. Nagle wszystko nabrało sensu. Dwa razy w życiu poczuł tę niewytłumaczalną, prawie mistyczną więź, choć w głębi serca wierzył, że na świecie jest tylko jedna kobieta stworzona dla niego. Jego serce miało rację.

Szukał tej jedynej przez wiele miesięcy. Tęsknił za nią jeszcze dłużej, a ona była tuż obok. I nic mu nie powiedziała. Czy rozumiała, na jakie udręki go skazuje? Nie mógł spać po nocach z powodu wyrzutów sumienia, że zdradza swoją wybrankę z pokojówką, a gdy w końcu postanowił o niej zapomnieć i poprosić Sophie o rękę, nie dbając o konsekwencje, okazało się, że to jedna i ta sama kobieta. Dobry Boże, co za ironia losu! W głowie mu zaszumiało, jakby ktoś przystawił do i uszu dwie ogromne muszle, żyły na skroniach nabrzmiały, oczy powlekleła czerwona mgła. , - Coś się stało? - spytała Sophie, gdy raptem zapadła cisza.

- Hyacinth, czy możesz ich stąd wyprowadzić? - poprosił Benedict. - Ale...

- Natychmiast! - huknął.

- Nicholas, Elizabeth, John, Alice, chodźcie - powiedziała szybko Hyacinth. - W kuchni jest świeże ciasto ..

Siostrze udało się w rekordowym tempie opróżnić pokój i po chwili jej głos ucichł w głębi korytarza.

- Benedict? - zawołała Sophie, mocując się z węzłem. - To ty?

Aż podskoczyła, gdy z trzaskiem zamknął drzwi.

- Co się stało?

Benedict patrzył w milczeniu, jak Sophie szarpie się z przepaską na oczach. Jej bezradność sprawiła mu dziwną satysfakcję.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytał w końcu spokojnym głosem, choć ręce mu drżały.

Na moment zamarła, a potem znowu sięgnęła do supełów. Przy tym ruchu pod suknią wyraźnie zarysowały się jej piersi, lecz Benedict nie poczuł ani krzty pożądania. Po raz pierwszy nie pragnął tej kobiety. W żadnym z wcieleń.

- Pomożesz mi? - poprosiła z wahaniem. Nie ruszył się z miejsca.

- Benedykcie?

- Z zasłoniętą twarzą wyglądasz interesująco - stwierdził cicho.

Sophie wolno opuściła ręce.

- Zupełnie jakbyś nosiła półmaskę. - Zbliżył się do niej niespiesznie. - Od lat nie byłem na balu maskowym.

Westchnęła cicho. Jej wargi lekko drżały. Benedict miał nadzieję, że jest przerażona.

- Zamierzałaś kiedyś wyznać mi prawdę? Poruszyła ustami, ale nic nie odpowiedziała.

- Tak czy nie?

- Nie - odrzekła zduszonym głosem.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Wydawało mi się, że to przelotna znajomość.

- Zakochałem się w tobie dwa lata temu i uznałaś, że to przelotna znajomość? - Mogę zdjąć szal? - Lepiej pozostań ślepa - Benedykcie, ja...

- Tak jak ja byłem ślepy przez ostatni miesiąc. Przekonaj się, jak to jest.

- Nie zakochałeś się we mnie dwa lata temu.

- Skąd wiesz? Zniknęłaś.

- Musiałam! - krzyknęła. - Nie miałam wyboru.

Zawsze mamy wybór. Nazywamy to wolną wolą.

- Łatwo ci mówić - wybuchnęła, mocując się z szalami. - Tobie, który możesz wszystko! Ja naprawdę musiałam... Och! Zamrugnęła oślepiona jasnym blaskiem dnia. Dostrzegłszy wyraz twarzy Benedicta, cofnęła się o krok. Jego oczy płonęły wściekłością i bólem, którego nie rozumiała.

- Miło cię widzieć, Sophie - powiedział zjadliwym tonem. - Jeśli to twoje prawdziwe imię. Skinęła głową.

Uczestniczyłaś w balu, więc nie pochodzisz ze służby, tak?

- Nie dostałam zaproszenia - odparła pośpiesznie. - Nie miałam prawa tam być.

- Okłamałaś mnie.

- Musiałam - wyszeptęła.

- Dlaczego?

Sophie przełknęła ślinę. W obecności rozgniewanego Benedicta, nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego postanowiła nie mówić mu, że jest damą z balu maskowego. Może się bała, że ją poprosi, by została jego kochanką.

Co i tak zrobił.

A może nie powiedziała mu prawdy, bo zbyt długo z tym zwlekała i obawiała się jego gniewu.

Którego i tak nie uniknęła.

Cóż z tego, że miała rację, skoro teraz Benedict patrzył na nią ze złością i jednocześnie pogardą?

Możliwe też, że była urażona i rozczarowana, że sam jej nie poznał, choć ona marzyła o nim przez dwa lata. Czy po tamtej magicznej nocy nie powinien od razu się domyślić, kogo ma przed sobą?

A może po prostu chciała uchronić się przed zawodem miłosnym. Czuła się bezpieczniej jako anonimowa pokojówka. Gdyby Benedict wiedział, że to ona jest kobietą z balu, zniknęłaby dzieląca ich bariera. Jeszcze usilniej starałby się ją zdobyć, a przecież nigdy nie poślubiłby służącej. Powtarzała sobie to za każdym razem, gdy korciło ją, żeby wyznać sekret. Złamałby jej serce.

Omali się nie roześmiała. Jej serce już było ciężko zranione.

- Szukałem cię - powiedział, przerywając jej rozmyślenia.

- Naprawdę? - Jej oczy zwilgotniały.

- Przez sześć długich miesięcy. Zupełnie jakbyś zapadła się pod ziemię.

- Nie miałam dokąd pójść - odparła niepewnie.

- Miałś mnie.

Jego słowa zawisły w powietrzu.

- Nie wiedziałam, że mnie szukałeś. Ale... ale...

Sophie zacisnęła powieki.

- Ale co?

Gdy otworzyła oczy, uciekła przed nim wzrokiem.

- Nawet gdybym wiedziała, że mnie szukasz, nie pozwoliłabym się znaleźć.

- Byłem aż taki odpychający?  
- Nie! - krzyknęła i tym razem na niego spojrzała. Na jego twarzy dostrzegła ból, mimo że starannie go ukrywał.  
- Nie - powtórzyła spokojniejszym głosem. - Nie o to chodziło.  
- Więc o co?  
- Żyjemy w dwóch różnych światach i nie ma dla nas przyszłości. Nie chciałam roić marzeń, które nie mogły się ziścić. To byłaby udręka.  
- Kim jesteś? - zapytał nagle. - Bo nie żadną pokojówką, to pewnie.  
- Już mówiłam -- odparła pod wpływem jego groźnego spojrzenia.  
Ruszył w jej stronę.  
- Kim jesteś?  
Cofnęła się o krok.  
- Panną Sophie Beckett.  
- Kim jesteś?  
- Służącą od czternastego roku życia.  
- A przedtem?  
- Bękartem - szepnęła.  
- Czyim?  
- Czy to ważne?  
- Dla mnie tak.  
Sophie nie łudziła się, że Benedict zlekceważy obowiązki wynikające z urodzenia i poprosi ją o rękę, nie sądziła jednak, że będzie przywiązywał wagę do jej pochodzenia.  
- Kim byli twoi rodzice?  
- Nie znałeś ich.  
- Kto był twoim ojcem?  
- Lord Penwood!



Benedict osłupiał.

- Jestem nieślubną córką hrabiego i pokojówki! - krzyknęła, dając upust od dawna tłumionemu żalowi. - Tak! Moja matka była służącą. Jak ja! - Zamilkła na chwilę, a potem dodała cicho: - Nie powtórzę jej błędu.

- Gdyby go nie popełniła, nie byłoby cię na świecie.

- Nie w tym rzecz.

Benedict zacisnął dłonie w pięści.

- Okłamałaś mnie.

- Uznałam, że nie ma sensu mówić ci prawdy.

- A kim jesteś, u licha, żeby o tym decydować? - wybuchnął. - Biedny mały Benedict nie zniesie prawdy. Nie potrafi sam powziąć decyzji. Nie...

Urwał zdeglustowany swoim płaczącym tonem. Przy niej nie poznawał samego siebie. Powinien stąd wyjść.

Natychmiast.

- Benedykcie? - Patrzyła na niego dziwnie. Z troską.

- Muszę iść - wymamrotał.

- Dlaczego?

Dostrzegł po jej minie, że od razu pożałowała tego pytania.

- Bo nie jestem teraz sobą. Ja...

Spojrzał na swoje zaciśnięte pięści. Nie, nigdy nie zrobiłby jej krzywdy. Nie byłby do tego zdolny. Ale...

Ale...

Po raz pierwszy w życiu na krótką chwilę stracił panowanie nad sobą i własna reakcja go przeraziła.

- Muszę iść - powtórzył i wybiegł z pokoju.

*Skoro już poruszyliśmy ten temat, matka panny Reiling, hrabina Penwood, też ostatnio dziwnie się zachowywała. Z wiarygodnego źródła wiadomo, że poprzedniego dnia wpadła w szal i rzuciła w służących co najmniej siedemnastoma butami.*

*Jeden z lokajów ma podbite oko, natomiast pozostali są w dobrym zdrowiu.*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 11 czerwca 1817*

Sophie spakowała się w ciągu godziny. Ogarnięta nerwowym podnieceniem, nie mogła usiedzieć w miejscu. Brakowało jej tchu, ręce drżały, serce kołatało.

Wiedziała, że nie może zostać w tym domu. Wicehrabina ją lubiła, ale syn był dla niej ważniejszy.

Szkoda, pomyślała, mnąc chusteczkę. Bardzo się jej spodobało u Bridgertonów. Nigdy wcześniej nie miała okazji mieszkać z ludźmi, którzy naprawdę wiedzieli, co to znaczy rodzina.

Będzie za nimi tęsknić.

I za Benedictem.

Zerwała się z łóżka i podeszła do okna.

- Niech cię diabli, tato - powiedziała, patrząc

w niebo. - Właśnie. Nazwałam cię tatą, choć nigdy mi na to nie pozwalałeś. Nie chciałeś być ojcem. I jak się teraz czujesz?

Słońca nie przesłoniła ciemna chmura, nie trzasnął piorun. Hrabia Penwood nigdy się nie dowie, jaka była na niego zła, że zostawił ją bez pieniędzy, z Aramintą. Zresztą jej los i tak by go nie obszedł.

Znużona oparła się o framugę.

- Dałeś mi posmakować lepszego życia, a potem wszystko odebrałeś. Byłoby łatwiej, gdybyś wychował mnie na służącą.

Odwróciła się i spojrzała na swoją małą torbę. Nie chciała zabierać ubrań, które dostała od lady Bridgerton i jej córek, ale nie miała wyjścia, bo jej stare suknie przeznaczone na szmaty. Z konieczności wzięła tylko dwie, a resztę wyprasowała i powiesiła w szafie.

Westchnęła, na chwilę zamykając oczy. Nie wiedziała, dokąd pójdzie, ale nie mogła tu zostać. Oszczędziła trochę pieniędzy i gdyby popracowała jeszcze rok, wystarczyłoby jej na bilet do Ameryki. Słyszała, że tam los jest łaskawszy dla osób niskiego pochodzenia, a podziały klasowe nie są tak ostre jak w Anglii.

Sięgnęła po torbę, podeszła do drzwi i wystawiła głowę na korytarz. Na szczęście był pusty. Nie chciała żegnać się z dziewczętami, żeby nie zrobić czegoś głupiego, na przykład się rozpłakać. Zawsze traktowały ją z szacunkiem i sympatią. Kiedyś miała nadzieję, że panny Reiling zostaną jej siostrami, lecz szybko wyzbyła się złudzeń. Posy nawet próbowała, ale nie umiała przeciwstawić się matce.

Sophie nie mogła jednak nie podziękować lady

Bridgerton za dobroć, wymykając się ukradkiem, jak przestępczyni. Może wicehrabina jeszcze nie słyszała o jej kłótni z Benedictem.

Było późne popołudnie, więc postanowiła zajrzeć do małego gabinetu, który przylegał do buduaru pani domu. W tym przytulnym pokoju z biurkiem i półkami na książki lady Bridgerton zwykle pisała listy i podliczała domowe wydatki.

Zapukała cicho w uchylone drzwi.

- Proszę!

- Nie przeszkadzam? Wicehrabina odłożyła pióro.

- Ależ nie. Nigdy nie przepadałam za sprawdzaniem rachunków.

- Ja... - Ugryzła się w język. Już miała powiedzieć, że chętnie wzięłaby na siebie to zadanie. Zawsze była dobra w arytmetyce.

- Słucham?

- Nie, nic ważnego.

Lady Bridgerton uśmiechnęła się ledwo dostrzegalnie.

- Przyszłaś do mnie z jakiegoś szczególnego powodu?

Sophie zaczerpnęła oddechu.

- Tak. Niestety muszę zrezygnować z posady.

Wicehrabina aż się podniosła z krzesła.

- Dlaczego? Jesteś niezadowolona? Któraś z dziewcząt źle cię traktowała?

- Nie, nie - zapewniła Sophie pospiesznie. - Nic podobnego. Pani córki są urocze i bardzo miłe. Ja nigdy... to znaczy, nikt...

- O co chodzi, skarbie?

Sophie przeraziła się, że zaraz wybuchnie płaczem. Kolana pod nią drżały, serce waliło jak młot.

Dlaczego? Bo mężczyzna, którego kochała, nie zamierzał jej poślubić? Bo znienawidził ją za to, że go okłamała? Bo dwa razy złamał jej serce: najpierw prosząc, żeby została jego kochanką, a potem zmuszając do opuszczenia rodziny, do której tak bardzo się przywiązała?

Nie zażądał wprawdzie, żeby odeszła, ale było oczywiste, że nie może tu zostać.

- Chodzi o Benedicta, prawda?

Sophie gwałtownie uniosła głowę i zobaczyła, że lady Bridgerton uśmiecha się ze smutkiem.

- To oczywiste, że łączy was uczucie - rzekła łagodnie, odpowiadając na nie zadane pytanie.

- Dlaczego pani mnie nie zwolniła?

Żadna matka z wyższych sfer nie chciałaby, żeby jej syn uganiał się za pokojówką.

- Nie wiem - odparła wicehrabina, bezradnie wzruszając ramionami. - Chyba powinnam, ale cię lubię.

Sophie nie poruszyła się, nie wydała z siebie żadnego głosu, lecz łzy, które usilnie starała się powstrzymać, same popłynęły jej po twarzy.

Gdy lady Bridgerton znowu się odezwała, starannie dobierała słowa.

- Takiej kobiety jak ty pragnęłabym dla swojego syna. Zdążyłam poznać twój charakter i chciałabym...

Z gardła Sophie wyrwał się zduszony szloch, ale szybko go stłumiła.

- Wolałabym, żebyś miała inne pochodzenie - ciągnęła wicehrabina. - Nie żebym z tego powodu źle o tobie myślała, ale taka rzecz bardzo komplikuje sprawy. A może nie wszystko mi powiedziałas?

Sophie milczała.

- Pewne rzeczy mi się nie zgadzają - stwierdziła la-

dy Bridgerton. - Twoja wymowa jest nienaganna. Mówiłaś, że pobierałaś lekcje razem z dziećmi państwa, u których pracowała twoja matka, ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Przypuszczam, że naukę zaczęłaś nie wcześniej jak w wieku sześciu lat, a wtedy już trudno zmienić akcent.

Sophie zamarła. Dziwne, że aż do tej pory nikt nie zauważył luk w jej historyjce. Z drugiej strony lady Bridgerton była dużo bystrzejsza niż ludzie, którym dotychczas ją opowiadała.

- Znasz łacinę. Słyszałam, co mrużysz pod nosem tamtego dnia, kiedy Hyacinth cię sprowokowała.

Sophie z uporem patrzyła prosto przed siebie, unikając wzroku pracodawczyni.

- Dziękuję, że nie zaprzeczasz.

Tym razem wicehrabina tak długo czekała na odpowiedź, że Sophie w końcu poczuła się zmuszona przerwać milczenie.

- Nie jestem odpowiednią partią dla pani syna.

- Rozumiem.

- Naprawdę muszę już iść - dodała szybko, żeby się nie rozmyślić.

Lady Bridgerton pokiwała głową.

- Nie mogę cię zatrzymać. Dokąd się udasz?

- Mam krewnych na północy - skłamała Sophie.

Wicehrabina najwyraźniej jej nie uwierzyła, ale po wiedziała:

- Możesz skorzystać z jednego z naszych powozów.

- Ależ nie!

- Chyba nie sądzisz, że przyjmę twoją odmowę. Jestem za ciebie odpowiedzialna, jeszcze przez co najmniej kilka dni, i nie pozwolę samotnej kobiecie podróżować bez eskorty.

Sophie uśmiechnęła się smutno. To samo, choć trochę innym tonem, oświadczył przed paroma tygodniami Benedict. A na tyle dobrze zdążyła poznać lady Bridgerton, by wiedzieć, że w tej kwestii nie ustąpi.

- Dobrze - zgodziła się w końcu. - Dziękuję.

Przyszło jej do głowy, że każe się zawieźć gdzieś blisko portu, z którego kiedyś wyruszy do Ameryki, i tam postanowi, co dalej.

- Zapewne już spakowałaś bagaże - powiedziała wicehrabina z nikłym uśmiechem.

Sophie skinęła głową. Nie uznała za stosowne wyjaśnić, że ma tylko jedną torbę.

- Pożegnałaś się ze wszystkimi?

-Nie.

Lady Bridgerton wstała od biurka.

- Czasami tak jest najlepiej - przyznała. - Zaczekaj na mnie w holu. Wydam polecenie, żeby podstawił no karoce.

Sophie ruszyła do drzwi, ale w progu zatrzymała się i obejrzała.

- Milady, ja...

- Tak? - W głosie wicehrabiny zabrzmiała nadzieja.

- Chciałam pani podziękować.

Niebieskie oczy lady Bridgerton nieco przygasty.

- Za co?

- Za to, że przez chwilę poczułam się jak w rodzinie.

- Nie bądź...

- Zapraszała mnie pani na herbatę - ośmieliła się przerwać jej Sophie. Wiedziała, że jeśli zaraz nie wyjdzie, straci całą determinację. - Nie znam pracodawczyni, która w taki sposób traktowałaby służące. -Przełknęła ślinę. - Będę za wami tęsknić.

- Nie musisz odchodzić.  
Sophie próbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł jej płaczliwy grymas.  
- Muszę.  
Lady Bridgerton przez długą chwilę patrzyła na nią ze współczuciem.  
- Rozumiem - powiedziała cicho. - Spotkamy się na dole.  
Po wyjściu na korytarz wicehrabina dostrzegła zniszczoną torbę.  
- To cały twój dobytek? - zapytała.  
- Tak.  
Lady Bridgerton lekko poczerwieniła, jakby nagle zawstydziła się własnego bogactwa.  
- Nieważne, co się posiada - stwierdziła Sophie. - Nie tego pani zazdrościsz... - Głos uwiązał jej w krtani.  
- Wiem, co masz na myśli. Dziękuję. Pozwól jednak, że dam ci trochę pieniędzy.  
Sophie potrząsnęła głową. - Nie mogę ich przyjąć.  
Wzięłam dwie suknie. Nie chciałam, ale... - Wszystko w porządku. Przecież te, w których przyjechałaś, zostały wyrzucone. - Wicehrabina odchrząknęła zakłopotana. - Nie wzbraniaj się, proszę. Będę się lepiej czuć.  
Patrzyła w taki sposób, że trudno było jej odmówić. Poza tym Sophie naprawdę potrzebowała pieniędzy. Może wystarczyłoby jej na bilet trzeciej klasy na statku płynącym do Ameryki.  
- Dziękuję - powiedziała, zanim odezwało się w niej sumienie.  
Postała trochę w holu, ale w końcu stwierdziła, że w ten piękny wiosenny dzień równie dobrze może



poczekać na zewnątrz. Poza tym tutaj groziło niebezpieczeństwo, że wpadnie na nią któraś z dziewcząt. Nie chciała się z nimi żegnać.

Wzięła torbę i wyszła przed dom. Karoca wkrótce powinna zajechać. Za pięć minut, góra dziesięć...

- Sophie Beckett!

Żołądek podszedł jej do gardła. Araminta! Jak mogła zapomnieć?

Rozejrzała się gorączkowo, szukając drogi ucieczki. Gdyby wbiegła z powrotem do domu, hrabina wiedziałaby, gdzie ją znaleźć, natomiast gdyby ruszyła ulicą...

- Konstabl! - wrzasnęła lady Penwood. - Konstabl!

Sophie rzuciła torbę i zaczęła biec.

- Niech ktoś ją zatrzyma! Złodziejka! Trzymać złodziejkę!

Pędziła dalej z całych sił.

Aż ktoś przewrócił ją na ziemię.

- Mam ją! Mam ją!

Sophie syknęła z bólu. Uderzyła głową w chodnik, a mężczyzna, który ją złapał, praktycznie siedział jej na brzuchu.

- Tu jesteś! - zaskrzeczała Araminta. - Sophie Beckett! Złodziejka!

Sophie spiorunowała ją wzrokiem. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Szukałam cię - powiedziała hrabina z uśmiechem satysfakcji. - Posy cię widziała.

Sophie na moment zamknęła oczy. Och, Posy. Na pewno nie chciała jej wydać, ale często mówiła szybciej niż myślała.

Araminta przysunęła stopę bardzo blisko jej ramienia unieruchomionego przez mężczyznę, po czym uśmiechnęła się złośliwie i przydepnęła jej dłoń.

- Nie powinnaś była mnie okradać - syknęła. - Te raz mogę wtrącić cię do więzienia. Prawda jest po mojej stronie.

W tym momencie podbiegł do nich jakiś człowiek.

- Policjanci są w drodze, milady. Zaraz zabierzemy tę złodziejkę.

Sophie przygryzła dolną wargę, modląc się w duchu, żeby policjanci dotarli na miejsce, kiedy lady Bridgerton wyjdzie z domu, a jednocześnie, żeby przybyli natychmiast, zanim pracodawczyni ujrzy jej hańbę.

Zjawili się dwie minuty później, wrzucili ją do powozu i odwieźli do więzienia.

Po drodze rozmyślała o tym, że Bridgertonowie nigdy się nie dowiedzą, co się z nią stało. I może tak będzie lepiej.

*Ależ wczoraj było zamieszanie przed domem lady Bridgerton przy Bruton Street.*

*Najpierw widziano Penelope Featherington w towarzystwie nie jednego, lecz aż trzech braci Bridgertonów, co jest gratką nie lada dla biednej dziewczyny, która słynie z podpierania ścian. To smutne, że wracając do domu, wspierała się na ramieniu wicehrabiego, jedyne go żonatego mężczyzny w tym gronie.*

*Gdyby pannie Featherington udało się zaciągnąć do ołtarza jednego z braci, oznaczałoby to koniec znanego nam świata. Pisząca te słowa przyznaje, że nie umiałaby się w nim odnaleźć i musiałaby zrezygnować ze swojego zajęcia.*

*Jakby tego było mało, niecałe trzy godziny później przed tą samą rezydencją pewna młoda osoba została napadnięta przez lady Penwood, która mieszka trzy domy dalej. Podobno kobieta, która, jak podejrzewa pisząca te słowa, pracuje u Bridgertonów, kiedyś służyła u hrabiny. Lady Penwood oświadczyła, że dziewczyna okradła ją dwa lata temu, i posłała biedaczkę do więzienia.*

*Pisząca te słowa nie ma pewności, jaka kara obecnie grozi za kradzież, ale należy podejrzewać, że surowa, jeśli osobą pokrzywdzoną jest hrabina. Nieszczęsna kobieta prawdopodobnie zostanie powieszona albo w najlepszym razie zesłana.*

Następnego ranka pierwszym pragnieniem Benedicta był mocny drink. Albo trzy. Mimo skandalicznej pory zapomnienie jawiło mu się kusząco po emocjonalnych przeżyciach poprzedniego dnia.

Wtedy jednak przypomniał sobie, że umówił się na fechtunek z Colinem. Zwycięstwo nad bratem wydało mu się raptem jeszcze bardziej kuszące, choć biedak nie miał nic wspólnego z jego paskudnym nastrojem.

Po to są bracia, pomyślał z ponurym uśmiechem, wkładając strój.

Mam tylko godzinę - uprzedził Colin. - Po południu muszę się z kimś spotkać.

Nie szkodzi. Wystarczy mi godzina, żeby cię pokonać. Gotowy?

- Niezupełnie.

Benedict zrobił wypad.

- Mówiłem, że jeszcze nie jestem gotowy! - wrzasnął Colin, robiąc unik.

- Jesteś zbyt powolny. Brat zaklął pod nosem.

- Co w ciebie wstąpiło?

- Nic - warknął Benedict. - Dlaczego tak sądzisz? Colin cofnął się na stosowną odległość.

- Nie wiem - odparł z wyraźnym sarkazmem. -Pewnie dlatego, że omal nie uciąłeś mi głowy.
- Mam ochraniacz na florecie.
- A tniesz jak szablą - odparował brat.

Benedict uśmiechnął się wyzywająco.

- Tak jest zabawniej.
- Nie dla mojej szyi. Na pewno masz w ręce floret? Brat łypnął na niego spode łba.
- Na litość boską, nigdy nie użyłbym prawdziwej broni.
- Tylko się upewniam. Gotów?

Benedict skinął głową.

- Zwykle zasady - powiedział Colin. - En garde! Obaj przybrali szermierczą postawę.
- Nowy? - zapytał nagle brat, mierząc wzrokiem rękojeść jego floretu. - Mogę kiedyś go pożyczyć? Chętnie bym sprawdził, czy...
- Tak! - warknął Benedict. - Zaczynamy?

Widząc krzywy uśmiech Colina, zrozumiał, że bra tu chodziło o wyprowadzenie go z równowagi.

- Jak sobie życzysz.

Benedict natychmiast ruszył do ataku, ale jak zwykle ostrożny Colin cofnął się o krok i z wprawą odparował cios.

- Jesteś dzisiaj w piekielnie złym nastroju - stwierdził.
- Miałem kiepski dzień.

Ponownie zaatakował, ale brat zrobił zgrabny unik.

- Ładna riposta - pochwalił, rękojeścią dotykając czoła w ironicznym salucie.
- Zamknij się i walcz - burknął Benedict.

Colin roześmiał się i tym razem on przejął inicjatywę, zmuszając go do obrony.

- Na pewno chodzi o kobietę - powiedział. Benedict z furią przystąpił do kontrataku.
- Nie twoja cholerna sprawa.
- Więc jednak kobieta - orzekł Colin z zadowoleniem.

nym uśmiechem i w tym momencie został trafiony w obojczyk.

- Punkt dla mnie! - zawołał Benedict.

- Tak - przyznał brat z lekkim ukłonem. Obaj wrócili na środek sali.

- Gotowy? Benedict

skinął głową.

- Kn gardę!

Tym razem Golin pierwszy zrobił wypad.

- Jeśli potrzebujesz rady...

Benedict odparł atak z taką furią, że brat aż zatoczył się do tyłu.

- Gdybym potrzebował rady w sprawie kobiety, byłbyś ostatnią osobą, do której bym się zwrócił.

- Ranisz mnie.

- Nie. Mam ochraniacz.

- Na pewno lepiej sobie radzę z kobietami niż ty.

- Doprawdy? - rzucił Benedict sarkastycznie i prze-drzeźniając brata, powiedział: - Nigdy nie ożenię się z Penelope Featherington.

Colin się skrzywił.

- Nie wiedziałem, że za mną stoi.

Benedict zadał cios, ale czubek floretu o włos minął ramię przeciwnika.

- To żadne usprawiedliwienie. Znajdowałeś się w miejscu publicznym. Nawet gdyby jej tam nie było, ktoś inny mógłby cię usłyszeć i twoje oświadczenie trafiłoby do „Kroniki”.

Golin ripostował jak burza i trafił go w brzuch.

- Punkt.

Benedict skinął głową.

- Niezręcznie się zachowałem - przyznał Golin, idąc na środek sali. - Natomiast ty jesteś głupi.

-- Co to ma znaczyć, do diabła? Brat westchnął i podniósł maskę.

- Dlaczego nie zlitujesz się nad nami i nie ożenisz z tą dziewczyną?

Benedict wytrzeszczył oczy i opuścił broń. Czyżby Colin nie zdawał sobie sprawy, o kim rozmawiają?

Zdjął maskę i spojrzał mu w oczy. Omal nie jęknął. Jego brat znał prawdę. Cóż, nie powinien być zaskoczony. Eloise zawsze chętnie dzieliła się z Colinem swoją wszechwiedzą.

- Skąd wiedziałeś? - zapytał w końcu. Brat uśmiechnął się półgębkiem.

- O Sophie? Ślepy by zauważył.

- Ale ona jest...

- Pokojówką? I co z tego? Co się stanie, jeśli ją poślubisz? Wyklną cię ludzie, na których i tak ci nie zależy? Do diabła, ja nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zaczęły mnie unikać pewne osoby, z którymi muszę się stykać.

Benedict wzruszył ramionami.

- Nie obchodzi mnie ich reakcja. --

Więc w czym rzecz?

- To skomplikowana sprawa.

- Czasami tylko tak się wydaje.

Benedict wbił czubek floretu w podłogę i przez chwilę zastanawiał się nad tą uwagą.

- Pamiętasz bal maskowy naszej mamy?

- Ten, który urządziła dwa lata temu, zanim wyprowadziła się z Bridgerton House?

- Tak. A pamiętasz kobietę w srebrnej sukni? Wpadłeś na nas w holu.

- Oczywiście... - Colin nagle wytrzeszczył oczy. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że to była Sophie?

- Ciekawe, co? - mruknął Benedict.
- Ale... Jak...
- Nie wiem, jak się tam dostała, ale nie jest pokojówką.
- Nie?
- No, tak, lecz jednocześnie nieślubną córką hrabiego Penwood.
- Chyba nie obecnego?
- Nie. Tego, który umarł parę lat temu.
- Wiedziałaś o tym?
- Nie.
- Aha. - Colin w zamyśleniu przygryzł wargę. - Rozumiem. I co teraz zrobisz?
- To bardzo dobre pytanie.

Choć wściekły na Sophie, sam też nie był bez winy. Złe zrobił, nalegając, żeby została jego kochanką. Powinien uszanować jej odmowę i zostawić ją w spokoju.

Matka słusznie zauważyła, że jest szczęściarzem. Rzeczywiście prowadził rajskie życie, miał kochającą rodzinę, majątek, mógł spełniać wszystkie swoje zachcianki. Jedynym nieszczęściem, które go spotkało, była przedwczesna śmierć ojca, i nawet wtedy pomogli mu bliscy.

A teraz? Gdyby poślubił nieślubną córką hrabiego, londyńska śmietanka może by ją zaakceptowała, ale na pewno traktowałaby chłodno. On i jego żona musieliby prawdopodobnie zamieszkać na wsi.

Lecz wystarczyła mu sekunda, by zrozumieć, że wolałby spokojne życie z Sophie niż brylowanie w towarzystwie bez niej.

Czy to takie straszne, że ukryła przed nim prawdę? Przecież kiedy się całowali, śmiali albo rozmawiali, nie udawała ani przez chwilę. Radował go sam jej



widok, wystarczyło mu, że siedzi przy nim w milczeniu, podczas gdy on rysuje. I kochał ją.

- Wyglądasz, jakbyś powziął decyzję - stwierdził cicho Colin.

Benedict zmierzył go wzrokiem. Od kiedy to jego brat jest taki spostrzegawczy? Kiedy w ogóle dorósł? Zawsze uważał go za czarującego lekkoducha, ale gdy teraz mu się przyjrzał, zobaczył dojrzałego mężczyznę o mądrych oczach.

- Muszę ją przeprosić - powiedział.

- Na pewno ci wybaczy.

- Ona też jest mi coś winna.

Colin pohamował ciekawość i spytał jedynie:

- A ty jej wybaczysz?

Gdy Benedict skinął głową, brat wyjął mu floret z ręki.

- Odłożę go na miejsce.

- W takim razie już pójdę.

- Pospiesz się.

Pod wpływem przemożnego impulsu Benedict chwycił go w objęcia.

- Nieczęsto to mówię, ale kocham cię - rzeki szorstko.

-Ja ciebie też, bracie - powiedział Colin i uśmiechnął się szeroko. - A teraz się wynoś.

Benedict cisnął mu maskę i wybiegł z sali.

- Co to znaczy „zniknęła”?

- Po prostu odeszła. - Oczy matki wyrażały smutek i współczucie.

Benedict poczuł dudnienie w skroniach. Cud, że głowa mu nie pękła.

- I pozwoliłaś jej odejść? Dokąd pojechała?

- Nie wiem. Nalegałam, żeby wzięła jeden z naszych powozów, bo martwiłam się o jej bezpieczeństwo, a poza tym chciałam znać cel jej podróży.

Syn walnął pięścią w biurko.

- I co się stało?

- Poszłam wydać polecenie, żeby przygotowano karoce, a kiedy wróciłam, już jej nie zastałam.

Benedict zmełł w ustach przekleństwo. Sophie prawdopodobnie nadal przebywała w Londynie, ale znalezienie w tak wielkim mieście kogoś, kto się ukrywał, było prawie niemożliwe.

Nerwowym gestem przecesał włosy rękami i dopiero teraz, zauważył, że ma na sobie strój do fechtunku.

- O, Jezu - mruknął, przewracając oczami, i dodał pospiesznie: - Tylko żadnych wykładów na temat bluźnierstwa, mam, proszę.

- Nawet o tym nie pomyślałam.

- Gdzie mam jej szukać?

- Nie wiem. Przykro mi. Lubiłam Sophie.

- To córka Penwooda. Violet zmarszczyła brwi.

- Tak podejrzewałam. Nieślubna, jak sądzę?

Benedict skinął głową.

Matka nie zdążyła się odezwać, bo w tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i do gabinetu wpadła Francesca, a tuż za nią Hyacinth.

- Co się stało?!

- Sophie! - wysapała córka.

- Wiem. Odeszła. My...

- Nie! - Hyacinth rzuciła na biurko jakieś piśmi-  
ko. - Sama zobacz.

Benedict, który od razu rozpoznał ostatnie wyda-

nie „Kroniki”, sięgnął po nią błyskawicznym ruchem, ale matka go uprzedziła. Serce w nim zamarło, gdy z pobladałą twarzą wręczyła mu gazetę. Szybko przebiegł wzrokiem artykuł, pomijając fragmenty o diuku Ashbourne i hrabim Macclesfieldzie oraz Penelope Featherington.

- Więzienie? - wykrztusił.

- Musimy ją uwolnić - oświadczyła wicehrabina tonem generała szykującego się do bitwy.

Ale syn już wybiegł z pokoju.

- Poczekaj! - zawołała Violet. - Ja też idę. Benedict zatrzymał się dopiero przed schodami.

- Nie. Nie chcę cię narażać...

- Daj spokój, nie jestem mimozą. Zaświadczę o uczciwości Sophie.

- Idę z wami - oznajmiła Hyacinth, podchodząc do nich razem z Franceską.

- Nie! - krzyknęli jednocześnie matka i brat.

- Ale...

- Powiedziałam nie! - ucięła lady Bridgerton.

- Zdaje się, że nie mam po co prosić... - zaczęła

Francesca.

- Możesz nie kończyć - przerwał jej brat.

- Nawet nie pozwoliłeś mi spróbować. Benedict zignorował siostrę i zwrócił się do matki.

- Musimy ruszać natychmiast.

Wicehrabina kiwnęła głową.

- Sprowadź powóz. Zaczekam przed domem.

Dziesięć minut później byli w drodze.

*Ależ ostatnio ruch panuje na Bruton Street! W piątek rano wicehrabina wdowa i jej syn odjechali spod swojego domu, jakby się paliło, przy czym Benedict Bridgerton niemal wrzucił matkę do karocy. W drzwiach rezydencji stały jego dwie młodsze siostry i pisząca te słowa zaświadcza swoim autorytetem, że Francesca mówiła bardzo niekobiece słowa.*

*Nie tylko u Bridgertonów panowało zamieszanie. U Penwoodów również wiele się działo, zwłaszcza na frontowych schodach, gdzie doszło do publicznej awantury między hrabiną a jej córką, panną Posy R-iling.*

*Jako że pisząca te słowa nigdy nie lubiła lady Penwood, może tylko powiedzieć: Brawo Posy!*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 16 czerwca 1817*

Było zimno, a z ciemności dobiegały nieprzyjemne odgłosy, powodowane przez małe, czworonożne stworzenia o bezwłosych ogonach.

- O, Boże! - jęknęła Sophie.

Rzadko wzywała imię Pańskie nadaremnie, a w dodatku tym razem usprawiedliwiały ją okoliczności. Miała nadzieję, że Wszechmocny ją wysłucha i ześle

piorun. Marzenie niemal dorównywało cudownej wizji, w której żyła długo i szczęśliwie jako pani Benedictowa Bridgerton.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy jej serce przeszył ból na myśl, że prędzej doczeka się zagłady szczurów.

Była zdana wyłącznie na siebie. Po prawdzie, nie wiedziała, dlaczego akurat teraz się nad sobą użala, skoro w nikim nie miała oparcia, odkąd babcia zostawiła ją na schodach Penwood Park.

Zaburczało jej w brzuchu, przypominając, że do listy nieszczęść może dodać głód.

I pragnienie. Nie dostała ani łyka wody i już zaczynała roić o herbacie. Poza tym w celi panował taki odór, że musiała pamiętać o tym, by oddychać ustami. Czowała się brudna, nie mogła nawet umyć rąk.

- Masz gościa.

Słyszac burkliwy głos strażnika, zerwała się na równe nogi. Czyżby Benedict przyszedł jej z pomocą?

- No, proszę, Sophie Beckett.

Serce w niej zamarło. Araminta!

- Nigdy bym nie przypuszczała, że będziesz miała czelność pokazać się w Londynie - stwierdziła lady Penwood, zatykając nos chusteczką.

Sophie zacisnęła usta. Wiedziała, że hrabina chce ją sprowokować, więc postanowiła, że nie da jej satysfakcji.

- Niedobrze. - Araminta pokiwała głową z udawanym współczuciem i dodała szeptem: - Sąd niezbyt przychylnie traktuje złodziei.

Sophie skrzyżowała ramiona i utkwiała wzrok w ścianie.

- Klamerki od butów były niewiele warte, ale są-

dzia bardzo się rozgniewał, gdy poinformowałam go o kradzieży obrączki - ciągnęła hrabina.

- Ja nie... - Ugryzła się w język.

- Naprawdę? - Araminta uśmiechnęła się chytrze. - Nie mam jej na palcu. Twoje słowo przeciwko mojemu.

Miała rację. Każdy sąd prędzej uwierzy hrabinie niż pokojówce.

- Ten człowiek, strażnik, mówi, że raczej cię nie powieszają, więc nie musisz się bać. Bardziej prawdo podobne jest zesłanie.

Sophie omal się nie roześmiała. Zaledwie dzień wcześniej zastanawiała się nad emigracją do Ameryki. Teraz wyglądało na to, że opuści Anglię, tyle że celem jej podróży będzie Australia.

- Wstawię się za tobą i poproszę o łagodność. Nie chcę, żeby cię stracono. Wystarczy, jeśli znikniesz Stąd na zawsze.

- Co za miłosierdzie! Sędzia będzie wzruszony.

- Prawda?

- Dlaczego mnie pani nienawidzi? - zapytała nagle Sophie.

Araminta przez chwilę mierzyła ją wzrokiem, a następnie wyszczała przez zęby:

- Bo on cię kochał. - W jej oczach pojawił się twarde wyrażenie. - I nigdy mu tego nie wybaczę.

Sophie z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Nigdy mnie nie kochał.

- Ubierał cię i karmił. Zmusił mnie, żebym mieszkała z tobą pod jednym dachem.

- To nie była miłość, tylko poczucie winy. Gdyby mnie kochał, nie zostawiłby pod pani opieką. Musiał wiedzieć, że pani mnie nienawidzi. Gdyby kochał,

nie zapomniałby o mnie w testamencie. Gdyby kochał... -  
Urwała raptownie. - Znalazłby czas, żeby ze mną  
porozmawiać. Zapytałby, jak minął dzień, czego się  
nauczyłam, czy smakowało mi śniadanie. -Przełknęła ślinę i  
odwróciła się plecami do hrabiny. Nie mogła na nią patrzeć.  
- Nigdy mnie nie kochał. Nie umiał kochać.

Przez długą chwilę obie milczały, aż w końcu Araminta  
powiedziała cicho:

- Karał mnie.

Sophie odwróciła się powoli.

- Za to, że nie dałam mu dziedzica. Z początku nie-  
nawidziałam cię, bo zostałam zmuszona do wychowywania  
bękarta własnego męża. Ale później... - Lady Penwood  
oparła się o ścianę, jakby raptem zabrakło jej sił. - Dlaczego  
jakaś ladaczniczka urodziła mu dziecko, a ja nie? Po prostu nie  
mogłam znieść twojego widoku. Nienawidziałam twojego  
głosu, oczu takich samych jak u niego. Tego, że mieszkasz  
w moim domu.

- To był również mój dom - przypomniała cicho Sophie.

- Tak. Wiem. Z tym również nie umiałam się pogodzić.

- Po co pani tu przyszła? Jeszcze pani mało? Przecież  
ześlą mnie do Australii.

Araminta wzruszyła ramionami.

- Chciałam zobaczyć cię w więzieniu. Trzygodzin  
na kąpiel nie wystarczy, żeby pozbyć się tego smro-  
du, ale warto było.

- A ja nie mam ochoty patrzeć na panią.

Podeszła do chwiejnego stolika o trzech nogach  
i usiadła plecami do krat, dumnie wyprostowana, by  
pokazać, że nikomu nie uda się złamać jej ducha.

Po jakichś dziesięciu minutach zerwała się i krzyknęła:  
- Pójdzie sobie pani wreszcie?  
Araminta przekrzywiła głowę.  
- Myślę.  
Sophie bała się zapytać, o czym.  
- Zastanawiam się, jak jest w Australii. Słyszałam, że potwornie gorąco. A ty, z twoją jasną skórą, chyba nie wytrzymasz ostrego słońca. Po prawdzie... Co, u licha...  
Na korytarzu zrobiło się jakieś zamieszanie.  
- Benedict? - wyszeptła Sophie, słysząc znajomy głos.  
- Co mówiłaś? - zapytała hrabina, wyciągając szyję.  
Sophie przycisnęła twarz do krat.  
- Proszę nas wpuścić!  
- Benedykcje!  
Zapomniała o tym, gdzie się znajduje. Najważniejsze, że do niej przyszedł.  
Nagle rozległ się odgłos uderzenia, a zaraz po nim głuchy huk, jakby coś ciężkiego upadło na kamienną posadzkę.  
Potem szybkie kroki i...  
- Benedict!  
- Sophie! Na Boga, wszystko w porządku?  
Sięgnął przez kraty, wziął w dłoń jej twarz. Przywarł ustami do jej warg, ale w jego pocałunku nie było namiętności, tylko ulga.  
- Pan Bridgerton? - wykrztusiła lady Penwood.  
Sophie oderwała wzrok od Benedicta i zerknęła na wstrząśniętą Aramintę. Był to jeden z najwspanialszych momentów w jej życiu. Możliwe, że okazała się mściwa i płytką, ale poczuła ogromną satysfakcję, że lady Penwood, dla której władza i pozycja są wszyst-



kim, jest świadkiem, jak całuje ją jeden z najbardziej pożądanym kawalerów w Londynie.

Tymczasem Benedict odsunął się niechętnie, skrzyżował ramiona i posłał hrabinie groźne spojrzenie.

- O co ją pani oskarża? - zapytał.

Mimo skrajnej niechęci Sophie musiała przyznać, że Araminta nie jest głupia. Zamiast się tłumaczyć, jak zrobiłby to ktoś inny w jej sytuacji, położyła ręce na biodrach i huknęła:

- O kradzież!

- Nie wierzę, żeby Sophie coś takiego zrobiła - oświadczyła lady Bridgerton, która właśnie w tym momencie dołączyła do syna. - Nigdy pani nie lubiłam, lady Penwood.

Hrabina cofnęła się, przykładając dłoń do piersi.

- Nie chodzi o mnie, tylko o tę dziewczynę, która miała czelność ukraść moją obrączkę!

- Nie wzięłam obrączki i dobrze pani o tym wie! - zaprotestowała Sophie.

- Ukradłś mi klamerki od butów!

Sophie nic nie odpowiedziała.

- Ha! Widzicie! - Araminta potoczyła wzrokiem po obecnych, badając ich reakcję. - Milczy, więc przyznaje się do winy.

- Jest pani pasierbicą - przypomniał Benedict. - Nie powinna znaleźć się w sytuacji, w której zmuszona była... Hrabina poczerwieniła na twarzy.

- Niech pan nie waży się nazywać jej moją pasierbicą. Jest dla mnie nikim. Niczym!

- Proszę wybaczyć, ale jeśli naprawdę jest dla pani nikim, nie powinna pani przychodzić do tego brudnego więzienia, żeby doprowadzić do jej skazania - zauważyła lady Bridgerton.

Od odpowiedzi wybawiło Aramintę przybycie urzędnika sądowego, któremu towarzyszył wściekły strażnik z podbitym okiem.

Sophie nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Ten sam człowiek bezceremonialnie wepchnął ją do celi, klepiąc w siedzenie.

- Co się tu dzieje? - zapytał urzędnik.

- Ta kobieta oskarżyła moją narzeczoną o kradzież - odparł Benedict.

Z wrażenia pod Sophie ugięły się kolana.

- Narzeczona? - wykrztusiła Araminta.

- A pan kim jest, sir?

Gdy Benedict wymienił swoje nazwisko, mężczyzna zbladł.

- Krewny wicehrabiego?

- Brat.

- A to pańska narzeczona?

Sophie czekała na grom z jasnego nieba, ale ku jej zaskoczeniu nic się nie wydarzyło, a w dodatku lady Bridgerton pokiwała głową.

- Nie może się pan z nią ożenić - oświadczyła hrabina.

Benedict odwrócił się do matki.

- Czy istnieje jakiś powód, dla którego powinienem wysłuchać rady lady Penwood?

- Nic nie przychodzi mi do głowy - odparła Violet.

- To złodziejka! - syknęła Araminta. - A jej matka była kokotą...

Bridgerton błyskawicznym ruchem chwycił ją za gardło.

- Proszę mnie nie zmuszać, żeby pania uderzył - wycedził przez zęby.

Urzędnik sądowy poklepał go po ramieniu

- Proszę puścić tę damę.

- A mogę nałożyć jej kaganiec?

Mężczyzna oniemiał, a Benedict z wyraźną niechęcią zabrał ręce z szyi hrabiny.

- Jeśli pan ją poślubi, zadbam o to, by wszyscy się dowiedzieli, kim ta osoba jest naprawdę - ostrzegła Araminta. - Nieślubną córką ladacznicy.

Sędzia zmierzył ją surowym wzrokiem.

- Nie ma potrzeby używać takiego języka.

- Sytuacja wymaga ostrych słów - odparła hrabina z pogardliwym prychnięciem.

Benedict chyba uznał, że sytuacja wymaga mocnych pięści, bo zacisnął dłonie.

Urzędnik odchrząknął zmieszany.

- Oskarża pani tę kobietę o bardzo poważne przestępstwo, a ona wychodzi za mąż na Bridgertona.

- Ja jestem hrabiną Penwood!

Mężczyzna z niepewną miną powiódł wzrokiem po obecnych.

- Okradła mnie!

- Nie, to pani ją okradła! - ryknął Benedict, trzęsąc się z gniewu. W celi zapadła cisza. - Okradła ją pani z dzieciństwa. - Moja narzeczoną jest nieślubną córką hrabiego Penwood. Właśnie dlatego wdowa po nim fałszywie oskarżyła ją o kradzież. Z zemsty i nienawiści.

- Czy to prawda? - zapytał sędzia, przenosząc spójrzenie na aresztowaną. - Została pani fałszywie oskarżona?

- Zabrała mi klamerki od butów! - krzyknęła Araminta. - Przysięgam na grób męża!

- Na litość boską, mamó, to ja wzięłam te klamerki.

Sophie wytrzeszczyła oczy.

- Posy?

- Wynoś się stąd! - syknęła matka. - To nie twoja sprawa.  
- Chyba że mówi prawdę - wtrącił sędzia. - Chce pani ją oskarżyć?  
- To moja córka!  
- Proszę mnie wsadzić do celi! - zażądała Posy dramatycznym tonem. - I razem z Sophie skazać na zesłanie za kradzież.  
Benedict uśmiechnął się po raz pierwszy od kilku dni.  
Strażnik wyjął klucze.  
- Sir? - zapytał z wahaniem.  
- Odłóż je! - warknął urzędnik. - Przecież nie zamkniemy córki hrabiny.  
- Chwileczkę - odezwała się lady Bridgerton. - Domagam się natychmiastowego uwolnienia mojej przyszłej synowej.  
Strażnik bezradnie popatrzył na sędziego, a ten wskazał ręką na pannę Beckett:  
- Dobrze. Proszę ją zwolnić, ale nikt stąd nie wyjdzie, póki wszystkiego sobie nie wyjaśnimy.  
Mimo protestów hrabiny Sophie została wypuszczona z celi, ale kiedy chciała podejść do Benedicta, urzędnik zawołał:  
- Nie tak szybko! Najpierw muszę ustalić, kogo trzeba aresztować.  
- Nikogo - burknął Benedict.  
- Ta dziewczyna popłynie do Australii! - krzyknęła Araminta.  
- Proszę mnie wsadzić do celi! - wyszeptła jej córka, przykładając dłoń do czoła.  
- Przestań - syknęła Sophie. - Wierz mi, że tu jest okropnie. I są szczury.  
Posy cofnęła się gwałtownie.

- W tym mieście już nigdy nie dostanie pani żadnego zaproszenia - powiedziała Violet do lady Penwood.

- Jestem hrabiną! - warknęła Araminta.

- A ja jestem bardziej lubiana - odparła lady Bridgerton tak jadowitym tonem, że Benedict i Sophie otworzyli usta ze zdziwienia.

- Dość tego! - huknął sędzia i zwrócił się do Posy: Czy to pani matka?

Dziewczyna kiwnęła głową.

- I twierdzi pani, że ukradła jej klamerki od butów?

- Tak, ale obrączki nikt nie wziął. Leży w domu, w szkatułce z biżuterią.

- Nieprawda! - wrzasnęła Araminta.

- W tej, którą trzymasz w drugiej od lewej szufladzie komody - dodała córka.

Matka zbladła.

- Nie wydaje się, żeby pani miała dowody przeciwko panie Beckett, lady Penwood - stwierdził sędzia.

Hrabina zatrzęsała się z wściekłości.

- Okradła mnie - powiedziała, celując palcem w Sophie, a następnie przeniosła gniewny wzrok na Posy. - Moja córka kłamie. Nie wiem, dlaczego, ale kłamie.

W żołądku Sophie zaczęło się dziać coś dziwnego, gdy zrozumiała, że po powrocie do domu biedną dziewczynę czekają kłopoty. Nie miała wątpliwości, że Araminta zemści się za publiczne upokorzenie. Nie mogła pozwolić, żeby Posy wzięła na siebie winę. Nim zdążyła się zastanowić, słowa same popłynęły jej z ust.

- Ona nie... - Nie dokończyła zdania, bo Posy dzieliła ją łokciem w brzuch.

Mocno.

- Coś pani mówiła? - zapytał sędzia.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko potrząsnęła głową. Urzędnik westchnął ze znużeniem, przeczesał dłonią rzadzące jasne włosy i popatrzył kolejno na wszystkich obecnych.

- Najwyraźniej chodzi o coś więcej niż o skradzioną klamerkę - stwierdził z miną, która wyraźnie świadczyła, że chciałby być gdzieś indziej.

- Klamerki - sprostowała Araminta. - Były dwie.

- Tak czy inaczej, obie panie się nienawidzą, a ja chciałbym wiedzieć, dlaczego, zanim kogokolwiek oskarżę.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, a potem wszyscy przemówili jednocześnie.

- Cisza! - krzyknął sędzia i wskazał na pannę Bectt. - Pani zaczyna.

Sophie nagle poczuła się onieśmielona, ale gdy urzędnik chrząknął znacząco, oświadczyła pospiesznie:

- Rzeczywiście jestem córką lorda Penwood, choć nigdy nie zostałam przez niego oficjalnie uznana.

Araminta otworzyła usta, ale sędzia posłał jej takie spojrzenie, że czym prędzej je zamknęła.

- Hrabia utrzymywał, że jest moim opiekunem, ale wszyscy znali prawdę. Mieszkałam w Penwood Park przez siedem lat. - Umilkła na chwilę, przypominając sobie twarz ojca, i z zaskoczeniem stwierdziła, że nigdy nie widziała jego uśmiechu. - Jestem do niego bardzo podobna.

- Znałam twojego ojca - powiedziała cicho lady Bridgerton. - I ciotkę. Teraz już wiem, dlaczego wy dawałaś mi się znajoma.

Sophie posłała jej uśmiech wdzięczności. Poczuła się pewniej.

- Proszę kontynuować - polecił sędzia.

- Kiedy hrabia się ożenił, jego żona nie chciała, żebym z nimi mieszkała, lecz mój ojciec postawił na swoim. Rzadko go widywałam i chyba niewiele go obchodziłam, ale uważał, że jest za mnie odpowiedzialny, i nie pozwolił mnie wyrzucić. Ale kiedy umarł... - Przełknęła ślinę. Nigdy wcześniej nie opowiadała nikomu tej historii. - Kiedy umarł, zawarł w testamencie warunek, że wdowa dostanie trzy razy większą roczną pensję, jeśli mnie zatrzyma do czasu aż skończę dwadzieścia lat. Lady Penwood tak zrobiła, ale moja pozycja w domu zmieniła się dramatycznie. Zostałam służącą. No, nie zupełnie służącą. Raczej niewolnicą.

Zerknęła na Aramintę. Hrabina stała ze skrzyżowanymi ramionami i zadartym nosem. Usta miała za ciśnięte. I nagle uderzyło Sophie, że ten wyraz twarzy widywała tak często, że już dawno powinna się załamać, a mimo to stała przed swoją dręczycielką silniejsza niż kiedykolwiek.

- Sophie! - Benedict patrzył na nią z troską.

Wszystko w porządku?

Skinęła głową, bo rzeczywiście, że wszystko było w porządku. Mężczyzna, którego kochała, właśnie poprosił ją o rękę, choć w dość niezwykły sposób. Araminta w końcu dostała to, na co zasłużyła, a w do datku Posy, która zawsze chciała być dla niej siostrą, wreszcie ośmieliła się przeciwstawić matce. Gdyby Benedict jej nie znalazł i nie oświadczył, że jest jego narzeczoną, tylko świadectwo Posy mogłoby uratować ją przed zesłaniem... albo nawet egzekucją. I lepiej niż ktokolwiek wiedziała, że dziewczyna drogo zapłaci za swoją odwagę. Araminta już pewnie myślała, jak uczynić jej życie piekłem.

- Pozwólcie, że dokończę. Po śmierci hrabiego lady Penwood zatrzymała mnie jako darmową pokojówkę, ale zmuszała mnie do pracy za trzy.

- Lady Whistledown to samo napisała w zeszłym miesiącu! - wtrąciła Posy z ożywieniem. - Mówiłam mamie, że...

- Zamknij się! - warknęła Araminta.

- Nie odpawiła mi jednak, kiedy skończyłam dwadzieścia lat - ciągnęła Sophie. - Aż do dzisiaj nie wiedziałam, dlaczego.

- Chyba już dość usłyszeliśmy - stwierdziła hrabina.

- Nie sądzę - warknął Benedict.

Sophie zerknęła na sędziego, a ten skinął głową.

- Zapewne odpowiadała jej, że ma służącą na każde skinienie i w dodatku nie musi jej płacić. Ojciec nic mi nie zapisał w testamencie.

- Nieprawda! - krzyknęła Posy. - Zostawił ci pieniądze.

- To niemożliwe. Zadbaj o moje utrzymanie do dwudziestego roku życia, a potem...

- Potem miałaś dostać posag.

- Posag? - wyszeptła Sophie.

- Ona zmyśla! - wrzasnęła Araminta.

- Nie zmyślam - oświadczyła córka. - Nie trzeba było zostawiać dowodów, mamie. W zeszłym roku przeczytałam kopię testamentu hrabiego. Była w tej samej szkatułce co obrączka ślubna.

- Ukradła mi pani posag? - wykrztusiła Sophie.

Przez wszystkie te lata sądziła, że jest biedna jak mysz kościelna. Wiedziała, że ojciec nigdy jej nie kochał, ale bolało ją, że zatroszczył się o przyszłość pasierbic, a jej nie zostawił nawet pensa. Nie żeby świadomie ją ignorował, raczej o niej zapomniał, co było jeszcze gorsze niż odrzucenie.



- Mam posag - powiedziała oszołomiona, zwracając się do Benedicta.

- Nie obchodzą mnie twoje pieniądze. Nie potrzebuję ich.

- Ale mnie obchodzą. Myślałam, że spisując swoją ostatnią wolę, całkiem o mnie zapomniał. Wiem, że nie mógł zostawić majątku nieślubnej córce. Lecz o przyszłość podopiecznej mógł zadbać. Tak się przecież robi.

Sędzia odchrząknął i zwrócił się do lady Penwood.

- Co się stało z tym posagiem?

Hrabina nic nie odpowiedziała.

Lady Bridgerton uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Nie sądzę, żeby przywłaszczenie posagu młodej ko biety było legalne - stwierdziła.-Prawda, Araminto?

*Lady Penwood chyba wyjechała z miasta.  
Lady Bridgerton również. Ciekawe...*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 15 czerwca 1817*

Benedict nigdy nie kochał matki bardziej niż w tym momencie. Próbował powściągnąć uśmiech, co było trudne, gdy się patrzyło na lady Penwood łapiącą powietrze jak ryba wyciągnięta z wody.

Sędzia wytrzeszczył oczy.

- Chyba nie sugeruje pani, żeby aresztować hrabinę?

- Oczywiście, że nie. I tak zostałaby wypuszczona. Arystokraci rzadko płacą za swoje przestępstwa. - Violet przekrzywiła głowę i zmierzyła Aramintę wzrokiem. - Gdyby jednak pan ją aresztował, proces byłby bardzo żenujący.

- Co chce pani przez to powiedzieć? - wyszczała hrabina.

- Czy mogę zamienić słowo na osobności z lady Penwood?

- Oczywiście, milady. Proszę wszystkich o wyjście!

- Nie, nie - powiedziała Violet z miłym uśmiechem. - Moja rodzina może zostać.

Urzędnik zaczerwienił się lekko, po czym wziął strażnika za ramię i razem opuścili celę.

- Na czym to skończyliśmy? - zapytała wicehrabi na, gdy zostali sami. Podeszła do Araminty i oświadczyła: - Mój syn ożeni się z Sophie, a pani powie wszystkim, którzy będą chcieli słuchać, że była podopieczną pani zmarłego męża.

- Nigdy nie skłamię w jej sprawie - odparowała lady Penwood.

Violet wzruszyła ramionami.

- Dobrze. W takim razie proszę oczekiwać moich doradców, którzy wkrótce zjawią się u pani, żeby odzyskać posag Sophie. Przecież po ślubie Benedict będzie miał do niego prawo.

- Jeśli ktoś mnie zapyta, potwierdzę pani historyjkę - odparła hrabina. - Ale nie zamierzam zrobić dla niej nic więcej.

Violet przez chwilę udawała, że się zastanawia.

- Dobrze. A co ty na to, Benedykcie?

Syn krótko skinął głową.

- Ojciec Sophie nazywał się Charles Beckett i był dalekim kuzynem hrabiego - powiedziała lady Bridgerton, po czym odwróciła się plecami do Araminty i wyjaśniła: - Niektórzy potraktują ją z góry, bo nikt nie zna takiej rodziny, ale przynajmniej będzie szanowana jako osoba spokrewniona z Penwoodami. - Obejrzała się i posłała hrabinie szeroki uśmiech.

Z gardła lady Penwood wyrwał się zdławiony dźwięk. Benedict z trudem pohamował śmiech.

- Halo, panie sędzio! - zawołała Violet, a kiedy mężczyzna wrócił do celi, uśmiechnęła się do niego promiennie i powiedziała: - Moja rola jest skończona.

Urzędnik westchnął z ulgą.  
- Więc nie muszę nikogo aresztować?  
- Wygląda na to, że nie. Mężczyzna niemal oparł się o ścianę.  
- Wychodzę! - oznajmiła lady Penwood. - Chodź, Posy.  
Benedict zobaczył, że krew odpływa z twarzy dziewczyny, ale zanim zdążył się odezwać, jego narzeczona krzyknęła błagalnie:  
- Lady Bridgerton!  
- Tak, kochanie?  
Sophie szepnęła jej coś do ucha.  
- Racja - powiedziała wicehrabina i zwróciła się do Posy:  
- Panno Gunningworth?  
- Właściwie Reiling - sprostowała dziewczyna. - Hrabia mnie nie adoptował.  
- Oczywiście, panno Reiling. Ile ma pani lat?  
- Dwadzieścia jeden, milady.  
- W takim razie jest pani dostatecznie dorosła, żeby samej podejmować decyzje. Chciałaby pani pojechać do mojej wiejskiej rezydencji?  
- O, tak!  
- Nie możesz zamieszkać u Bridgertonów! - wrzasnęła matka.  
Violet całkowicie ją zignorowała.  
- W tym roku chyba wcześniej opuścimy Londyn. Czy zechce pani do nas dołączyć?  
Posy energicznie pokiwała głową.  
- Byłabym szczęśliwa.  
- Zatem ustalone.  
- Wcale nie - wtrąciła lady Penwood. - To moje dziecko i...  
- Benedykcie, jak się nazywa ich doradca?

- Idź precz i nigdy więcej się nie pokazuj! - krzyknęła Araminta do córki.

Po raz pierwszy tego popołudnia Posy się zawahała. W dodatku matka zbliżyła się do niej i wyszczała prosto w twarz:

-Jeśli teraz pojedziesz z nimi, jesteś dla mnie martwa. Rozumiesz? Martwa!

Panna Reiling zerknęła spłoszona na lady Bridgerton, a wicehrabina natychmiast do niej podeszła i wzięła ją za ramię.

- Wszystko w porządku, Posy - powiedziała łagodnie. - Możesz zostać u nas, jak długo zechcesz.

Sophie ujęła drugie ramię dziewczyny.

- Teraz naprawdę będziemy siostrami - szepnęła i cmoknęła ją w policzek.

- Och, Sophie, tak mi przykro, że nigdy się za tobą nie wstawiłam! Powinnam była zaprotestować, coś zrobić, ale...

- Byłaś dzieckiem. Zresztą wiem lepiej niż ktokolwiek, jak trudno jest się sprzeciwić twojej matce. -Rzuciła Aramincie pogardliwe spojrzenie.

- Nie waż się mówić o mnie w taki sposób - wycodziła hrabina, podnosząc rękę jak do uderzenia.

- No, no, spokojnie! - zawołała Violet. - Radzę pamiętać o prawnikach, milady.

Lady Penwood opuściła ramię, ale przeszła ją gorejącym wzrokiem.

- Benedykcie, ile czasu zajmie nam dotarcie do biura doradców?

Syn w zamyśleniu pogłaskał brodę; w duchu się uśmiechał.

- Dwadzieścia minut? Trzydzieści, jeśli będzie tłok na drodze.

Araminta zatrzęsa się z wściekłości.

- Biercie ją sobie! Zawsze była dla mnie rozczarowaniem. Będzie pani mieć ją na głowie do śmierci, bo nikt się jej nie oświadczy. Muszę przekupywać męża, żeby zaprosili ją do tańca.

I wtedy wydarzyła się bardzo dziwna rzecz. Sophie poczerwieniała na twarzy, zacisnęła pięści, a z jej gardła wyrwał się dziki okrzyk. Zanim ktokolwiek się zorientował, lady Penwood leżała na brudnej podłodze.

Benedict sądził, że już nic go bardziej nie zaskoczy niż machiaweliczny plan własnej matki.

Grubo się mylił.

- To nie za kradzież mojego posagu - wyszczała Sophie. - Nie za wszystkie próby wyrzucenia mnie z domu, kiedy jeszcze żył mój ojciec. I nawet nie za uczynienie ze mnie niewolnicy.

- Więc za co? - spytał zaintrygowany Benedict. Jego narzeczoną nie oderwała wzroku od hrabiny

- Za to, że nie kocha pani obu córek jednakowo. W tym momencie Posy się rozplakała.

- W piekle jest specjalne miejsce dla takich matek jak pani - dodała Sophie groźnym tonem.

- Ale musimy opróżnić celę dla następnego zatrzymanego - wtrącił cicho sędzia.

- Pan ma rację - stwierdziła Violet i zwróciła się do panny Reiling: - Chciałabyś zabrać jakieś rzeczy, kochanie?

- Gdy dziewczyna potrząsnęła głową, vicehrabina lekko ścisnęła ją za rękę. - Zadbamy o twoje nowe wspomnienia.

Tymczasem Araminta dźwignęła się z podłogi, spiorunowała córkę wzrokiem i wymaszerowała na korytarz.

- Już myślałam, że nigdy nie wyjdzie - powiedziała lady Bridgenon.

Benedict puścił dłoń Sophie, zbliżył się do matki i szepnął:

- Czy mówiłem ci ostatnio, jak bardzo cię kocham?

- Nie, ale i tak wiem - odparła wesoło.

- A czy wspomniałem, że jesteś najlepszą z matek?

- Nie, ale to również wiem.

- To dobrze. - Nachylił się i cmoknął ją w policzek. -

Dziękuję. To wielki przywilej być twoim synem.

Lady Bridgenon, która właśnie udowodniła, że jest z nich najtwardsza i najsprytniejsza, zalała się łzami.

- Co ty powiedziałaś swojej mamie? - zapytała Sophie.

- Wszystko w porządku - wyszlochala Violet i oto czyła Benedicta ramionami. - Ja też cię kocham.

- Miła rodzina - szepnęła Posy.

- Wiem - odparła Sophie.

Godzinę później usiadła na tej samej kanapie w salonie Benedicta, na której przed zaledwie kilkoma tygodniami straciła niewinność. Lady Bridgerton miała wątpliwości co do tej wizyty, ale syn spojrzał na nią takim wzrokiem, że w końcu się zgodziła i tylko przykazała jej wrócić do domu przed siódmą. Przez całą drogę do domu trzymali się za ręce, ale nie rozmawiali. Sophie nie wiedziała, co mówić. Cieszyła się tylko, że już po wszystkim. Dopiero te raz wykrztusiła:

- Przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam - powiedział Benedict, ujmując jej dłoń.

- Właśnie, że ja... - Nagle się uśmiechnęła. - To głupie.

- Kocham cię. Chcę się z tobą ożenić.

Przestała oddychać.

- Nie obchodzi mnie, kim byli twoi rodzice - Jego spojrzenie wyrażało miłość. - I tak bym cię poślubił.

Sophie poczuła łzy w oczach i przeraziła się że zaraz zrobi z siebie widowisko. Wymówiła jego imię i umilkła raptownie.

Benedict ścisnął jej rękę.

- Nie musimy mieszkać w Londynie. Gdy zastana wiałem się, czego naprawdę potrzebuję w życiu, tylko ty przyszłaś mi na myśl.

-Ja ?

- Pozwól mi dokończyć - przerwał jej ochrypłym głosem. - Nie powinienem był cię prosić, żebyś została moją kochanką.

- Myślałeś, że jestem służącą. W idealnym świecie moglibyśmy się pobrać, ale to nie jest idealny świat. Mężczyźni tacy jak ty nie żenią się...

- No, dobrze. Rzeczywiście nie zrobiłem nic złego. Byłbym głupcem, gdybym nie spróbował. - Uśmiechnął się z przymusem. - Tak bardzo cię pragnąłem i chyba już kochałem, że...

- Benedykcie, nie musisz...

- Tłumaczyć się? Owszem, muszę. Nie powinienem był nalegać, gdy raz mi odmówiłaś. Umarłbym, gdybym musiał się z kimś tobą dzielić. Jak mogłem oczekiwać tego od ciebie? A przecież oboje wiedzieliśmy, że kiedyś się ożenię.

Sophie wyciągnęła rękę i coś starła z jego policzka. Boże czyżby łzy ? Nie pamiętał, kiedy plakał ostatni raz.



Może po śmierci ojca? Ale nawet wtedy robił to w samotności.

- Jest tyle powodów, dla których cię kocham. -Wiedział, że tym razem mu nie ucieknie, ale nie chciał zepsuć najważniejszej w życiu chwili. Dlatego starannie dobierał słowa. - Podoba mi się to, że znasz swoją wartość i masz niezłomne zasady. To takie rzadkie. - Widząc łzy w jej oczach, zapragnął porwać ją w objęcia, ale nagromadziło się w nim tyle przemyśleń, że najpierw musiał je z siebie wyrzucić. - Nie żałowałaś czasu, żeby mnie poznać. Nie Bridgertona, nie „Numer Dwa”, tylko Benedicta.

- Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam. Bardzo lubię twoją rodzinę, ale ciebie kocham.

Przygarnął ją do siebie. Nie mógł się oprzeć. Musiał się upewnić, że jest przy nim i że zawsze będzie. Póki śmierć ich nie rozłączy. To dziwne, ale chciał jedynie ją tulić. Oczywiście nie przestał pożądać Sophie, lecz teraz wystarczała mu jej kojąca bliskość. Krótko mówiąc, był szczęśliwym człowiekiem.

Zanurzył twarz w jej włosach... i odsunął się czym prędzej.

- Nie masz ochoty na kąpiel?

Sophie zrobiła się szkarłatna na twarzy.

- Och! W więzieniu było potwornie brudno, spałam na ziemi i...

- Oszczędź mi szczegółów.

- Ale...

- Proszę. - Uśmiechnął się lekko. - Chyba powin \nas się wykapać.

- Racja. - Wstała z kanapy. - Pójdę do...

- Tutaj.

- Tutaj?

- Tak.  
- Przecież obiecaliśmy twojej matce...  
- Ze będziesz w domu przed dziewiątą.  
- Przed siódmą.  
- Naprawdę? Dziwne. Wyraźnie słyszałem, że przed  
dziewiątą.  
- Benedykcje...  
Wziął ją za rękę i pociągnął do drzwi.  
- Siódma to prawie jak dziewiąta.  
- Benedykcje...  
- A właściwie jedenasta.  
- Benedykcje!  
Zatrzymał się przy drzwiach.  
- Zostań tutaj.  
- Słucham?  
- Nie ruszaj się - powiedział, dotykając jej nosa. Wrócił  
dwie minuty później.  
- Gdzie byłeś? - zapytała Sophie.  
- Kazałem przygotować kąpiel.  
- Ale...  
W jego oczach pojawił się podejrzany błysk.  
- A właściwie dwie.  
Sophie przelknęła ślinę.  
- Tak się składa, że woda jest już gorąca.  
- Naprawdę?  
- Napełnienie wanny zajmie dwie minuty.  
- jest prawie siódma!  
- Ale dostałem pozwolenie, żeby zatrzymać cię tu  
do dwunastej.  
- Benedykcje! Przyciągnął  
ją do siebie.  
- Chcesz zostać.  
- Nigdy tego nie mówiłam.

- Nie musiałaś. Gdybyś się nie zgadzała, powie działałabyś coś więcej niż: „Benedikcie!”

Tak dobrze naśladował jej głos, że musiała się uśmiechnąć.

- Myłę się? - zapytał, wykrzywiając kąciki ust.

Odwróciła wzrok, ale jej wargi drżały.

- Tak myślałem - stwierdził Benedict i wskazał głową na schody. - Chodź.

Ku jej zaskoczeniu wyszedł z pokoju, gdy się rozbierała. Ściągając suknię przez głowę, wstrzymała oddech. Rzeczywiście cuchnęła piwniczną stęchlizną.

Sophie z rozkoszą zanurzyła się w pachnącej pianie. Aż trudno jej było uwierzyć, że od poprzedniej kąpieli minęły dopiero dwa dni. Jedna noc w więzieniu wydawała się rokiem.

Próbowała cieszyć się chwilą, ale narastało w niej podniecenie. Wiedziała, co Benedict planuje, gdy postanowiła u niego zostać. Gdyby się nie zgodziła, bez protestów odprowadziłby ją do domu swojej matki. Lecz gdzieś między salonem a schodami uświadomiła sobie, że nie chce czekać aż do śniadania, żeby go znowu zobaczyć.

Wkrótce się zjawi. A wtedy...

Zadrżała mimo gorąca i zanurzyła się w wodzie po szyję. Nagle usłyszała pukanie do drzwi.

Benedict. W ciemnozielonym szlafroku, boso.

- Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli każę to zniszczyć - rzekł, wskazując na jej suknię.

Z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Poślę kogoś po inną.

- Dziękuję.

Zrobiła mu miejsce obok siebie, ale zaskoczył ją podchodząc do niej z tyłu.

- Przesuń się do przodu - powiedział.  
Spełniła prośbę i westchnęła z rozkoszy', kiedy zaczął masować jej plecy.  
- Marzyłem o tym przez lata.  
- Przez lata? - zdziwiła się.  
- Tak. Od balu maskowego.  
Sophie lekko się zarumieniła, ale na szczęście nie widział jej twarzy.  
- Zmocz włosy, to je umyję - poprosił i po chwili stwierdził: - Wtedy były dłuższe.  
- Musiałam je ściąć i sprzedać perukarzowi - już i tak odrosły.  
Nie była pewna, ale chyba coś mruknął pod nosem.  
- Gotowe.  
- Nie wchodzisz? - spytała i natychmiast zawstydyła się własnej śmiałości.  
- Tak jest dużo zabawniej.  
- Jak to?  
- Już nie mogę się doczekać, żeby cię wysuszyć. -Sięgnął po ręcznik. - Wstań.  
Sophie przygryzła wargę. Nie powinna czuć się skrepowana. Już widział ją nagą.  
- Owinę cię, zanim cokolwiek zobaczę - powiedział z domyślnym uśmiechem.  
Wzięła głęboki oddech i wstała. Benedict delikatnie otulił ją ręcznikiem i szepnął:  
- Cieszę się, że tu jesteś.  
- Ja też.  
Nie odrywając od niej oczu, czule musnął wargami jej usta.  
- Powinienem zaczekać do poniedziałku, ale nie chcę - stwierdził.  
- A ja nie chcę, żebyś czekał.

Pocałował ją znowu, tym razem bardziej namiętnie.

- Jesteś piękna. Marzyłem o tobie.

Zaczął wodzić ustami po jej policzkach, brodzie, szyi, pozbawiając ją tchu. Gdy już była pewna, że zaraz osunie się na podłogę, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

- Dla mnie już jesteś żoną - powiedział cicho, kładąc się obok niej.

Sophie dotknęła jego twarzy.

- Kocham cię - wyszeptała. - Zawsze cię kochałam. Chyba jeszcze, zanim cię poznałam. - Nachylił się do jej ust, lecz go powstrzymała. - Na balu maskowym doznałam dziwnego przeczucia, a kiedy się odwróciłam, ujrzałam ciebie i zrozumiałam, dlaczego się tam zakradłam. Ty jesteś powodem, dla którego żyję, dla którego się urodziłam.

Benedict otworzył usta, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Pocałował ją więc z uczuciem, żeby czynami przekazać to, czego nie zdołał wyrazić słowami. Nie przypuszczał, że może kochać Sophie jeszcze bardziej, ale kiedy wyznała...

Myślał, że ze szczęścia pęknie mu serce.

Nagle wszystko stało się proste. Kochał ją i tylko to się liczyło.

Zdjął z niej ręcznik, a z siebie szlafrok, zaczął ją pieścić dłońmi i ustami. Chciał, żeby wiedziała, jak bardzo jej pragnie, żeby poczuła taką samą żądzę.

- Och, Sophie. - Mógł wymawiać tylko jej imię. - Sophie, Sophie, Sophie.

Inaczej niż za pierwszym razem, gdy poniosła ich namiętność, teraz się nie spieszyli, tylko rozkoszowali każdą chwilą bliskości.

Dużo później, kiedy leżeli spleceni ramionami i wyczerpani, Benedict przysunął wargi do ucha narzeczonej i szepnął:

- Jesteś moja, a ja twój.

Kilka godzin później Sophie obudziła się raptownie i zapytała:

- Która godzina?

Benedict nie odpowiedział, więc potrząsnęła nim mocno. Przetoczył się na plecy i wymamrotał:

- Śpię.

- Która godzina? Ukrył twarz w poduszce.

- Nie wiem.

- Miałam wrócić o siódmej.

- O jedenastej - mruknął.

- O siódmej!

Benedict uchylił jedną powiekę, co wymagało od niego ogromnego wysiłku.

- Decydując się na kąpiel, wiedziałas, że nie zdążysz, na siódmą.

- Ale myślałam, że zdążę chociaż na dziewiątą.

- Chyba ci się nie uda.

Sophie zerknęła na zegar wiszący nad kominkiem i gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Jest trzecia rano! Uśmiechnął się chytrze.

- Więc równie dobrze możesz spędzić tu noc.

- Benedykcje!

- Chcesz budzić służbę? O tej porze na pewno wszyscy śpią.

- Ale...

- Zlituj się, kobieto. W przyszłym tygodniu bierzemy ślub.

- W przyszłym tygodniu? - pisnęła Sophie.

- Im szybciej, tym lepiej.

- Dlaczego?

- Cóż, plotki i tak dalej.

Oczy Sophie zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Myślisz, że lady Whistledown o mnie napisze?

- Mam nadzieję, że nie. - Dostrzegłszy jej minę, poprawił się szybko: - No, może. A dlaczego tak ci na tym zależy?

- Od lat czytam jej pismo. Zawsze marzyłam, żeby ujrzeć w nim moje nazwisko.

Benedict potrząsnął głową.

- Dziwaczne marzenie.

- Och!

- No, dobrze. Sądzę, że lady Whistledown napisze o naszym małżeństwie, jeśli nie przed ceremonią, to z pewnością wkrótce po niej.

- Chciałabym wiedzieć, kto to jest.

- Tak jak pół Londynu.

- Cały Londyn. - Sophie westchnęła, po czym stwierdziła bez zbytniego przekonania: - Naprawdę powinnam iść.

Twoja matka na pewno się o mnie martwi.

Benedict wzruszył ramionami.

- Wie, gdzie jesteś.

- Ale źle sobie o mnie pomyśli.

- Wątpię. Przecież pobieramy się za trzy dni.

- Za trzy dni? Mówiłeś, że w następnym tygodniu.

- Za trzy dni będzie następny tydzień.

- Więc w poniedziałek?

Benedict z wielkim zadowoleniem skinął głową. Sophie klasnęła w dłonie.

- Wyobraź sobie, że będę w „Kronice”.  
- Nie możesz się doczekać, żeby za mnie wyjść, czy jedynie podnieca cię myśl, że znajdziesz się w gazecie? - spytał, mierząc ją podejrzliwym wzrokiem.

Nie odpowiedziała, tylko żartobliwym gestem uderzyła go w ramię.

- Właściwie już byłaś w „Kronice” - stwierdził Benedict.

- Naprawdę? Kiedy?

- Po balu maskowym. Lady Whistledown napisała, że widziano mnie w towarzystwie tajemniczej kobiety w srebrnej sukni, ale choć bardzo się starała, nie zdołała ustalić jej tożsamości. - Uśmiechnął się szeroko. - Możliwe, że to jedyny sekret w Londynie, którego nie odkryła.

Sophie nagle spochmurniała.

- Och, Benedykcio, muszę... to znaczy... Przepraszam.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie porwać jej w ramiona, ale wyglądała tak poważnie, że zrezygnował z pomysłu.

- Za co?

- Ze ci nie powiedziałam, kim jestem. - Przygryzła wargę. - Sama nie wiem, dlaczego to ukryłam, ale... - Westchnęła. - Byłam pewna, że rozstaniemy się tuż po wyjeździe od Cavenderów, a potem zachorowałeś i...

Benedict dotknął palcem jej ust. Nie miał w tym momencie ochoty na poważną rozmowę.

- To nieistotne. Sophie uniosła brew.

- A jeszcze przedwczoraj było istotne?

- Od tamtego czasu dużo się zmieniło.



- Nie interesuje cię, dlaczego od razu nie wyznałam prawdy?

- Przecież ją znam. A chcesz usłyszeć najśmieszniejszą rzecz? Wiesz, dlaczego tak się wahałem, czy oddać ci serce? Oszczędzałem je dla damy z balu maskowego. Zawsze miałem nadzieję, że ją odnajdę.

- Och, Benedykcie - szepnęła Sophie, wzruszona jego słowami i jednocześnie zasmucona, że go zraniła.

- Prosząc cię o rękę, musiałbym zrezygnować z marzenia, że kiedyś ją poślubię. Czy to nie ironia?

- Przykro mi, że naraziłam cię na takie rozterki, ale nie jestem pewna, czy żałuję swojej decyzji. Czy to ma sens? - Gdy nie odpowiedział, dodała: - Teraz chyba postąpiłabym tak samo. Wyznanie, że to ja byłam na balu maskowym, niczemu by nie służyło.

- Sam powinienem był domyślić się prawdy - stwierdził cicho Benedict.

- I co wtedy byś zrobił? - Sophie usiadła i naciągnęła kołdrę na ramiona. - Poprosiłbyś swoją tajemniczą damę, żeby została twoją kochanką? Po prostu doszłam do wniosku, że nie chcę przeżyć zawodu miłosnego, i dlatego właśnie... - Spojrzała mu w oczy, badając jego reakcję. - Powiedz coś, proszę.

- Kocham cię.

Niczego więcej nie potrzebowała.

## Epilog

*Niedzielne przyjęcie w Bridgerton House z pewnością będzie wydarzeniem sezonu. Zbierze się cała rodzina, żeby wraz z setką najbliższych przyjaciół uczcić urodziny wicehrabiny wdowy. Oczywiście nie wypada ujawnić, które, ale nie obawiaj się, droga czytelniczko. Pisząca te słowa wie!*

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 30 kwietnia 1824*

Sophie ze śmiechem zbiegała po kamiennych schodach, które prowadziły do ogrodu leżącego na tyłach Bridgerton House. Po siedmiu latach małżeństwa i trójce dzieci Benedict nadal ganiał ją po domu, gdy tylko miał okazję.

- Gdzie dzieci? - wysapała, gdy dopadł ją na najniższym stopniu.

- Francesca ich pilnuje.

- A mama?

Mąż uśmiechnął się szeroko.

- Sądzę, że również ją Francesca pilnuje.

- Ktoś może nas tu zobaczyć - stwierdziła Sophie, rozglądając się w popłochu.

Benedict przyciągnął ją do siebie. Więc może powinniśmy się udać na prywatny taras.

Żona spojrzała na niego roziskrzonymi oczami. W jednej chwili cofnęła się o dziewięć lat.

- Skąd wiesz o prywatnym tarasie?

- Mam swoje sposoby - szepnął Benedict, muskając wargami jej ucho.

- A ja swoje sekrety - odparła z chytrym uśmieszkiem.

Odsunął się i zmierzył ją wzrokiem

- Tak? A podzielisz się nimi?

- Nasza piątka wkrótce będzie szóstką. Benedict zerknął na jej brzuch.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Mąż wziął jej dłoń i podniósł ją do ust.

- Tym razem będzie dziewczynka.

- To samo mówiłeś ostatnim razem.

- Wiem, ale...

- I poprzednio.

- Więc teraz na pewno moje przeczucie się sprawdzi.

Sophie pokręciła głową.

- Cieszę się, że nie jesteś hazardzistą.

- Nie mówmy jeszcze nikomu.

- Myślę, że parę osób już podejrzewa.

- Chcę się przekonać, kiedy lady Whistledown o tym napisze.

- Mówisz poważnie?

- Ta kobieta wiedziała o Charlesie, Alexandre i Williamie.

- Wiesz, że wspomniała o mnie w „Kronice” dwieście trzydzieści dwa razy? - zapytała Sophie z uśmiechem.

- Liczyłeś? - zdziwił się mąż.

- Dwieście trzydzieści trzy, jeśli liczyć tę wzmiankę po balu maskowym.

- Nie mogę uwierzyć, że liczyłaś. Sophie niedbale wzruszyła ramionami.

- To ekscytujące.

Benedict uważał, że irytujące, ale nie zamierzał psuć żonie radości.

- Dobrze chociaż, że zawsze pisze o tobie miłe rzeczy. Inaczej musiałbym ją wytropić i przepędzić z kraju.

Sophie się roześmiała.

- Nie sądzę, żebyś zdołał odkryć jej tożsamość, skoro nikomu do tej pory się to nie udało.

Benedict uniósł brew.

- To tak wierzysz w męża?

- Po prostu szkoda twojego czasu i energii. Lady Whistledown jest dobra w tym, co robi.

- O Violet na pewno wcześniej się nie dowie.

- Violet?

- Pora sprawić przyjemność mamie, nie uważasz?

Sophie przytuliła się do męża.

- Violet to ładne imię. Mam tylko nadzieję, że będzie dziewczynka, bo chłopiec nigdy by nam nie wybaczył...

Tego samego dnia wieczorem, w domu znajdującym się w najlepszej części Londynu, pewna kobieta wzięła do ręki pióro i napisała:

*Kronika towarzyska lady Whistledown, 3 maja*

1824

s *Ach, droga czytelniczko, pisząca te słowa właśnie*

*się dowiedziała, że lady Bridgerton wkrótce będzie miała jedenaścioro wnucząt...*

Lady Whistledown zamknęła oczy i westchnęła. Czy to możliwe, żeby od pierwszego wydania minęło aż jedenaście lat? Znużyło ją opisywanie cudzego życia.

Odłożyła pióro, podeszła do okna, rozsunęła bladozielone zasłony i spojrzała na atramentowe niebo.

- Czas na coś nowego - szepnęła. - Pora być sobą.